I. Gajewska.

Kierdej

NAKŁADEM I CZCIONKAMI
ŚW. WOJCIECHA

DRUKARNI I KSIĘGARNI
W POZNANIU.

KIERDEJ

Oto Kierdej, dzieci. — (Str. 11)

ROTOGRAWURA DRUKARNI I KSIĘGARNI
św. WOJCIECHA w POZNANIU

I. GAJEWSKA

KIERDEJ

ST. STANISLAUS PAROCHIAL SCHOOL LIBRARY
CHELSEA, MASS.

POZNAŃ 1918. NAKŁADEM
I CZCIONKAMI DRUKARNI I KSIĘGARNI ŚW. WOJCIECHA

G. K.

P0L
BERKELEY
LIBRARY
UNIVERSITY OF
CALIFORNIA
U.C. BERKELEY LIBRARIES
C095892726

ROZDZIAŁ I.

Był to pierwszy dzień lekcyj po wakacjach wielkanocnych. — Popołudniowe przygotowanie już minęło — rój dziewczynek, oczekujących dzwonka na podwieczorek, wysypał się do ogrodu, by tam pobiegać lub pogawędzić. Od strony placy tenisowych dochodził miękki i miarowy odgłos uderzających o ziemię piłek, oraz dźwięk młodych głosików, oznajmiający wygrane punkta. Przez otwarte zaś okna słychać było wystukiwanie trzech odmiennych sonat na trzech odmiennych fortepianach, w trzech odmiennych kluczach — całość była rzeczywiście bardzo harmonijna!

Na małej ławeczce opodal huśtawki trzy dziewczęce główki, dwie jasne, jedna ciemniejsza, pochylone były nad mocno zniszczonym atlasem, a właścicielki tegoż, tak niewinnie cierpiącego przyjaciela lat dziecinnych, starały się bez wielkiej wprawdzie ochoty znaleźć listę miast na mapie Francji, — ażeby sobie czas skrócić i uprzyjemnić, spędzały go na narzekaniu.

— Ja nie cierpię geografji — oznajmiła Lola Korska. — Żeby to móc przynajmniej urządzić wycieczkę do każdej z tych miejscowości, tobym jeszcze rozumiała, ale wykształcać z siebie całą stronnicę nazw, które tak czy tak nie mają dla człowieka żadnego znaczenia — to już chyba zupełnie niepotrzebne.

— A to taka długa lekcja — odezwała się piskliwym głosem Hela Mieszyńska — mogłaby też panna Frazewiczówna zadać nam krótszą na pierwszy raz. Całe dwie strony i — raz — dwa — trzy — cztery — pięć linij! Ja się tego nigdy nie nauczę, nawet gdybym siedziała do północy.

— Ciekawam, dlaczego wszystko wydaje się tyle trudniejsze tak zaraz po wakacjach? — pytała, ziewając, Myszka Podlewska.

— Nie wiem, pewnie dlatego, że wszystko takie nieznośne teraz! Pomyśl, jakie wieki musimy czekać, nim się znowu dostaniemy do domu! Jeszcze całych trzynaście tygodni! A każdy z nich będzie zupełnie taki sam, jak poprzedni: lekcje z p. Frazewiczówną, Mademoiselle i Fräulein, godzina muzyki, przechadzki w parku, lub parami na drodze stanisławowskiej, no i partja tenisu, o ile nam duże place odstąpią. Nigdy nic nowego! Chyba, że nas p. Rozwowska zaprowadzi na jaki koncert.... a to się tak często zdarza, nie prawda? —

Obraz ten, wyrecytowany cienkim głosikiem

Loli, nie był bynajmniej zachwycający swą rozmaitością, to też dwie jej towarzyszki aż jęknęły z przerażenia wobec tak strasznych widoków.

— Bo też na co to całe kucie? — rzekła Hela z urazą. — Po co....

— Lolu, Helo, Myszko! — zawołał nagle głosik czwarty, i dziewczynka lat może jedenastu wpadła jak wicher na towarzyszki. — Aha, nareszcie! Jesteście tu, szukam was wszędzie od godziny; myślałam już, że jesteście w domu, na dużej sali... a teraz zgadnijcie, co ja wiem i z czem przychodzę?

— Ale cóż się takiego stało, Nino? — zapytała Myszka, z zdziwieniem, poniekąd uzasadnionem wobec tego, że nowoprzybyła tchu schwycić nie mogła i wyglądała równie uradowana, jak temu dwa tygodnie w przeddzień wakacyj.

— Chodźże siąść przy mnie! — rzekła Lola, odpychając Myszkę, by zrobić miejsce dla zwiastunki tak nadzwyczajnych wieści.

— Czy to naprawdę coś przyjemnego? — pytała niedowierzająco Hela.

— To wszystko zależy od tego, co uważacie za przyjemne! No, niech każda z was próbuje zgadnąć. Dalej, zaczynajcie!

— Panna Frazewiczówna daruje nam jutrzejszą geografję!

— Dałby Pan Bóg, ale nie!

— Ktoś znowu wybił szybę piłką tenisową?

— Nie bądź niemądrą, coś wiele ciekawszego!

— Pani Rozwowska urządzi teraz pół-kwartalne wakacje.

— Ciepło, coraz cieplej! Jesteś blisko, zgaduj dalej!

— Och nie mogę!

— Daję za wygrane.

— Dalej mów, gadaj!

— A więc — zaczęła Nina, zasiadając wygodnie — czy pamiętacie jak przed świętami przyjechał jakiś pan z doktorem i chodził i patrzał i zaglądał we wszystkie kąty?

— No tak i cóż z tego?

— Oto pokazuje się, że był to urzędnik państwowy, który wczoraj przysłał p. Rozwowskiej sprawozdanie, oznajmiające jej, że wodociągi naszej kamienicy, tegoż Białego Domu, są nieprawidłowo założone i że trzeba je będzie zmienić.

— Czy to są twoje nadzwyczajne wiadomości?

— Poczekaj, to dopiero początek, pozwól mi skończyć, a zobaczysz sama. Doktor twierdzi, że nie można wykonać żadnych zmian, póki my tu jesteśmy; a ponieważ, wobec panującej w mieście cholery, robota nagli i rząd grozi zamknięciem pensji, jeżeli p. Rozwowska natychmiast robót nie zacznie, więc... no, wiecie już?

— Pani Rozwowska odeśle nas do domu! — wykrzyknęła Lola.

— Niezupełnie, ale wynajęła stare zamczysko we wschodniej Galicji, dokąd pojedziemy na cały letni kwartał! Pojedziemy: my, nauczycielki, służba, wszystko!

Jeżeli Nina miała nadzieję zadziwić swoje towarzyszki, nadzieja ta ziszczoną została zupełnie; zdumienie ich nie miało granic, a pytania sypały się gradem.

— Jak się nazywa ten zamek?

— Kiedy pojedziemy?

— Skąd wiesz?

— Kto ci powiedział?

— Po kolei, po kolei, — odpowiedziała Nina, uszczęśliwiona swoją rolą. — Spotkałam przed chwilą Natalkę Wierską na korytarzu; wychodziła ona z pokoju p. Rozwowskiej, która właśnie ogłosiła ową wiadomość dużym. Natalka mi wszystko wytłumaczyła: jest to stare zamczysko po Kierdejach, nazywa się Kierdej, a wyjedziemy w przyszły wtorek.

Nigdy się jeszcze w dziejach Białego Domu nie zdarzyło nic tak nadzwyczajnego, jak przeniesienie pensji z miasta na wieś.

— To wprost nie do uwierzenia! — wołała zachwycona Hela.

— Będzie to zupełnie, jak wyjazd partjami na wakacje! — oznajmiła Lola, tańcząc naokoło ławki.

— Nie zupełnie, bo przecież będą lekcje! — poprawiła ją Nina.

— Ale w każdym razie będzie tysiąc tysięcy razy lepiej, niż tu we Lwowie!

— Niech żyje Kierdej! — zawołała Myszka, klaszcząc w dłonie.

Pani Rozwowska była rzeczywiście ogromnie zaniepokojona sprawozdaniem miejskiego zarządu i groźbami policji, postanowiła więc niezwłocznie zaprowadzić owe zmiany w wodociągach Białego Domu; spieszyła zatem jak mogła z przygotowaniami do wyjazdu. Zniesiono kufry ze strychu, a nauczycielki i starsze łamały sobie głowę nad sposobem utrzymania choć w możliwym porządku hałasującej gromadki małych, która na gwałt pakowała kapelusze na spód, a książki na wierzch kufrów. O lekcjach starano się wogóle nie myśleć, a i nawet p. Rozwowska widocznie o nich zapomniała, gdyż zajęta zdrowiem powierzonych sobie panienek, pragnęła wywieźć je jak najprędzej w bezpieczne miejsce.

— Pani Rozwowska tak się wystraszyła, gdy jej powiedziałam, że mnie głowa boli — mówiła Myszka.

— Pytała się potem każdej z nas, czy nie mamy jakich boleści.

— Byłam tak niemądrą, że się przyznałam do lekkiego kłucia w boku — rzekła Lola z grymasem, — pożałowałam tej szczerości! Dostałam tak obrzydliwe lekarstwo, że je dotąd w ustach czuję! Fe, paskudztwo!

— A mnie się źle robi na samą myśl o karbolu. Jest pełna czarka tego wstrętnego płynu w każdym pokoju, — dodała Hela.

— Ach to wszystko nic, bo tego już tylko jeden dzień! Jutro, na prawdę jutro wyjedziemy.

Nic dziwnego, że zarząd szkolny wyglądał zmęczony i udręczony, niełatwe miał bowiem zadanie, a przeciąg czasu do wykonania tegoż bardzo krótki. Dopiął jednakże celu; we wtorek rano wszystko było gotowe, ostatnie zlecenia dane, szereg kufrów zamkniętych i wysłanych osobnemi wózkami na dworzec; a zbita gromadka dziewczynek, a raczej gadających sroczek, ubrana i gotowa do podróży czekała tylko omnibusów, które je wywieźć miały do upragnionych łąk i lasów.

— Do widzenia, biedny Biały Domie, — rzekła Lola, zaglądając po raz ostatni do dobrze jej znanej sali klasowej, — do widzenia mapy, stoły i ławki, do widzenia do przyszłego zimowego kwartału!

— Ciekawam ile, a przedewszystkiem jaka woda upłynie, zanim tutaj wrócimy? — zauważyła Hela.

Podróż do Kierdeju była zarazem długa i męcząca; ale dbała o wszystko p. Rozwowska zamówiła kilka przedziałów, i zabrała kosze z prowiantami, tak że dzięki temu jazda ta nabrała, w oczach panienek przynajmniej, charakteru uroczej majówki.

— Cobym ja dała, żeby co roku tu przyjeżdżać, albo jeszcze lepiej, żeby p. Rozwowska wogóle się przeniosła na wieś, — dał się słyszeć wśród ogólnego gwaru rozmów i śmiechów głos Marysi Olońskiej, która zdobywszy przebojem miejsce przy oknie, zachwycała się nieznanemi dla jej oczu widokami polskiej wsi.

— Tobyśmy, moja kochana, przestały mieszkać w mieście i straciłybyśmy lekcje wszystkich przychodnich profesorów, — odpowiedziała Natalka Wierska, jedna z dużych.

— Niktby ich tak dalece nie żałował! Co do mnie, nie jestem bynajmniej spragniona ich widoku.

Natalka uśmiechała się z lekceważeniem, odpowiedniem „dużej".

— Zdaje mi się jednak, że nas rodzice posyłają na pensję, byśmy się czegoś nauczyły! Obawiam się lekkiego rozczarowania z twojej strony, Marysiu, gdy zobaczysz, że Mademoiselle i Fräulein potrafią ci dzień zapełnić w ten sposób, że nie odczujesz braku lekcyj profesorów Wierchlickiego i Hoffmana.

— Co mi to szkodzi! Ja tylko wiem, że mam zamiar używać tego pobytu na wsi i sławnie się bawić!

Marysia wyrażała tylko słowem to, co myślały jej koleżanki. Każda z nich jechała bowiem do Kierdeju jak na wakacje, z silnem postanowie-

niem uczenia się jak najmniej. Czyż im się tak dalece dziwić można, tym dzieciom miasta, że podczas gdy pociąg pędził wśród łanów i drzew, pokrytych świeżą zielenią, zostawiając gdzieś, hen, za sobą domy lwowskie i ich mieszkańców, że z każdym kilometrem raźniej im się robiło na duszy?

Gdy się wszystkie pośrednie i bezpośrednie czynności śniadania, t. j. spożycie, wypakowanie i zapakowanie przyborów do tego potrzebnych, skończyły, męcząca jazda nudzić poczęła najmłodsze nawet podróżniczki. Cierpliwość ich miała granice i te granice przekroczyła przynajmniej godzinę przed dojazdem na miejsce przeznaczenia. Nudziły one biedną p. Frazewiczównę ciągłemi pytaniami, przed każdą stacją składały z wielkim krzykiem i hałasem manatki, a na widok każdego większego domu, spostrzeżonego z okien pociągu, stwierdzały z całą pewnością, że to już musi być Kierdej.

— Otóż i jesteśmy! — oznajmiła p. Rozwowska, gdy po wielu mylnych pogłoskach upragnione słowo Kierdej ukazało się wreszcie wydrukowane dużemi literami na małym domku, który cały kąpał się w świeżej zieleni młodych pędów dzikiego wina.

Gdzieś w oddali odzywał się głos zawiadowcy stacji, wyśpiewujący na różne tony jakieś imię czy nazwisko, szczycące się lekkiem podobień-

stwem brzmienia z owym, tak wyczekiwanym przez panienki Kierdejem.

Spokojnie, dziewczynki, spokojnie. Proszę pamiętać o torebkach i stanąć w szeregu; żeby mi się żadna nie ruszyła, póki nie dam znaku.

Pani Rozwowska odetchnęła, uczyniwszy przegląd swych uczennic i stwierdziwszy, że wszystkie są i że żadna nie zgubiła nawet torebki lub parasola.

— Lżej mi na sercu, widząc, że dojechałyśmy szczęśliwie. Możemy sobie powinszować naszego porządku; nie zginął nam bowiem nawet parasol! Ponieważ stąd do domu bardzo niedaleko, przejdziemy się pieszo, a rzeczy przyjdą później.

Straciwszy jeszcze chwil kilka na oddawaniu biletów, gromadka nasza znalazła się na drodze wiodącej do wsi kierdejskiej. Oczom ich przedstawił się widok, tak mało mający wspólnego z ulicami lwowskiemi, jak gramatyka łacińska z bajką o zaczarowanej księżniczce. Zieleniały pola młodych zbóż, przydrożne wierzby były pokryte świeżą szatą szmaragdową, niskie krzewy głogów i cierni bieliły się wzdłuż ścieżek polnych, wiosenne powietrze przesiąknięte było odurzającą wonią kwiatu jabłoni; a tam het w górze, z pod niebieskiego sklepienia, dolatywała pieśń skowronka, witająca przybywających gości... Zdumione i oczarowane cudną, wiejską przyrodą, dziewczynki z trudnością szły parami, i co chwila

ST. STANISLAUS PAROCHIAL SCHOOL LIBRARY
CHELSEA, MASS.

któraś wychodziła z szeregu, przerywając prostą linję, o którą tak zawsze dbała p. Frazewiczówna. Przy dużej, herbem ozdobionej bramie p. Rozwowska stanęła.

— Oto Kierdej, dzieci, — rzekła z odcieniem dumy w głosie, — oto nasze nowe, letnie mieszkanie!

A stare zamczysko, przedstawiające się zdumionym oczom panienek, było piękniejsze od wszelkich o niem marzeń. Była tam wieża, niby baszta obronna, i wąskie, sklepione okna, i rzeźbiony portyk nad drzwiami i dziwne, stare kominy, wysoko ku niebu sterczące; a całość z szarych, ciosanych kamieni, pokryta dzikiem winem i pnącemi różami.

— To zupełnie jak zamek łubniański z Sienkiewicza „Ogniem i Mieczem“ — zauważyła, jakby z lękiem Myszka.

A wnętrze zamczyska okazało się odpowiadające w pełni zewnętrznej jego szacie. Dziwnym się wydawał dziewczynkom podwieczorek w olbrzymiej sali, obwieszonej zbrojami, zdobytemi chorągwiami i rogami.

— Jak to zabawnie tu siedzieć i zapijać herbatę, — mówiła Hela Mieszyńska. — Za czasów księcia Jaremy nie było jej przecież! Podawano pewnie wówczas miód, albo piwną lub winną polewkę.

— Nie kończ więc podwieczorku, jeżeli

chcesz się przenieść w przeszłość; — odpowiedziała Natalka, — ale w takim razie zostaw babkę i konfitury, bo i te należą do nowszych czasów.

— Nie żartuj, bo tu naprawdę wieje starożytnością z wszystkich kątów, — odrzekła Hela. — My z Lolą mamy taki dziwny sypialny pokój z alkową, o ogromnem łóżku, z żółtym adamaszkowym baldachimem.

— A ja widziałam taką starożytnie wyglądającą bibljotekę i galerję obrazów i tyle dziwnych pokoi, i pokręconych korytarzy i przejść na pierwszem piętrze, że się tam zgubiłam, nie mogąc odnaleźć schodów — odparła Nina Wilczyńska.

— Ja tak samo, — rzekła Marysia. — Chciałam nieco gruntu zbadać, ale tak było ciemno i nieprzyjemnie, że się bałam sama zwiedzać i wróciłam. Myślałam, że może spotkam jakiego nadwornego husarza ks. Wiśniowieckiego, lub może nawet kozaka.

Marysia nie była jedynym tchórzem w Kierdeju tego wieczora. Przyzwyczajonym do elektryczności i białych sypialni dziewczynkom, straszno było rozbierać się przy jednej świeczce w ponurych komnatach zamczyska. — Lecz, jakby w zadosyćuczynienie strachów nocy, ranek nastał cudny, wiosenny, w rosie skąpany i słońcem spowity. Najzagorzalsze nawet mieszczki nie mogły się zdobyć na tęsknotę za rojnemi ulicami

i placami lwowskiemi. Stanowczo wiele było przyjemniej odrabiać lekcje, siedząc na wysokich krzesłach, o rzeźbionem oparciu, niż przy biurkach w zwykłej klasie, obwieszonej mapami i ozdobionej tablicą. Nauczycielki były tem nowem otoczeniem na równi z dziewczynkami zachwycone; wszystkie miały dziwne uczucie przeniesienia się w daleką przeszłość XVII wieku.

— Właściwie nie powinnyśmy mieć ani botaniki, ani geologji, ani wogóle żadnego nowożytnego przedmiotu, — zauważyła Hela, która z resztą III klasy brała w posiadanie wielką sień o kamiennej posadzce, mającą im służyć w czasie letniego kwartału za salę klasową.

— To prawda, — dodała Lola, — dawniej kobiety uczyły się wiele mniej od nas.

— Zapominasz o historji polskiej, Lolu, — odparła p. Frazewiczówna. — Gryzelda Batorówna naprzykład, byłaby z łatwością was zawstydziła swą wiedzą. Jeżeli sobie chcesz wziąć za wzór jej lekcje z XVI wieku, to musisz się zacząć uczyć języków greckiego, łacińskiego i włoskiego, oraz trochę hebrajskiego i arabskiego.

— O Boże! — zawołała Lola, przerażona taką wiedzą. — To już wolę nasz XX wiek!

— A ja myślałam, że kobiety wówczas jeździły tylko na łowy, lub rozdawały nagrody na turniejach; czy wszystkie więc uczyły się po grecku i łacinie? — pytała Myszka.

— Z pewnością, że nie; ale za to wszystkie umiały gotować rozmaite maści i pachnidła, warzyć zioła i leki; przytem haftowały prześlicznie, jak to same możecie osądzić z makat w dużym salonie. Wogóle młodzież była dawniej bardzo surowo chowana, dzieci nie śmiały nawet siąść bez pozwolenia w obecności rodziców i nauczycieli, a za najlżejsze przewinienie bywały karane cieleśnie. Nawet z królewskiemi dziećmi było to samo, z tą różnicą, że niektóre jednak miały w zastępstwie chłopców, którzy otrzymywali plagi im przeznaczone, by tym sposobem królewskie ich moście nie były sponiewierane razami.

— Co? i ten chłopczyk był bity za to, co jakiś królewicz zbroił! Jaka to oburzająca niesprawiedliwość! — zawołała Marysia.

— To prawda; ale pojęcie sprawiedliwości w owych czasach było nieco odmienne od naszego. Praojcom naszym wydawałoby się, że was strasznie psujemy; a to pewne, że dziewczynki, które się tu uczyły temu trzysta lat, nie uczyły się ani w tak łatwy, ani w tak przyjemny sposób, jak wy dzisiaj! — Przynieś książki geologji, Marysiu, musimy czynić postępy w naukach nowszych, mimo otaczających nas murów starożytnych!

ROZDZIAŁ II.

Pomiędzy trzydziestoma uczennicami p. Rozwowskiej nie było dwóch bardziej z sobą zaprzyjaźnionych dziewczynek, jak będące w klasie III-ciej czyli najniższej Lola Korska i Hela Mieszyńska. Lola była małą, okrągłą blondynką, lat czternastu, o usposobieniu energicznem, które często, zdaniem p. Frazewiczówny prowadziło wojnę z regulaminem szkolnym, lecz natomiast zjednywało sobie ogólne i gorące uznanie na placu rekreacyjnym. Hela, o sześć miesięcy od przyjaciółki młodsza, miała układ o wiele spokojniejszy, lecz wciąż się ukazujący mały chochlik w bronzowych oczach, zdradzał gotowość do wszystkiego. Hela ogromnie podziwiała Lolę i naśladowała ją we wszystkiem, dzieląc dobrą lub złą dolę towarzyszki w formie dobrych lub złych stopni. Uczennice p. Rozwowskiej sypiały zwykle po dwie w małych, białych pokoikach; — nasza parka już w przedostatnim kwartale wyprosiła sobie pozwolenie mieszkania razem; odtąd stały się dziewczynki tak nierozdzielne, że Helę przezwały koleżanki cieniem Loli! W rze-

czywistości tak jednak nie było, Hela miała swój własny, bardzo zdecydowany charakter, ale z wygody ulegała często wiele więcej wyrobionej samodzielności Loli. Na tle przygód tych dwóch właśnie dziewczynek chcę osnuć moje opowiadanie, bo gdyby nie nieco wścibski nosek Loli i wytrwałość w osięgnięciu raz wytkniętego celu Heli — nie miałaby historja nic do przekazania potomności.

W kilka dni po przyjeździe do Kierdeju, zgromadzone na wykład historji powszechnej dziewczynki nadziwić się nie mogły nad dziesięciominutowem spóźnieniem się p. Rozwowskiej. A zdziwienie ich spotęgowało się jeszcze, gdy weszła wreszcie, prowadząc z sobą nową uczennicę, panienkę lat siedemnastu, ładną, zgrabną, poważnie wyglądającą, o piwnych oczach i długich jasnych warkoczach. Na kilka zadanych sobie pytań nowoprzybyła odpowiedziała spokojnym, nieco przyciszonym głosem, poczem siadłszy na wyznaczonem sobie miejscu wśród VII-mio klasistek, zatopiła się zupełnie w słuchanie wykładu. Po ukończeniu tegoż, zebrała książki i nie czekając następnej lekcji, wyszła. Naturalnie, że tak dziwne zachowanie nie mogło zaspokoić już i tak rozbudzonej ciekawości dziewczynek. To też zaraz po ostatnim dzwonku Lola i Hela rzuciły się na Oleńkę Lewadzką, jedyną z pośród dużych, która cieszyła się uznaniem małych.

— Kto to był? — spytały — nie wiedziałyśmy nic, że miała być jaka nowa w tym kwartale?

— Jest to tylko przychodnia, i to na kilka zaledwie przedmiotów, — odpowiedziała Oleńka — nazywa się Zofja Kierdejówna, mieszka tutaj, oczywiście, że nie teraz.

— Co to ma znaczyć? — zapytała Hela.

— Przecież chyba wiedziałyście, że p. Rozwowska wynajęła Kierdej od p. Kierdejowej?

— Nie myślałam nigdy nad tem, do kogo Kierdej przedtem należał, — przyznała się Lola.

— No, to w takim razie dowiedz się teraz, że p. Kierdejowa z Zulą mieszkają na czas wynajęcia pałacu w małym pawilonie, na końcu ogrodu; Zula przychodzić będzie cztery razy na tydzień na francuskie i historję.

— To w takim razie my mieszkamy w jej domu?

— Tak, i ktoś mi nawet mówił, że Kierdej do niej samej należy, gdyż jest ona jedynem dzieckiem, a ojciec umarł.

— To musi być zabawnie widzieć całą pensję w własnym domu!

— To zależy, jak kto zabawę pojmuje! Nie chciałabym w każdym razie być na jej miejscu!

— Jaka ona jest? czy miła?

— Jakże chcesz, bym wiedziała? Tyle ją widziałam co i wy.

Wszystkie były ogromnie zaciekawione tą nową. Po tygodniu na tyle już ją jednak poznały, że były gotowe jak najpomyślniejszy wydać o niej wyrok. Zula była doskonale wychowana; w obejściu raczej chłodna, i widocznie nie przyzwyczajona do towarzystwa młodych, ale jak tylko nieśmiałość jej poczęła się nieco ścierać, okazała się najmilszą koleżanką.

— Wcale nie jest zarozumiałą, choć Kierdej do niej należy, — zawyrokowała Lola.

— Tak, trzeba przyznać, że zupełnie nie zadziera nosa, — dodała Hela.

— Ja zaś znajduję, że zachowanie się jej jest wprost nadzwyczajne! — rzekła Natalka Wierska. — Nigdy, nawet słówkiem nie zdradza, co ją to musi kosztować przychodzić tutaj; nie stara się wśród nas rej wodzić, jakby to niejedna na jej miejscu robiła. Do ogrodu nawet nie chodzi, nie zostaje na tenisie, chyba że jest proszona, a wczoraj słyszałam ją przepraszającą p. Rozwowską za to, że ośmieliła się coś ogrodnikowi powiedzieć. Nawet Mademoiselle przyznaje, że jest „gentille et bien élevée", co samo w sobie jest wielkim zaszczytem, gdyż Melle Elise z zasady nas Polek nie lubi.

— Gdzieżby można Zuli nie lubić? — odparła Oleńka — przecież tyle ma uroku. Podług mnie to jedna z najmilszych panien, które wogóle znam, a przytem taka nieszczęśliwa! Biedactwo! dużo mi o niej opowiadała Irena Siecheniówna.

— A jakim sposobem Irena coś więcej wie od nas? — zapytała Lola.

— Jej rodzony wuj mieszka o milę stąd, a jej cioteczne siostry często się dawniej widywały z Zulą. Jest to nadzwyczajna rzecz, zupełnie jak z jakiej bajki!

— Ach, opowiedz ją nam, Oleńko! — prosiły zaciekawione dziewczynki.

Opowieść Oleńki była niezupełna; brakło bowiem kilku ważnych szczegółów, o których się dziewczynki dowiedziały dopiero wiele później. My jednak tu już podamy tę całość niezmiernej dla nas wagi, gdyż to wokoło niej wiją się losy dwóch naszych bohaterek.

Kierdejowie, jak już i zresztą dawniej Lola i Hela o tem wiedziały, byli starą rodziną szlachecką, która za czasów polskich odgrywała ważną rolę w historji naszych kresów południowych. Dziś była już na wymarciu, gdyż potomka męskiego nie było. Zula była ostatnią z rodu. Jeszcze przed trzema laty Kierdej należał do jej stryja, Edwarda Kierdeja, starego kawalera, dziwaka, którego całe życie było tak dziwne, że wielu go miało za niespełna rozumu. Ludzie przyznawali mu ogromne bogactwa, a jednak tak był skąpy, że żył jak odludek, nie przyjmując nikogo, nawet z rodziny, nie wydając ani na ubranie, (chodził w kitlu z chłopskiego samodziału) ani na jedzenie, gdyż jadł z czeladniej kuchni. Dla tegoż

skąpstwa nie ożenił się, nie trzymał służby, prócz starej klucznicy, — spędzał dnie w doskonale zaopatrzonej bibljotece, a o wschodzie słońca chodził w pole i do lasu, zbierając różne kwiaty i zioła! Ale biada temu, kto go na takiej przechadzce zaczepił słowem lub ukłonem. Testamentem zostawił wszystko bratanicy swojej Zofji Kierdejównie. „Szczególnej zaś pieczy — opiewał testament — polecam jej moją bibljotekę, radząc jej oddawać się z zapałem nauce botaniki, która to wiedza była przez długie lata moją jedyną pociechą i zajęciem w życiu".

Sądzono z początku, że Zula, jako spadkobierczyni stryja, odziedziczyła ogromny majątek, ale po przeszukaniu papierów nieboszczyka okazało się, że prócz domu z staremi, rodzinnemi pamiątkami i kilkuset koron w banku powiatowego miasta, nie było nic, coby wogóle mianem bogactwa szczycić się mogło. Nikt nie wiedział o jego sprawach majątkowych, to też nikt nie mógł odnaleźć najmniejszej poszlaki, gdzie się podziały owe pieniądze, o których wiedziano, że był za młodu odziedziczył. A nie tylko, że pieniędzy nie było, ale przepadły srebra i klejnoty, które u Kierdejów przechodziły z pokolenia na pokolenie. Domyślano się powszechnie, że p. Edward przechowywał skarby w tajemnej skrytce, ale choć cały dom dokładnie przeszukano, nic nikt nie znalazł. I oto zamiast być właścicielką magnackiej fortuny, Zu-

la posiadała stary zamek, który nie dawał żadnych dochodów i kilkaset mórg łąk; Kierdejowie ziemię od dawna rozparcelowali wśród chłopów, wielkość ich majątku polegała na kapitałach, a tych nie było. Zaraz po śmierci stryja przeniosła się Zula razem z matką do Kierdeju, ale nie posiadając odpowiedniego funduszu na utrzymanie tak wspaniałej siedziby, p. Kierdejowa z radością ją wynajęła p. Rozwowskiej, a sama usunęła się z córką do pawilonu.

— Czy Zula nie próbowała nigdy odnaleźć owych skarbów? — zapytała Lola, gdy im Oleńka opowiedziała to, co wówczas wiedziała sama.

— Nawet często; podobno wynosiły meble z każdego pokoju po kolei, macały ściany, szukając sprężynki, odsuwając szafy w nadziei ujrzenia ukrytych drzwiczek, ale wszystko napróżno.

— A jednak przecież te skarby być muszą?

— Bez wątpienia, ale mogą się nigdy nie odnaleźć, chyba przy zburzeniu domu. Wszystko to razem tajemnica nierozwiązana, jak dotąd przez nikogo.

— Czy mówiłaś o tem z Zulą?

— Naturalnie, że nie. Irena mówi, że boli ją nawet najmniejsza o tem wzmianka, czemu się zresztą zupełnie nie można dziwić, gdyż musiało to być dla niej wielkiem rozczarowaniem. Rozumiem więc, że unika o tem rozmowy. Proszę was, uważajcie, żeby się nigdy przy niej nie wyrwać

z czem niepotrzebnem, bo ją bardzo łatwo możecie obrazić, a ja będę żałowała, że wam cośkolwiek o niej powiedziałam.

— Jestem pewna, iż Lola i Hela mają wiele za dobre serca, by wypytywać Zulę o tak bolesną rzecz — rzekła Natalka.

— Naturalnie, że nic nie będziemy mówiły! Za nic w świecie! — przyrzekały dwie młodsze dziewczynki.

Tak niezwykła i prawie niewiarogodna opowieść zupełnie jak z bajki, ogromne zrobiła wrażenie na małych i Zula zajaśniała od tej chwili niezmiernym urokiem bohaterstwa. Lola i Hela natychmiast się udały do odległej altanki, by bez świadków rozmówić się o tak ważnej sprawie.

— To chyba straszne, — mówiła Lola — być biedną, posiadając właściwie nieprzebrane skarby.

— I to mając je ukryte tuż pod nosem, — dorzuciła Hela.

— Na miejscu Zuli nie mogłabym być szczęśliwą, pókibym nie odnalazła tych skarbów.

— Ja również!

— Słuchaj! Czemu nie mogłybyśmy popracować nad tą sprawą? Jeżeli te skarby istnieją, to można je przecież znaleźć!

— Lolu, jesteś genjalna! — wybuchnęła Hela, wprost zdumieniem przerażona.

— W każdym razie nie widzę, czemu mamy

pracować w gorszych warunkach od innych. Przecież chodzi tu głównie o dokładne przeszukanie wszystkich kątów!

— Cobym też dała, żeby się Zula stała jeszcze miljonerką!

— Aha... warto się o to na prawdę postarać! Te wszystkie boiserje mogą w sobie mieścić niezliczone ilości skrytek. Niewiadomo jeszcze co znajdziemy, jak zaczniemy szukać!

— Tylko baczność przed p. Frazewiczówną i Mademoiselle, żeby nas nie przychwyciły, bo nie zrozumieją naszego celu i będzie źle!

— Wogóle nikt nie powinien wiedzieć o naszem przedsięwzięciu.

— Nawet nie Myszka? — prosiła Hela.

— Broń Boże, — odrzekła Lola stanowczo. — Myszka zwierzyłaby się Ninie i już wiedziałyby wszystkie. A dopieroby się z nas duże wyśmiewały, przezwałyby nas poszukiwaczami złota lub podobnie, tylko dla dokuczenia nam. A oprócz tego, gdyby wszystkie o tem gadały, toby i do Zuli nareszcie coś doszło; a tego chyba nie chcesz,

— Naturalnie, że nie; ona o tem nic wiedzieć nie może!

— Widzisz sama! Więc musi to być nasza wyłączna tajemnica. Daj mi słowo, że nie zdradzisz!

— Słowo! — odparła Hela, już bez wahania.

Obydwie dziewczynki postanowiły przeprowadzić gruntowne poszukiwania za nieodnalezionym spadkiem, ale nie bez słuszności przewidywały wielkie bardzo trudności. Przedewszystkiem trudno było wogóle cokolwiek rozpocząć bez zwrócenia na siebie czyjejś uwagi; bo choć ten kwartał w Kierdeju wydawał się dziewczynkom wakacjami, były one jednak, — szczególniej, gdy raczyły zejść z świata marzeń w świat rzeczywistości, — na pensji, pod dozorem nauczycielek, skrępowane pewną ilością przepisów, których się trzymać musiały równie ściśle jak w Białym Domu. Nie wolno było chodzić wszędzie, gdzie się chciało, a nawet w czasie rekreacji trzeba było należeć do różnych gier i sportów, co zresztą nasze bohaterki czyniły z zapałem.

Główną jednak przeszkodą w ich chwalebnym zamiarze ujęcia się za uciśnioną Zulą była p. Wańkowiczowa, stara klucznica, która się czuła odpowiedzialną wobec swojej pani za całość domu i jego zawartości. Była ona śmiertelnie obrażona przybyciem trzydziestu w jej pojęciu — rozhukanych panienek, oraz należącego do nich sztabu nauczycielskiego i służebnego. Bacznem też okiem uważała na ich zachowanie, pilnowała z iście spartańskiem zaparciem się siebie każdego ich kroku i czynu, bacząc, by nie rysowały mebli i posadzek, by nie kapały steryną po schodach i korytarzach; słowem zrzędziła ciągle, a za

najdrobniejsze przewinienie zanosiła groźne skargi do p. Rozwowskiej. Gdyby p. Wańkowiczowa miała dostateczną władzę, najchętniej zamknęłaby dziewczynki w sypialniach i klasach, — ale że to już nie leżało w obrębie jej praw, dokładała wszelkich starań, by ciągłem gderaniem i burczeniem odstraszyć je od innych części domu. To też nienawidzoną była ogólnie i po krótkim czasie przezwaną „Smokiem". Dziewczynki starały się jej dokuczyć, gdzie tylko mogły, a raczej jak tylko śmiały.

— Smok jest dziś kwaśny jak ocet, — narzekała Wandzia Jarska — przechodziłam tylko przez galerję, a tu Smok wleciał na mnie wrzeszcząc, że wywrócę zbroję lub podziurawię obrazy!

— Aha, ona myśli, że my oczyma chyba co popsujemy, bo nam nie pozwala na nic patrzeć. Chyba na starość tak zgłupiała! — dorzuciła Marysia.

— Jest nieznośna! Szkoda też, że jej sobie nie zabrali! — rzekła Nina, — i to był ostateczny wyrok wydany na biedną, starą klucznicę...

Z takim ciągle czuwającym Smokiem na piętach, niemożliwem było dla Heli i Loli rozpocząć jakiekolwiek kroki w celu odnalezienia zaginionych skarbów; to też obydwie walczyły już ze zniechęceniem, gdy raptem, pewnego popołudnia, Hela ze skautowskim ukłonem, należnym przełożonemu od podwładnego, oznajmiła Loli,

że Smok, ubrany w czarną atłasową suknię i takiż czepek wyszedł frontowemi drzwiami w stronę plebanji.

— Toż to cudownie! — zawołała Lola. — Pani Rozwowska ma ból głowy, p. Frazewiczówna gra w tenisa, Mademoiselle czyta w altance, a one wszystkie albo patrzą na tenisa, albo grają w criquet; nikt więc nie zauważy, jak pobiegniemy do domu, gdzie będziemy mogły szukać bez obawy najścia ze strony wyższych władz i nieprzyjaciela.

Mogły dziewczynki mówić o szczęściu, była to bowiem wymarzona od wielu dni sposobność rozpoczęcia akcji (wyrażeniem Loli) wojenno-zaczepnej. Nie tracąc czasu, pobiegły do domu, czując w sobie zapas takiej energji i wiary, które kruszą mury! Z zapartym oddechem przeszły przez sień, salę jadalną, bibljotekę, zaglądając w każdy kąt, pod każdy mebel, stukając w boiserje, i nadsłuchując echa, czy przypadkiem która z drewnianych płyt nie ukrywa próżni; ręce kładły w otwory kominków, szukając ukrytej sprężynki — lecz wszystko daremnie.

— Słuchaj! — rzekła Lola — tu i tak nic niema. Ludzie nie robią przecież skrytek tam, gdzie je najłatwiej znaleźć. Chodźmy na górę, na strych, tam jeszcze nikt pewnie nie szukał.

Dziewczynki doszły na trzecie piętro, nie spotkawszy nawet nikogo ze służby. Jakoś dziw-

ną im się wydawała ta ponura cisza starego zamczyska, tylko złowrogie echo własnych kroków odbijało się od pustych i nagich murów. Gmach kierdejski był ogromny, prawie całe jego lewe skrzydło było niezamieszkałe. Dziewczynki przechodziły przez coraz to inne drzwi do coraz to nowych pokoi, nie różniących się niczem od poprzednich. Coraz dziwniej im się robiło samym, w tak zupełnie nie zamieszkałej części domu; nawet Lola była przerażona ogromem swego przedsięwzięcia.

— Nie wiedziałam, że to domisko takie duże; — westchnęła — przecież tu możnaby całemi latami chodzić i szukać i nic nie znaleźć; nic dziwnego, że się Zuli już odechciało! A przytem nie ma najmniejszej wskazówki, gdzie i jak szukać!

— Możebyśmy zaczęły wracać? —

Hela była zmęczoną bezowocnym trudem.

— Czekaj chwilkę, dojdziemy do końca tego korytarza.

Korytarz sam w sobie nie różnił się od innych, ale kończył się sionką o małych schodach, w okrąg ku górze wiodących. To w każdym razie wyglądało trochę obiecująco! Dziewczynki jakoś czuły, że te schody zaprowadzą je do czegoś ważnego i nadzwyczajnego. Poczęły się więc piąć, prawie że na czworakach, po szesnastu stromych stopniach. Na górze znów była sionka, znowu trzy stopnie i zamknięte drzwi.

Dziewczynki stanęły, namyślając się co dalej robić.

— Cicho! — szepnęła Hela — wydawało mi się, że coś słyszę!

Rzeczywiście dziwne odgłosy dochodziły z za zamkniętych drzwi, jak gdyby ktoś jęczał lub żałośnie wzdychał; po chwili wszystko ucichło, by znów, tylko tym razem głośniej — na nowo rozpocząć; — po chwili ustało zupełnie.

— Co to jest? — pytała Hela, nerwowo się tuląc do towarzyszki.

— Nie wiem, ale zaraz zbadam! — odrzekła Lola.

— Nie boisz się? Żeby tylko nic na nas nie wyskoczyło!

— Głupstwo! Co ma wyskoczyć?

— No, to coś, co jęczy! Uważaj, Lolu, uważaj!

— Nie bądź niemądrą, — odparła Lola — przyszłyśmy tu naumyślnie, by coś wykryć lub znaleźć i tym sposobem pomóc Zuli; jeżeli są więc jakieś hałasy w tym pokoju, to naturalnie, że ze względu na Zulę musimy zbadać ich przyczynę.

Z tem chwalebnem i oczywiście jasnem wytłumaczeniem własnej ciekawości, Lola otworzyła drzwi i zajrzała do tajemniczego pokoju.

ROZDZIAŁ III.

Ciekawość Loli pozostała jednakże niezaspokojona; pokój, do którego weszła, nie przedstawiał nic nadzwyczajnego, nie było nawet boiserji, ani mebli, ściany pokryte były starym, niemodnym, brzydkim papierem, o dużych kiściach winogron na żółtem tle; sufit był bielony wapnem. W jednej ścianie było okno z widokiem na ogród, wzdłuż drugiej biegła duża szafa, przez której otwartą jedną połowę widać było półki przeznaczone zapewne do bielizny. Nie tchnęło tu nic ciekawą przygodą, ani nic nie wskazywało na istnienie jakiejkolwiek kryjówki. Nie było kominka ani baldachimowego łóżka; wogóle, prócz pustej szafy, jedynym przedmiotem mogącym się zaliczać do mebli, była olbrzymia latarnia, zwieszająca się na łańcuchu. Cisza zapanowała zupełna, i choć dziewczynki uważnie dochodziły przyczyny poprzednich odgłosów, nie znalazły nic, coby je wprowadziło na choć możliwie prawdopodobny trop.

— Niema nawet kąta do skrycia szpilki, —

rzekła Lola, — nic już nie rozumiem, bo jęki były chyba dosyć wyraźne.

— Wiesz, tu się dzieje coś nadzwyczajnego — odparła Hela — lepiej chodźmy już na dół.

Zamykały właśnie za sobą drzwi, gdy nagle, na skręcie ukazała się postać p. Wańkowiczowej, w atłasowym jeszcze stroju. Dziewczynki snać źle obliczyły cel i długotrwałość jej wyprawy na plebanję. Zdumienie Smoka dorównywało ich własnemu przerażeniu! wydawszy okrzyk zgrozy i pospiesznie zajrzawszy do pustego pokoju, klucznica zwróciła się do dziewczynek.

— Coście tu robiły w szczytowym pokoju? — zapytała głosem, w którym gniew walczył jakby o pierwszeństwo z westchnieniem ulgi. — Doskonale wiecie, że wam nie wolno chodzić po całym domu; proszę nosa w cudze sprawy nie wścibiać; nie pozwolę na to, by panny chodziły po wszystkich kątach, a im prędzej to zrozumiecie, tem dla was lepiej. Już to utrapienie z temi szkolnemi pannami.

Głos jej był wprost groźny, i była bardziej rozdrażniona i rozgniewana, niżli okoliczność tego na pozór wymagała. Zabrała winowajczynie z sobą i ciągle coś pod nosem mrucząc, sama je odprowadziła do ogrodu.

— Jakaż ona nieznośna! — oburzyła się Hela, gdy wreszcie zostały same, — przecież p. Rozwowska wcale nam nie zabroniła chodzić na trzecie piętro.

— Ale właściwie, co tam robiła p. Wańkowiczowa? — przerwała jej głośno myśląc Lola. — Tam na górze, w pustym pokoju, tak odległym od zamieszkałej części domu! Nie bardzo to jasne!

— Nie wiem.

— Była w każdym razie przerażona naszym widokiem... mam wrażenie, że się pod tem coś kryje! Może prócz nieznośnej obowiązkowości i gderania ma inne jeszcze powody do wyrzucania nas z tego właśnie pokoju.

— Cóż może mieć za powody?

— A gdyby coś wiedziała o skrytce?

— To powiedziałaby Zuli!

— A może sama ma chrapkę na te pieniądze?

— Co?... Ale to niemożliwe!... A jednak ona najłatwiej może coś o nich wiedzieć, przecież była klucznicą u starego p. Edwarda przez tyle lat!

— W każdym razie wydaje mi się to mocno podejrzane! — orzekła Lola. — Musimy na nią uważać i ze względu na Zulę, dojść do jakiejś pewności.

Myśl, że p. Wańkowiczowa ukrywała w własnym interesie skarby Kierdejów, była wysoce zaciekawiająca; a im bardziej dziewczynki o tem myślały, tem bardziej im się to wydawało prawdopodobne. Któż mógł lepiej obszukać cały dom? a może zaufana klucznica była przy tem, gdy stary stryj-dziwak chował te pieniądze?

W każdym razie największa ostrożność była potrzebna do pokrzyżowania zamiarów Smoka.

— Musimy być dla niej bardzo grzeczne, — dodała Lola. — A przytem mieć uszy i oczy otwarte w razie, gdyby się choć nieznacznem słówkiem zdradziła.

Przez kilka następnych dni zachowywały się dziewczynki — w własnem przynajmniej pojęciu — bardzo dyplomatycznie; starały się nie drażnić p. Wańkowiczowej, ani wogóle zwracać na siebie uwagi, a przytem uświadamiały sobie najmniej nawet znaczne jej ruchy, kryły się za węgłami domu, chowały się po ciemnych kątach korytarzy z zapałem iście szerlokholmesowskim. Na nieszczęście zabiegi ich, choć tak nieznaczne, wkrótce zwróciły na nie uwagę.

— Co to ma znaczyć, Lolu, że zamiast być w ogrodzie, kręcicie się ciągle z Helą po korytarzach? — przemówiła do nich p. Rozwowska, zawezwawszy je do siebie. — Będę musiała ustanawić nowy przepis, że nikomu nie wolno wracać do domu, przed pierwszym dzwonkiem. Chcę, byście korzystały z tak pięknej pogody, i sportowały do woli, a wy siedzicie całemi godzinami po ciemnych i zimnych sieniach. Proszę, żeby się to nie powtórzyło!

Był to cios nielada, który ubezwładnił chwilowo dziewczynki i czynił wszelką dalszą pracę niemożliwą; nawet Lola bała się jawnie nie usłu-

chać tak wyraźnego rozkazu; postanowiła więc pracy zaprzestać dopóki nieuczycielki nie zapomną o wczorajszej burze; — wtedy będzie można ze zdwojonym zapałem dalej prowadzić rozpoczętą kampanję.

— Będziemy teraz porządnie grały w criquet i zapiszemy się z handicapem na konkurs tenisowy — rzekła Lola — gdyż za nic w świecie nie trzeba, żeby się p. Rozwowska dowiedziała o naszych planach.

— Chyba! — odparła Hela.

Nie brakło też urozmaiceń szkolnego życia w Kierdeju; prócz tajemniczych komnat i zaginionych skarbów, wiele było zabawnych wydarzeń, dużo śmiechu i hałasu! Coraz to nowe były powody do ruchu i wesołości, a były to takie powody, które nigdy nie zamącały spokojnego roku szkolnego w Białym Domu. Nina i Myszka zbudziły raz połowę panienek z powodu biednego nietoperza, który wleciał w odwiedziny przez otwarte okno. Przysłowie „a szczypawki dla zabawki,“ weszło w życie i zamieniło się w rzeczywistość, gdyż co chwila zjawiał się taki nieproszony gość w najdziwniejszych miejscach. Po krótkim czasie i najzagorzalsze mieszczki przestały się dziwić małym, zielonym gąsienniczkom, które stoczywszy kilkodniową walkę z wielkoludami, zwycięskie jednak zostały na placu boju, t. j. na oknach i firankach, skąd czasami — peł-

niąc prawdopodobnie służbę wywiadowczą — zapuszczały się w głąb pokoi. Prócz nowoprzybyłych miał stary dom stałych swoich mieszkańców, myszy i szczury mianowicie od dawna rozgościły się w murach. Hałasowały i piszczały za meblami, a bale wyprawiały w boiserjach i posadzkach. Przeszkadzały dziewczynkom te zabawy, napełniając je wstrętem i trwogą. Szczególnie upośledzone pod tym względem były Lola i Hela; częstokroć wydawało się im, że całe pułki tańczą i skaczą nad ich głowami.

— Nie potrzebują się panienki wcale bać! — mówił Smok, który się wyśmiewał ze strachu mieszczuchów — one nie mają dziur, więc pozostaną w murach.

Pomimo tych zapewnień, obawa znalezienia szczura w sypialni, nie dawała Heli spokoju.

— Jeżeli mi kiedy przeleci taki zwierz przez poduszkę, to wiem napewno, że umrę — skarżyła się biedaczka często. — Żeby nam przynajmniej p. Rozwowska pozwoliła mieć kota w pokoju, byłabym już wiele spokojniejsza.

Hela nigdy nie kładła się do łóżka, nie obszedłszy pokoju, uzbrojona w rakietę tenisową; zaglądała pod łóżka, do szafy, za firanki, by się przekonać, czy żadne niebezpieczeństwo im nie grozi ze strony szczura. Pewnego wieczora, robiąc zwykły przegląd, z krzykiem opuściła kotarę i uciekła w najodleglejszy kąt pokoju.

— Widziałam szczura! ot tam jest, dokładnie widziałam. Takiemi świecącemi oczyma patrzał na mnie — dygotała ze strachu.

— Cóż my teraz zrobimy? — zapytała Lola, niewiele od przyjaciółki spokojniejsza.

— Poproś p. Frazewiczównę, nie słyszałam, żeby była zeszła.

— Proszę go pod żadnym warunkiem nie straszyć, — mówiła p. Rozwowska, która zwabiona hałasem, przyszła się także dowiedzieć o powód. — Zaraz poślę po starego Szymona ogrodnika i poproszę go o przyprowadzenie Foksa. Musimy się naprawdę postarać o usunięcie tej plagi.

Po chwili zjawił się stary Szymon. Kroczył ciężko i poważnie, z dużym kijem w ręku i zwinnym Foksem u nóg; towarzyszyła mu p. Wańkowiczowa, dzierżąca w ręku szufelkę od pieca, a jedna z dziewczyn szła za nimi, trzymając na obroży Kudłaja, dużego brytana podwórzowego, mogącego być pomocnym w razie, gdyby szczur Foksikowi uciekł. Panny Frazewiczówna i Ochorowiczówna towarzyszyły p. Rozwowskiej, a Mademoiselle i większa część panienek w szlafrokach stały we drzwiach, wspinając się na palcach, by nie stracić nic z tak niezwykłego przedstawienia.

— Proszę mi pokazać, gdzie panienka widzia-

ła szczura — zapytał Szymon. — to zaraz na niego puszczę Foksa, a żyw nie ujdzie!

— Tutaj, z tej strony łóżka, pod kotarą — szepnęła wystraszona Hela.

Szymon się pochylił, z największą ostrożnością uniósł kotarę i wskazał psu; Foks węszył, ale bez zapału i wcale nie skoczył na ukrytą ofiarę.

— Tam nic niema, proszę pani, a przynajmniej niema szczura, — rzekł Szymon, wstając i prostując się.

— Czy jesteście pewni? — spytała p. Rozwowska — przecież chyba nie mógł uciec.

— I... i... i.. móc, to mógł, miał czas, ale taki nie uciekł, — odrzekł Szymon, uśmiechając się pod wąsem. — Niechno paniuńcia popatrzy, to i sama zobaczy.

Pani Rozwowska zdziwiona szybko dała nurka pod łóżko i z okrzykiem zdumienia wydobyła... irchową rękawiczkę Loli.

— Co za zabawna pomyłka! — zawołała, — wcale się Heli nie dziwię, że myślała, iż to szczur. Miękka skórka rękawiczki kolorem zupełnie przypomina szczura, a guziki świecą się jak oczy. Nie myślałam, żeby takie podobieństwo było możliwe i z pewnością pomyliłabym się sama. W każdym razie dobrze, że się na strachu wszystko skończyło i że już wam nic nie grozi, dziewczynki, możecie spokojnie się położyć, a w

razie powtórzenia waszych obaw; znowu zawezwiemy Foksa; nieprawdaż, piesku? — dodała, głaszcząc lśniącą sierść psa. — A możeby p. Wańkowiczowa jakie resztki nam dała? Jabym je już zjadł, proszę Pani. Nieprawdaż, Foksiku?

Przez kilka następnych dni żartowano naturalnie z Heli i jej szczura.

— Na przyszły raz wyobrazisz sobie, że Loli szlafrok, to tygrys! — mówiła Wańdzia.

— Widzisz, Wańdziu, to także sztuka z niczego coś wysnuć! — dodała Marysia.

— Jabym się wprzód przekonała, a potem dopiero krzyczała.

— Poczekaj na Foksika, podły szczurze.
A to tylko rękawiczka w dziurze!

— deklamowała skłonna do różnych improwizacyj Nina.

— W każdym razie nie tak prędko damy się znów schwycić! — dorzuciła Wańdzia.

— Łatwo wam mówić — broniła się Hela — ale jestem pewna, że schwyciłybyście się wszystkie! Tak, łatwo wam dokuczać, aż się przekonacie same!

— Jakie one nieznośne! — rzekła Lola, odprowadzając przyjaciółkę na bok. — Poczekaj, odpłacimy im pięknem za nadobne. Wiesz, mam bajeczną myśl, tylko chodźmy ją omówić w altance.

Wynikiem tej potajemnej rozmowy było udanie się obydwóch dziewczynek do p. Wańkowiczowej, z prośbą o stare pudełko.

— Kiedy oddałam wszystkie wczoraj Szymonowi do wysyłania nasion; a to jedno całe jest popsute — odpowiedział niebywale uprzejmie Smok. — Boję się, czy się panienkom na co przyda.

— To nic nie szkodzi, proszę pani. Wystarczy nam takie; przecież nic ciężkiego nie będziemy w nie kładły. — Nieprawdaż, Helo?

Jedyną odpowiedzią Heli było tak gwałtowne duszenie się od śmiechu, że p. Wańkowiczowa spojrzała na nią obrażona.

— Proszę na nią nie zważać, ona taka niemądra! — uprzejmie wytłumaczyła przyjaciółkę Lola; poczem dodała: — Czyby nam pani nie mogła także dać kilka kawałków ciemnego sukna? Może co znajdziemy w tej tu starej szafie. Bądź cicho, ty warjatko! — ostatnie wymówione było ciszej, do Heli, która kurczawo przytrzymywała ręką usta.

— Chcemy trochę szyć dzisiaj — spróbowała wymówić ta ostatnia, starając się wszelkiemi sposobami stłumić w sobie śmiech.

— Hm! to panienki jakieś pilne dzisiaj — zamruczała stara klucznica. — Cieszę się, że przecież chociaż raz będziecie miały igłę w ręku; bo

teraz panienkom jeno skakanie i hasanie za piłką w głowie! Nie tak jak za moich czasów!

Wyciągnęła duży worek, pełen najróżniejszych skrawków i dała go dziewczynkom do przejrzenia. Te ostatnie wybrały spory kawał znoszonego, wytartego, brunatnego sukna i podziękowawszy Smokowi, pobiegły po pudełka od robót. Obarczone temi przyborami udały się do najodleglejszej części ogrodu, gdzie wiedziały, że ich nikt nie znajdzie. Grubo się p. Wańkowiczowa myliła, mając nadzieję, że dziewczynki zajmą się ładną i delikatną robotą! Bynajmniej; Lola zadowoliła się kilkoma cięciami dużych nożyczek, Hela kilkoma ściegami, którychby się pewnie i szewc powstydził; a po półgodzinnej tego rodzaju pracy, Lola dumnie ukazała owoc tejże. Był to rzeczywiście bardzo udany szczur, miał tułów podłużny, okrągły, cztery łapki i śliczny, długi, czarny ogon, który Hela za pomocą śliny czyniła coraz bardziej świecącym.

— Wąsów nie możemy mu zrobić, — mówiła, ale nie bardzo o nie chodzi, bo i tak ich nie dostrzegą. Jak to dobrze, że teraz tak długo jasno, dokładnie poznają, że to szczur.

— A uda się jedynie dzięki baldachimowym łóżkom, — zaśmiała się Lola na samą myśl o bajecznym figlu.

Marysia i Wańdzia spały w pokoju zupełnie naprzeciwko tego, który był zajęty przez Helę

i Lolę. Przed wydzwonieniem ósmej zdołały te dwie ostatnie wymknąć się na górę, by pospiesznie dokończyć przygotowań do figla. A przyznać trzeba, że urządzenie było genjalne. Przywiązały zrobionego szczura na cienkiej nitce do samego środka baldachimu, do nitki przyczepiony był długi sznurek, który za kotarą przechodził przez drzwi i którego koniec ukryty był pod chodnikiem na korytarzu.

— Zobaczysz, gdy szarpniemy sznurkiem, nitka pęknie, i buch, szczur spadnie im prosto na nos! — mówiła Lola, bardzo dumna, zupełnie zresztą słusznie, z swego pomysłu. — Prędko, Helo, chowaj pudełko pod łóżko, bo ktoś zdaje mi się idzie!

— One się niczego nie domyślą! — rzekła Hela, wstając i okręcając się na pięcie. — Ależ się ślicznie wystraszą!

O zwykłej porze, jak gdyby nigdy nic, poszły spiskowczynie spać, zatrzymując się jeszcze na przejściu, by powiedzieć Marysi dobranoc.

— Chciałam jej życzyć, by im nic nie przeszkodziło we śnie; — śmiejąc, rozbierała się Lola, — ale zastanowiłam się, że może lepiej cicho siedzieć. Jak długo trzeba czekać nim zasną?

— Pewnie z pół godziny. Poczekajmy, aż zegar w galerji nie wybije dziewiątej.

Półmrok trwał dość jeszcze długo, by o dziewiątej móc dostrzedz dwie białe, bose postacie,

które cichaczem otworzyły drzwi i przykucnęły na korytarzu. Na ich szczęście cicho było zupełnie w tej części domu, młodsze dziewczynki już spały, a starsze były jeszcze na dole z nauczycielkami.

— Musimy uważać na sznurki, — szepnęła Lola, — ja mam mój z sypełkiem na końcu.

To mówiąc szarpnęła nim silnie i szpulka zagruchotała w pudełku. Przez zamknięte nawet drzwi dokładnie słyszały hałas.

— Co to jest? — odezwał się wystraszony głosik za drzwiami.

— Nie wiem... słuchaj, znowu coś drapie. — Tym razem był to głos Wańdzi.

— Och, bo to coś siedzi pod łóżkiem!

— Chyba nie szczur!...

— Teraz! — zachichotała Hela i silnie pociągnęła za swój sznurek.

Figiel udał się doskonale. Odgłosy krzyków, wydobywające się z pod baldachimowego łóżka, wystarczyły nie tylko na obudzenie wszystkich małych, ale i na sprowadzenie panny Frazewiczówny z bibljoteki. Lola i Hela, upuściwszy sznurki wzięły nogi za pas i znikły z korytarza, ani minutę nie za prędko... p. Frazewiczówna już zapalała zapałkę. Okrzyk zdumienia wyrwał jej się z ust, gdy ujrzała na łóżku Wańdzi małego, rudego szczura, któremu Hela przyszyła w miej-

sce oczu dwa brylanciki, wyprute z swoich wieczornych pantofelków. Szczur dziwnie spokojnie leżał na poduszce, patrząc świecącemi oczyma na przerażonych widzów.

— A może ja go schwycę w ręcznik — odezwała się wreszcie odważniejsza od innych Nina.

— Uważaj, bo cię ugryzie! — trzęsła się Marysia.

Nina z pomocą p. Frazewiczówny zgrabnie zarzuciła ręcznik na szczura... ten ostatni jednakże ani drgnął.

— Może on nie żyje! — szepnęła Wańdzia.

Panna Frazewiczówna ostrożnie uniosła róg ręcznika... szczur leżał, przewrócony na wznak — a na jego brzuszku widniał... wielki, nierówny szew! Panna Frazewiczówna nie mogła się powstrzymać od gwałtownego wybuchu śmiechu, któremu prócz rozgniewanej i zawstydzonej Wańdzi zawtórował chór małych.

— Wszystkie poszły zobaczyć, co się dzieje, — odezwała się, słysząc te śmiechy Lola; dziewczynki nie były jeszcze opuściły bezpiecznego schronienia własnego pokoju, do którego w ostatniej chwili dopadły. Jeżeli i my nie pójdziemy, to się domyślą, kto figla spłatał.

— W każdym razie trzeba się będzie przyznać! — odparła Hela, otwierając drzwi.

— Wiesz, że to było warte nawet bury, — oświadczyła Lola, gdy po wysłuchaniu uwag

p. Frazewiczówny o niebezpieczeństwie takich żartów, znalazła się znów sama z Helą. — Dużobym dała, by móc widzieć ich miny, gdy szczur na nie spadł. Nie mogą teraz opowiadać o strachach; a jeżeli się znów odważą na dokuczanie, powiemy im tylko: „Przygania kocieł garnkowi, a sam smoli“.

ROZDZIAŁ IV.

Nie było na świecie cudniejszego zakątka jak Kierdej! Co do tego jednego przynajmniej zdania trzydziestu panienek, oddanych pod opiekuńcze skrzydła p. Rozwowskiej, były nie podzielone Ogród, z dużemi trawnikami, przypominającemi barwne łąki, z wijącemi się wśród starych drzew dróżkami, z ślicznemi altankami, obrośniętemi dzikiem winem lub pnącemi się różami, był wprost rajem dla ich wyobraźni, skrępowanej miejskim parkiem. Wyżej wspomniane trawniki pozwalały na urządzenie takiej ilości lawntenisów, że małe nie potrzebowały czekać zmiłowania dużych, lecz zawsze miały swoje własne place. Duży ugór tuż za ogrodem służył im za przepyszne pole do criquet i lacrosse. W ciemnym świerkowym gaju, oraz w alei piramidalnie ciętych bukszpanów można było grać w chowanego; a nie była to gra „na patelni" jak mówiła Lola, ale gra porządna, gdzie nieraz dobrze się trzeba było napracować nim się kogo znalazło! A nagrodą tegoż trudu były rozliczne ławki,

umieszczone w najbardziej cienistych i uroczych zakątkach tego ziemskiego raju; tam też spędzały dziewczynki rekreacje, gawędząc lub czytając, gdy za gorąco było na wszelki gwałtowniejszy ruch.

Krużganek o kamiennej posadzce, biegnący wzdłuż całego frontu domu, nabierał wielkiej wagi, gdy trawa była za mokra na sporty, a wielka pusta cieplarnia na końcu ogrodu gościła często pod swym szklanym dachem gromadkę dziewczynek, uciekających przed letnią ulewą.

Ulubionem miejscem panienek był t. zw. labirynt na końcu lipowej alei. Labirynt ten, składający się z przynajmniej stu wąskich ścieżynek, obramowanych wysoko ciętym szpalerem i prowadzących do środkowej altany, był założony z końcem XVIII w., kiedy to różne takie pomysły przeniesione z zagranicy przychodziły panom polskim do głowy. Odnaleźć się w tym labiryncie było rzeczywiście sztuką, gdyż ścieżki albo raptem kończyły się nagle przed parawanem szpaleru, albo doprowadzały do tego samego miejsca, z którego się wyszło; jedna z nich tylko wiodła do środka. Przez długi czas nie mogły się dziewczynki zorjentować w tej niezliczonej ilości ścieżek i skrętów. Hela upuszczała kamyczki, jak mały Hans z bajki Andersena; Lola starała się przeciąć węzeł gordyjski, przechodząc przez gąszcz, ale dopiero po wielu takich nieudanych

próbach udało się dziewczynkom wpaść na dobrą drogę.

W pośrodku jednego z trawników stał wielki, poważny, sędziwy jesion, z gałęziami tak nisko się ku ziemi zwieszającemi, że dziewczynki z wielką łatwością na nie wchodziły. Było to ulubione schronienie małych, z których każda miała na drzewie swoje miejsce. Tam też często można je było dostrzedz, siedzące jak ptaszki na drzewie, a świergotem swoim przypominały co najmniej stado wróbli. Tuż obok—olbrzymi dąb, dźwigał w swych konarach huśtawkę, która choć żywcem przeniesiona z Białego Domu, wiele większym się tu cieszyła powodzeniem, a to dzięki towarzyszącym jej okolicznościom, a raczej otoczeniu. A przyznać trzeba, że w tym wypadku otoczenie było rzeczywiście urocze, gdyż silne pchnięcie huśtawką posyłało szczęśliwego jej posiadacza hen — wysoko — pomiędzy zielone liście, dając mu możność przelotnego spojrzenia w gniazdo rudzika, gdzie otwarte żółte dzióbki z niecierpliwością oczekiwały obiecanej im przez matkę muszki....

Z tegoż, tak zwanego przez dziewczynki, huśtawkowego placu, trzy terasy, każda od poprzedniej o kilka stopni niżej położona, prowadziły do dużego stawu, gdzie wśród gąszczu wodnej zieleni, złociły się złote irysy, błękitniały modre niezapominajki i lśniły cudną urodą białe nenu-

fary. Nad stawkiem stała śliczna budka, zamieszkała przez parę złoto-zielonych kaczek, tak oswojonych, że co rano przychodziły po okruszyny chleba, które im dziewczynki przynosiły ze swego śniadania.

Jakaż była ogólna radość, gdy pewnego dnia pojawiło się na stawku siedmioro maleńkich kaczątek. Każde było żółte jak kanarek i od razu czuło się na wodzie zupełnie jak w domu.

Oprócz tych wszystkich wyżej wymienionych przyjemności był także w Kierdeju śliczny ogród róż, który słynął na całą okolicę i uchodził w niej za ósmy cud świata. I słusznie, bo utrzymanie tak kosztownej zachcianki, jaką jest w naszym kraju ogród róż, nie mało wymagało trudów. To też cały był okolony wysokim żywopłotem ciętego krategusu, który osłaniał to delikatne kwiecie od zimnych podmuchów wiatrów, wiejących od białego cara. Tym sposobem róże, nieświadome zimnej słoty i wichrów, kwitły jak w cieplarni, począwszy od wdzięcznej „Maréchel Niel“ do wspaniałej, czerwonej „Paul Néron“ i złotego „Bouton d'or“. Umyślnie zbudowane ganki, łuki, bramy i altanki z drutu pokryte były jedną enesą białego i czerwonego kwiecia. Małe te różyczki kiściami zwieszały się ku ziemi, nie cięte ani wiązane, czyniąc wrażenie cudownej amerykańskiej puszczy... A w tym iście niebywałym na nasze zimy ogrodzie dumnie chodziły czte-

ry pawie, które tak się z tym ogrodem róż zżyły, że tworzyły wprost nierozdzielną z nim całość. Pawie były, jak to często mawiała p. Rozwowska, koniecznem uzupełnieniem tego obrazka, przeniesionego żywcem z głębi średnich wieków.

Sama wieś Kierdej oddalona była o jakie dziesięć minut drogi od pałacu; składała się ona z jednej długiej ulicy, obsadzonej akacjami, po której obu stronach stały małe, bielone domki długim szeregiem. W przeciwieństwie do polskiej wsi, rusińska osada, choćby jak w tym wypadku, oddalona o 30 kilometrów od najbliższego miasteczka, zawsze mile uderza oko swą czystością i schludnością. Kierdej nie stanowił wyjątku; bieliły się niskie domki o słomianej strzesze; okolone wysokim płotem, smutne raczej czyniły wrażenie, gdyż wyglądu ich nie rozweselał żaden ogródek — złote słoneczniki — i wogóle cały barwny świat kwiatów nikł za zielonym żywopłotem.

Na samym końcu wsi stał mały drewniany kościółek, stary — przetrzymał walki i boje, pożary i zniszczenia, krzyżem błogosławiąc okolicę. Bynajmniej nie był wspaniały, przeciwnie, mały, ubogi, drewniany, dzwonnicę miał jedynie ogromną, wysoką z nieociosanych szarych kamieni, stojącą opodal, snać nabytek dawnych świetnych czasów Kierdejów. Wewnątrz kościółka były dwa pomniki tejże rodziny — jeden zdruzgotany,

połamany, obdrapany, przedstawiał klęczącego bojownika z podniesioną prawicą — drugi z białego marmuru, nic nie uszkodzony, dłuta snać znakomitego, choć nieznanego, przedstawiał młodą dziewczynę — Katarzynę Kierdejównę. Leżała ona z zamkniętemi oczyma, jakby czekając odgłosu trąb, mających ją wezwać do lepszego życia. Nad ołtarzem widniały rozwieszone chorągwie, zdobyte podczas wojen tureckich, które pobożni Kierdejowie, snać jako wotum, Bogu ofiarowali. Oprócz tych kilku rodzinnych pamiątek świecił pustką ubogi kościołek. Ławka — a raczej stale Kierdejów stały w presbiterjum; oczywiście, że nie mogła się tam cała pensja pomieścić, to też dziewczynki stały po większej części wśród wiernych, łącząc młode swe głosiki z głosem ludu. Jestem pewną, że nawet największe trzpioty z pośród naszych panienek przez długie lata nosić będą w sercu wspomnienie tego starego, cichego, wiejskiego kościółka, z którego murów modlitwa płynęła tak prosto i kornie do Boga. — Ładna plebanka, o bluszczem obrośniętej altance, wśród wiśniowego sadu, stała na straży wsi, nad drogą, prowadzącą w pole. Krajobraz nie był tu wspaniały jak to często na Podolu głębiną jarów i szumem rzek; przed okiem rozwijały się szmaragdowe łąki, na których z rzadka ciemniały kępy drzew; zielone jeszcze łany pszenicy wiły się naokoło widniejących w dali chat gospodarskich,

a pole kwitnącego rzepaku złociło się na widnokręgu, śląc przecudną woń królewskiemu Kierdejowi w dani.

Nietylko panienki, ale i nauczycielki pałały wielką ochotą zwiedzenia okolicy, w której, według opowiadań Zuli, niejedna ciekawa była ruina. Czyniąc zadość temu pragnieniu swojej gromadki p. Rozwowska pozwalała na dalekie przechadzki co środę i sobotę, w których to dniach popołudnia zawsze były wolne. Cała pensja rzadko wychodziła razem, dziewczynki wolały bowiem chodzić klasami pod dozorem własnych nauczycielek, gdyż nie obowiązywały wtedy żadne nudne przepisy; można się było oddzielać, by jaki kwiatek zerwać lub gniazdko obejrzeć, wolno było biegać dowoli, nie trzymając się przymusowo głównego traktu. — Pewnej środy, wszystkie sześć członków III-ciej klasy stały u bramy gotowe do przechadzki, oczekując z niecierpliwością nadejścia p. Frazewiczówny, która wbrew swoim zwyczajom spóźniła się o cały kwadrans.

— Mam nadzieję, że nie o mnie rozmawia z p. Rozwowską — mówiła Wańdzia — miałam same złe stopnie dzisiaj—a już od tygodnia grozi mi skargą do p. Rozwowskiej, jeżeli mieć będę dwójkę z historji — a właśnie ją dziś dostałam — prócz tego chybiłam cztery razy w literaturze, dwa razy w geografji i wszystkie moje zadania matematyczne były złe!

— Pociesz się! — mówiła Marysia. — Mam wrażenie, że chodzi o wynajęcie jeszcze jednego fortepianu, abyśmy wszystkie mogły ćwiczyć taką samą ilość godzin, co w Białym Domu.

— Jaka szkoda, chyba pół godziny tej przyjemności starczy każdemu! — rzekła Lola.

— Szczególniej teraz, kiedy i tak nauczycieli niema! — zauważyła Hela.

— Właśnie dlatego — tłumaczyła Marysia — p. Rozwowska chce, byśmy nic nie zapomniały i były tym sposobem przygotowane na p. Brentowca.

— Ach, nie mówże o p. Brentowcu! Już go chyba nigdy nie zobaczymy!

— Owszem, zobaczysz go w październiku!

— No, w każdym razie teraz mamy czerwiec a nie październik i chwilowo uczy nas p. Frazewiczówna, która właśnie idzie, strasznie się do nas spiesząc.

— Przepraszam was, dzieci, że czekałyście, ale p. Rozwowska dała mi zlecenie do załatwienia w czasie naszej wycieczki. — Mamy iść do Monasterku o mniejwięcej 5 km. stąd.

— Nowa przechadzka? — spytała Marysia.

— Tak, nigdyśmy tam nie były — ale chyba nie zbłądzimy!

Nowa przechadzka ogromnie ucieszyła już i tak uradowane dziewczynki. Poweselały, o ile to jeszcze było możliwe i raźno puściły się wska-

zaną drogą. A miały się czem cieszyć; dzień był rzeczywiście cudowny — jeden z tych dni rzadkich w roku, w którym wiosna jakby podała sobie ręce z latem. Drzewa i pola pokryte były delikatną, jeszcze świeżą zielenią — a powietrze było przesiąknięte odurzającą wonią już rozkwitających akacyj. Cicho brzęczały pszczoły, czerpiąc miód z wdzięcznie się zwieszających kiści tychże kwiatów; świerki w przydrożnym gaju puściły nowe pędy, które wyglądały jak małe zielone świeczki na nieubranem jeszcze gwiazdkowem drzewku. Głogi, ciernie, dzikie grusze i jabłonie przekwitły już zupełnie — za to odbijała się gdzie niegdzie od szafirowego tła nieba masa różowego kwiecia krategusu lub śnieżne kiście białego bzu przerywały jednolitość żywego płotu, okalającego małe gospodarstwa, rozrzucone na szerokiej zielonej przestrzeni. Na łączkach i przydrożnych rowach liljowe dzwonki cicho dzwoniły; habry podnosiły swe modre oczka wśród zielonej pszenicy, a tymianek pachniał i pachniał...

Panna Frazewiczówna była sama jeszcze młoda i z ochotą czekała na dziewczynki, które pozostawały w tyle, zbierając pęki kwiatów lub wdrapując się na pagórki, by podziwiać stamtąd okolicę. Na równi z niemi zachwycała się znalezionem gniazdkiem, na równi z niemi drżała na widok jastrzębia, nisko kołującego nad kępą krzewów, gdzie widocznie jakiś słowik czy trznade-

lek był sobie usłał gniazdko i z trudem i miłością hodował małe pisklęta. Kukułki głośno nawoływały po lasach i ogrodach, skowronki wysoko nad niwą nuciły hymn radości i pozdrowienia, krasny dudek hukał po polach; a przydrożne żywopłoty drgały szybkiem tętnem życia ptaków. W krótkim bardzo czasie zeszła nasza gromadka z głównego traktu i szła małą ścieżynką, wijącą się wśród pól i prowadzącą koło niedużego stawku pełnego żab, kijanek i głowaczy. Dziewczynki patrzały z zdumieniem na życie wodnych zwierzątek; — nie uczyły się jeszcze nigdy o tem wszystkiem i dziś dopiero dowiedziały się, że z tych wiecznie się kręcących i skaczących czarnych kropeczek powstają zielone żabki. Byłyby tam długo stały, bawiąc się chwytaniem tych małych stworków, gdyby nie p. Frazewiczówna, której cierpliwość już nie przetrwała tej próby i która nagliła do dalszego pochodu, twierdząc, że w ten sposób nie zdążą wrócić na szósta. Monasterek leżał wśród dużego wiśniowego sadu, dom mieszkalny z grubych ciosanych kamieni przylegał do resztek starej wieży, szczątku dawniejszego pewnie kościoła. Obok stała mała obórka, przez której otwarte drzwi widać było wiejską dziewczynę, dojącą krowy. Dziewczyna bosa, rozczochrana, opalona, lecz zresztą ładna, zapytana o gospodarza, wytrzeszczyła tylko oczy, przerażona tylu obcemi twarzami.

— Poczekajcie tu na mnie, dzieci, aż załatwię zlecenie p. Rozwowskiej — rzekła p. Frazewiczówna — albo możecie sobie powoli wracać do domu, pewno was dogonię w gaju.

W tej chwili ukazała się we drzwiach domu p. Martysiakowa, usilnie prosząc p. Frazewiczównę, by raczyła wejść do izby i tam się z nią rozmówić. Osamotnione dziewczynki poczęły zwolna wracać w stronę bramy podwórzowej.

— Ciekawam, jak to długo potrwa ta sprawa? — zapytała Lola, idąca z Helą na uboczu.

— Mam wrażenie, że chodzi o płacenie rachunku i zamówienie mleka i jaj — czy tam czegoś podobnego, więc przynajmniej z dziesięć minut będą się targowały — odpowiedziała Hela.

— W takim razie będziemy miały czas obiegnąć całe podwórze dokoła. Mam wielką ochotę zajrzeć do tej starej stodoły i za te stogi siana. Chódź, dziewczyna zawzięcie doi, więc nas nie zobaczy, a gdyby nawet nas zobaczyła, myślę że chyba niema w tem nic złego. Wszak prędko potem tamte dogonimy.

Bardzo awanturniczo usposobiona parka nasza pobiegła na koniec podwórza i wpadła przez rozwarte wrota w głąb wielkiej stodoły. Jak ślicznie tam pachniało! jaki miły, delikatny, a silny zapach wydobywał się z góry siana, wznoszącej się w rogu. Dziewczynki rzuciły się w stronę owego siana i wskoczyły w nie, grzebiąc,

kulając się i robiąc sobie w niem gniazdka. Ciemno było w stodole, nie tą czarną ciemnością nocy, ale owym bronzowym półmrokiem starych kościołów, lub skupionych komnat. Przez otwarte drzwi wpadał prostolegle jaskrawy promień słońca, w świetle której to smugi widoczne były najdrobniejsze pyłki kurzu, drgające życiem i tańcem. Belki sklepienia ginęły w pomroce, kontury ich zaledwie się odznaczały, stare i nierówno ciosane, pokryte siecią pajęczyn, do których pazurkami były przyczepione nietoperze... jak przynajmniej twierdziła Hela; o mniej bujnej jednak wyobraźni Lola gwałtownie temu przeczyła. Któż zresztą mógł być pewnym w tych ciemnościach? Siedzenie na sianie tak się dziewczynkom spodobało, że bynajmniej nie miały ochoty się zeń ruszyć. Byłyby zapomniały zupełnie o upływającym czasie, gdyby głos p. Frazewiczówny, żegnającej się z p. Martysiakową, nie spędził ich z tego legowiska.

— Będziemy się musiały ruszyć! — jęknęła Hela. — Mogłabym tu godzinami siedzieć!

— Ja również, — odparła Lola, wstając i ziewając — poczekaj, możebyśmy zeszły tą tu stroną na odmianę, może jeszcze zobaczymy co ciekawego.

Niewiadomo co za zły duch podszepnął Loli chęć zejścia drugą stroną. Gdyby się dziewczynki były trzymały już raz przebytej drogi, byłyby

niezawodnie dogoniły p. Frazewiczównę i wrócić z nią bez dalszych przygód do domu. Los jednak inaczej rozsądził, gdyż Lola, zeskakując z siana silnie się o coś potknęła. Jedną ręką rozcierając obolałą nogę, drugą starała się w ciemnościach domacać tego czegoś, co jej się sincami wryło w pamięć. Okazało się, że była to drabinka przystawiona do małych drzwiczek szczytowych. Wszystko to razem wydawało się bardzo ciekawe, na co też Lola nie omieszkała zwrócić uwagę Heli.

— Dokąd to prowadzi? — zapytała ta ostatnia. — Może na spichlerz. Ciekawam swoją drogą, co tam może być? Chodź, pójdziemy zwiedzić.

Nie czekając odpowiedzi, poczęła się wspinać ku górze. Była już na szóstym szczeblu, nim Hela zdążyła się sprzeciwić.

— Ależ zaraz zejdziemy, — odparła Lola — p. Frazewiczówna poczeka na nas w gaju, a zresztą możemy ją nawet prędzej dogonić, jeżeli całą drogę będziemy biegły.

Gdzie się Lola ruszyła, tam zawsze Hela szła za nią, to też odważnie piąć się poczęła po drabince i w swoim czasie, t. j. w kilka minut po Loli, dotarła na górę. Jak to Lola przypuszczała, był to spichlerz, do połowy zapełniony worami pszenicy i dużą luźną kupą prosa; małe drzwiczki ukrywa-

ły schody, wiodące na dół, a w przeciwległej ścianie było okno z widokiem na pola.

— Tu przecież niema nic ciekawego — zauważyła Hela, — nie warto było nawet wchodzić!

— Możemy w każdym razie zejść temi schodami — mówiła Lola, chodząc naokoło worków i myszkując za czemś ciekawem, — popatrz! tu ktoś zostawił podwieczorek.

Rzeczywiście, na samym wierzchu prosa stał niebieski garnek i leżał chleb, owinięty czerwoną chustką. Z prostej tylko ciekawości i chęci dowcipkowania Lola rozwiązała chustkę i podała Heli chleb.

— Chcecie chleba na południe — zażartowała grubym głosem.

„Brrr“ rozległo się głębokie basowe warczenie tuż za nią! Duży kundys wyskoczył z kąta, gdzie leżał niewidziany przez dziewczynki, pilnując podwieczorku swego pana. Lola odłożyła chleb i chustkę.

— Cicho, piesku, ładny pies! — zwróciła się do psa, wyciągając doń rękę.

Lecz pies nie zrozumiał lub nie chciał zrozumieć pięknych jej słówek; zbliżył się jednak do niej, ale groźnie warcząc i pokazując rząd ostrych kłów.

— Chodźże tutaj, głupi psie! Czy on myśli, że ja chcę coś ukraść?— zapytała tonem niedowierzania Lola.

— Myślę, że tak — odparła wystraszona Hela. — Nie zbliżaj się do niego, bo cię napewno ugryzie.

Nawet ogromnie odważna i psy lubiąca Lola przyznać musiała, że duże to zwierzę niezbyt przyjaźnie patrzało na nią. — Chodźmy! — rzekła, idąc do drzwi. Ledwo się ruszyła, pies groźnie warknął i byłby się niechybnie na nią rzucił, gdyby nie była stanęła na miejscu.

— Cóż teraz zrobimy? — zawołał Lola przerażona.

Rzeczywiście położenie ich nie bardzo było godne zazdrości. Pies będący stróżem spichrza — a uważający nieproszonych gości za złodziei — nie chciał żadnej z nich pozwolić zejść na dół. — Z podełba na nie spoglądając, warczał za najmniejszem poruszeniem tak groźnie, że dziewczynki nie chciały bynajmniej wystawiać zamiarów jego na próbę czynu. Po co też tu przyszły i czemu nie zeszły drabinką — nie budząc psa? Żeby choć Lola nie była przez ciekawość do chustki zaglądała, możeby już teraz były za podwórzem i w pobliżu p. Frazewiczówny. Kiedy i jak się teraz stąd wydostaną? Pies będzie pewnie czekał powrotu pana i dopiero za jego rozkazem je wypuści.

— Może p. Frazewiczówna wróci nas szukać? — wyszeptała Hela, bardzo cicho, niespokojnie patrząc na psa.

Lecz widocznie ten ostatni nic nie miał przeciwko rozmowie, byle prowadzonej na jednem miejscu, bo choć ciągle patrzał na dziewczynki — nie zawarczał; i to już było pociechą w tem rozpoczliwem położeniu; niemożność rozmawiania — byłaby męką nie do zniesienia.

— Przecież nikt nie wie, że tu przyszłyśmy, — odparła Lola, — p. Frazewiczówna pomyśli, że wróciłyśmy polem na przełaj do domu.

Czyż nikt im nigdy nie nadejdzie z ratunkiem? Czas tak wolno upływał, że minuty wydawały się godzinami, a dziewczynki z przerażenia i przestrachu ledwo się już mogły utrzymać na nogach. Szczęściem Hela stała tak blisko okna, iż mogła przez nie widzieć, co się na polu działo; wpatrywała się w nie zawzięcie — lecz pomimo tego, nic dostrzedz nie mogła. Po chwili pies zmęczył się widocznie, gdyż ułożył się na ziemi — nie popuszczając jednakże poprzedniej czujności.

— On tu chyba całą noc zostanie! — ze łzami szepnęła Hela.

Z każdą chwilą położenie stawało się nieznośniejsze: dziewczynki tak były przemęczone długiem staniem i ciągłym strachem, że czuły zbliżające się nieszczęście, o ile nie nadejdzie jaka pomoc w przeciągu następnych kilku minut. W chwili, gdy Hela na najgorsze już przygotowana, chciała oknem na ziemię wyskoczyć — przy-

szło zbawienie! Oto ujrzała małą postać Zuli Kierdejówny, szybko idącej w ich stronę. Hela wydobyła ostatki swoich sił i poczęła krzyczeć:

— Zulo, Zulo, ratunku, przychodź do nas!

Zula stanęła jak wryta, ze zdziwieniem oglądając się, kto ją tu woła; lecz spostrzegłszy, iż krzyki pochodzą ze spichlerza, poczęła biedz w tę stronę i bez tchu prawie dopadła do drzwi. Zdziwienie jej zamieniło się wkrótce w trwogę, gdy zrozumała położenie dziewczynek. Wszelkiemi sposobami starała się psa odwołać, lecz gdy jej się to nie udało — zbiegła na dół z postanowieniem przyprowadzenia pierwszej napotkanej osoby. Po chwili wróciła z samymże p. Martysiakiem, którego grube buty i sękaty kij przekonały wkrótce nieubłaganego stróża, że tym razem zbyt gorliwie wypełniał swoje obowiązki.

— Bo Piotruś, to dobry pies — proszę panienek, ale dziś już przemądrzałeś, ty głupi psie! Toć to powinieneś wiedzieć, że takie dwie małe dziewczynki nic nie mogą nawet unieść. Tak — możesz się kryć — już ty mi się dziś na oczy nie pokazuj — bo posmakujesz kija.

Po tak przerażających przejściach Lola i Hela długą chwilę nie mogły wrócić do równowagi; nie zapomniały jednak nigdy, jak poczciwie i ładnie Zula zajęła się niemi. Nie dokuczała im, jakby to napewno czyniła Natalka Wierska, lub zresztą każda inna z dużych — tem, że to ka-

ra za wtykanie nosa tam, gdzie nikt ich o to nie prosił. Przeciwnie, współczuła z niemi i sama je odprowadziła polami do bramy Kierdeju.

— Bardzo swoją drogą szczęśliwie, że właśnie tędy poszłam dziś na przechodzkę. Godziny całe mogłyby upłynąć, nimby kto poszedł z Monasterku na spichlerz. Alebym, co prawda, w dzień wiązała tak ostrego psa!

Jak to Lola słusznie przepowiedziała, p. Frazewiczówna nie domyśliła się nawet, że zostały one na podwórku, pzypuszczała, że szły przodem prosto do domu. Dziewczynki wróciły właśnie w chwili, gdy zaczynano spostrzegać ich nieboceność; lecz p. Frazewiczówna stanowczo mniej rozczulała się nad niemi od Zuli, przeciwnie, zamiast współczuć z niemi dała im jeszcze burę.

— Choć to przecież nie tak wielki grzech pójść do stodoły, — skarżyła się Lola towarzyszce niedoli. — Nie potrzebuje p. Frazewiczówna mówić że my zawsze wpadamy na jakieś niemądre koncepty, bo to zdarzyć się mogło każdemu. Widziałam jak Wańdzia zaglądała do obory, tam przecież też mógł być pies! Ale czy Zula nie kochana? Wiesz co? myślę, że gdyby jej nie było, toby się stary Martysiak na nas gniewał. Pewnie ją zna bardzo dobrze, tak, jak zresztą wszyscy tutaj na wsi; każdy ją zna, dziecko, kobieta, czy starzec, — i wszyscy ją tak kochają!

ROZDZIAŁ V.

Ani Lola ani Hela nie zapomniały bynajmniej o zamiarze znalezienia zaginionych skarbów i wykrycia tajemnicy szczytowego pokoju; pomimo jednak stałych, choć może nieznacznych zabiegów nic nie zaszło takiego, coby choć trochę rozświetliło tę zawiłą sprawę. Dziewczynki były też zrozpaczone i gotowe prawie porzucić tak niewdzięczne zadanie, gdy niespodzianie zupełnie zdarzył się wypadek wielkiej wagi. Pewnego popołudnia, ćwicząc się w rzucaniu criquetowej piłki na krużganku pałacowym, usłyszały dziewczynki głos, wołający je z góry. Podniósłszy głowę, ujrzały Dudę Rylską, V-cio klasistkę, wychylającą się z jakiegoś okna na trzeciem piętrze i kiwającą na nie gwałtownie.

— Lolu, czy to ty? — zawołała — chodźcie na górę, bo zrobiłam niesłychane odkrycie.

— Gdzie ty jesteś? — zapytała Hela; trudno się było doliczyć niezliczonej ilości okien w Kierdeju.

— W jakimś pokoju o kręconych schódkach

na trzeciem piętrze. Pusty jest zupełnie, tylko olbrzymia latarnia zwiesza się od sufitu. Chodźcie prędko, bo nigdy nie zgadniecie, co widziałam!

— Szczytowy pokój! — wykrzyknęły obie dziewczynki i rzucając piłkę, popędziły do domu.

Czyby im się wreszcie udało rozwiązać tajemnicę szczytowego pokoju? co też tam Duda mogła znaleźć? Poczciwa swoją drogą, że je zawołała, może znalazła zaginione skarby, może ujrzała ducha albo zbadała przyczynę owych jęków? Szczytowy pokój zawierał odpowiedź na te wszystkie pytania, to też pędziły doń dziewczynki z wszystkich sił a raczej z całą szybkością już i tak dobrze wysportowanych nóżek. Były już w połowie korytarza, a za kilka sekund dotarłyby do bezpiecznego schronienia niezamieszkałego drugiego piętra, gdy nagle (to też szczęście!) wpadły na p. Frazewiczównę, wychodzącą z swego pokoju. Naturalnie musiała sobie wybrać właśnie tę chwilę!

— Spokojnie, dziewczynki, spokojnie! — rzekła, zatrzymując je. — Dokąd tak spieszycie?

Odpowiedź i wytłumaczenie było niemożliwe! Jakżeż się mogły zwierzyć wyższym władzom z swoich zamiarów? Wyśmianoby je tylko i zabroniono dalszych zabiegów; obie stanęły rozgniewane, że je zatrzymano, i nie odpowiedziały nic.

— Kiedyście tak wcześnie wróciły z ogrodu,— mówiła p. Frazewiczówna, — to uporządkujcie

wasze szuflady; oglądałam je przed chwilą i zastałam wielki nieporządek. Doskonale zdążycie przed podwieczorkiem.

Czy mogło co gorszego stanąć im na przeszkodzie? Biednym dziewczynkom łzy w oczach stanęły z rozpaczy, ale rady nie było. Panna Frazewiczówna odprowadziła je do pokoju, stała nad niemi, robiąc im od czasu do czasu uwagę, lub udzielając wskazówek, co do takiego ułożenia każdej pary pończoch lub chustki do nosa, któreby zadowoliło jej własne poczucie ładu i składu. Mogły dziewczynki wewnętrznie prychać i buntować się, zewnętrznie musiały się zachować grzecznie i spokojnie. Co prawda, nagana nauczycielki była zupełnie słuszna, gdyż biała, muślinowa sukienka Loli i jej niedzielny kapelusz leżały na dnie szafy razem z bucikami, a i rzeczy Heli wyglądały tak, jak gdyby je kto kijem wymłócił.

— Jeżeli jeszcze raz zobaczę taki nieporządek, będę zmuszona wam zadać pensum w czasie rekreacji, — rzekła wreszcie nauczycielka. — Teraz umyjcie ręce, poczeszcie się i chodźcie na podwieczorek; oto i pierwszy dzwonek.

Czyż p. Frazewiczówna miała zamiar nocować u nich? Gdyby sobie zaraz poszła, może jeszcze zdążyły dobiec do szczytowego pokoju przed drugim dzwonkiem. Przecież Duda tam na nie czeka i dziwi się zapewne, czemu nie przychodzą, a rozwiązanie zagadki też tam błyszczy, ni-

Chodźże tutaj, głupi psie. (Str. 57)

(Kierdej.)

BIBLIOTEKA PEDAGOGICZNA
w WOJNICZU

by gwiazda przewodnia na górze! Lola spojrzała na Helę, układając plan ucieczki; być może, że p. Frazewiczówna wyczytała z jej oczu owo postanowienie, dość że poczekała aż obie były gotowe i sama odprowadziła je do sali jadalnej, nie dając im możności wymknięcia się.

— Ze wszystkich nieszczęść to już chyba największe! — szepnęła Hela.

— Życzę p. Frazewiczównie podróży do Chin! — jęknęła Lola.

Duda spóźniła się nieco na herbatę, a gdy wreszcie przyszła i zajęła swoje miejsce przy stole, była czerwona i jakby bardzo zadowolona z siebie. Lola daremnie starała się z nią porozumieć na migi. Duda starannie unikała jej wzroku i spokojnie zajadała chleb z masłem. Hela także próbowała zwrócić na siebie uwagę, ale z równym skutkiem. Co też Duda mogła widzieć? Dziewczynki doczekać nie mogły końca herbaty z obawy, aby Duda nie wygadała się z swoim sekretem przed kim innym; drżały też obie, przy każdem jej słowie do siedzących obok niej Anulki Lipskiej i Myszki.

— Bo ona nic nie wie o naszych przypuszczeniach, co do Smoka; — mówiła Lola, — a ze względu na Zulę, lepiej, żeby nie rozpowiadała o tem, co odkryła!

Z chwilą powstania od stołu dziewczynki pobiegły za Dudą do ogrodu, ale ku wielkiemu ich

zdumieniu, ta ostatnia poszła grać w tenisa, nie zważając na nie zupełnie.

— Pewnie czeka bezpiecznej chwili! naturalnie, lepiej żeby nas razem za wiele nie widziano! Poczekamy tu na nią! — rzekła Hela.

Gra trwała do popołudniowego przygotowania, i Duda odeszła z tak wyraźnem postanowieniem unikania ich, że dziewczynki poczuły się ogromnie obrażone.

— Cóż ona sobie myśli? — wybuchła Lola.

— Czy może się obraziła, że zaraz nie przyszłyśmy na jej wezwanie? — przypuszczała Hela. — Nie wie przecież, że nas zatrzymała p. Frazewiczówna; musimy jej to zaraz wytłumaczyć.

Próbowały zbliżyć się do Dudy po kolacji, ale ta ostatnia uparcie się trzymała Anulki, i nie dawała im sposobności do rozmowy z sobą, tak że obie małe musiały pójść spać w stanie nieznośnej niepewności. Nie było się czem łudzić, Duda stale ich unikała, i dopiero po wielu nieudanych zabiegach, znalazły ją wreszcie przy huśtawce.

— Czegoż chcecie? — spytała ostro — proszę mnie nie gonić po całej pensji.

— Chcemy wiedzieć coś widziała w szczytowym pokoju, — odparła prosto z mostu Lola.

— Bardzo mi przykro, ale nie mogę wam tego właśnie powiedzieć.

— Nie powiesz nam!!!?? — Lola i Hela nie chciały wierzyć uszom — nie powiesz nam, ale dlaczego?

— Bo nie mogę i nie chcę.

— Czyś ty się, Dudo, obraziła, że nie przyszłyśmy, gdy wołałaś na nas? — spytała Hela.

— Nie, bynajmniej się nie obraziłam; bardzo dobrze, że nie przyszłyście.

— Przecież kazałaś się nam nawet spieszyć!

— Wiem o tem!

— Czyś coś, czy kogoś widziała tam na górze?

— Proszę was, nie pytajcie się, bo wam i tak nic nie powiem.

— Ależ słuchaj, Dudo! — oburzyła się Lola, — ty nas przecież oszukujesz.

— Niema na to rady; mogę was przeprosić, ale nic więcej.

— Jesteś podła! — zawołała Hela. — Ja uznaję tylko takie osoby, które dotrzymują danych obietnic.

— I ja również, — odparła Duda, dziwnym głosem, — i mam nawet zamiar należeć do nich.

— Przecież nie chcesz chyba przez to powiedzieć, żeś zaprzedała komu swój język?

— Kiedy ja wogóle nic nie powiedziałam i nic nie powiem.

— Czyś wspominała Anulce albo Myszce o swojej wyprawie do szczytowego pokoju?

— Naturalnie że nie, słowa nikomu nie pisnęłam, i proszę was o to samo!

— Ależ, Duduś, powiedzże nam pod sekretem; słowo ci damy, że nikomu nie zdradzimy, — prosiła Hela.

— Nie mogę, i nie mogę wam nawet wytłumaczyć, dlaczego milczę. Dajcie mi już wreszcie święty spokój!

Oto była niespodzianka! Dziewczynki bały się, by Duda nie powiedziała komu co niepotrzebnego, a tu ona nawet przed niemi robi tajemnicę więcej ją prosiły, tem się nie spodziewały! Im więcej ją prosiły, tem się ona bardziej zacinała; ani prośbami, ani groźbami nie mogły z niej wydobyć klucza do rozwiązania zagadki; wkońcu złe i rozczarowane musiały jednak dać za wygrane.

— A my tak czy tak wiemy coś o twoim głupim, szczytowym pokoju, — rzuciła jej na zakończenie Lola — zła na siebie, Dudę, p. Frazewiczówną i resztę świata.

— Ach, Lolu! nie, naprawdę? — pytała Duda niespokojnie.

— Więcej może od ciebie.

— To w takim razie lepiej nie rozgłaszaj tego, co wiesz.

Tak nienaturalne zachowanie się Dudy gmatwało sprawę coraz bardziej. Musiała ona na swoją rękę robić jakieś poszukiwania, a w każdym razie zwiedzać stare zamczysko; pewnie odkryła jaką skrytkę lub kryjówkę, którą chciała pokazać

dziewczynkom, gdy na nie wołała z góry; potem musiało zajść coś niespodziewanego, prawdopodobnie w czasie, kiedy robiły porządek pod okiem p. Frazewiczówny i na tem polegała owa tajemnica. Komu mogła dać owo przypuszczalne słowo milczenia? Chyba nie p. Wańkowiczowej? to byłaby przecież pomoc wrogowi Zuli! Żeby też ta nieznośna p. Frazewiczówna nie była taką porządnicką, to byłyby już teraz w posiadaniu tak cennej wiadomości. Męką wprost była ta myśl, że gdyby nie jakieś głupie, banalne porządki, wiedziałaby o wszystkiem!

W kilka dni potem dziewczynki zdołały umknąć czujnego oka p. Frazewiczówny i udać się do galerji, by tam, w tem zabronionem miejscu zabawić się w ulubioną a niezmiernie dziecinną grę „żab", dla której to gry długość owego pokoju była wymarzona. Nagle zdala ujrzały dziewczynki otwierające się drzwi od sali jadalnej. Stanęła w nich p. Wańkowiczowa z stosem czystych serwet na ręku.

— Psst, Smok idzie, — szepnęła Lola. — Żeby tylko nas tu nie zobaczył, bo powie p. Rozwowskiej i dostaniemy złe stopnie z zachowania. Spiesz się, musimy się gdzieś schronić, aż przejdzie!

Wisząca kotara z tatarskiego namiotu bardzo przydała im się teraz, bo wsunęły się za nią i płaszczą się do ściany, prosiły Boga, by Smok

nie zauważył nagłej choroby,—w postaci jakiegoś garbu czy puchliny, — owego zabytku wieków średnich. W tej samej chwili rozległy się ciężkie kroki z drugiego końca galerji i Hela zobaczyła przez dziurkę w draperji, wygodnie dla niej zrobionej przez usłużnego mola, starego Szymona ogrodnika, schodzącego ze schodów. Spotkał on p. Wańkowiczową właśnie naprzeciw miejsca, gdzie ukryte były dziewczynki i zatrzymał się, by z nią porozmawiać, nieświadomy biedak dwóch par gorliwie nadsłuchujących uszu.

— Czyście byli w szczytowym pokoju? — jakby z obawą spytała klucznica.

— Myślałem, że zawsze lepiej zobaczyć! — odparł Szymon.

— Nie było warto! byłam tam dziś rano i wszystko było dobrze na moje zrozumienie.

— Nie wiem co pani nazywa dobrze! Za dużo tam dla mnie hałasu, oj za dużo! — jęknął ogrodnik.

— Myślicie, że niebezpieczeństwo grozi! — wykrzyknęła ze strachem p. Wańkowiczowa.

— Nie, nie, — przerwał Szymon, — przynajmniej nie zaraz. Niech się pani za bardzo nie trapi; ale zawsze trzeba uważać z tymi gośćmi w domu.

— Aha i mnie to złości! nie odetchnę póki nie wyjadą! a to przytem takie ciekawe i wścibskie; nie uwierzycie, co z niemi za kłopot. Dwie z nich

poszły aż na górę i wtargnęły do szczytowego pokoju.

Szymon jakby warknął z oburzenia.

— To źle, — rzekł, — niech im pani nie pozwoli tam się kręcić, bo to niebezpieczne! Nie może pani drzwi zamknąć?

— Nie, klucz zgubiony.

— Hm! możebym dorobił jaką kłódkę.

— Ach, zróbcie mój dobry, spadłby mi ciężar z serca! Ale prawda, chciałam was przestrzedz...

W tej właśnie chwili przechodził ktoś ze służby, tak że p. Wańkowiczowa zniżyła głos i dopowiedziała resztę szeptem, wśród którego słowa „p. Zula", „dziś wieczorem", „trzeba uważać" ledwo były dosłyszalne.

— Będę bardziej ostrożny, niż zwykle — odparł Szymon odchodząc.

Dziewczynki czekały jeszcze chwil kilka, zanim odważyły się wyjść ze swego ukrycia. Uradowane były owocem dzisiejszej pracy, dowiedziały się napewno, iż istniał związek między Smokiem i Szymonem a szczytowym pokojem i że była jakaś tajemnica, której nie chcieli zdradzić za żadne skarby świata.

— Ciekawam, co to może być? — mówiła Hela. Słyszałaś, mówili o jakimś hałasie... to pewnie o tych jękach, któreśmy słyszały!

— Też o tem myślałam, — odparła Lola, — może tam za ścianą jest ukryty pokój, a w nim ktoś uwięziony.

— Ale kto?

— Nie wiem... może stary p. Edward! może on nie umarł wcale; pamiętasz, cośmy czytały o średnich wiekach, że umarł jakiś możny rycerz, a to tymczasem mnisi go uwięzili; pustą trumnę spuścili do grobów, by zagrabić jego majętność... i może p. Wańkowiczowa robi to samo!

— Fe, jakie to wstrętne, — rzekła Hela, przerażona tą myślą. — W takim razie wiesz co? ona tam chodzi go żywić, a Szymon o tem wie. Nigdybym go o to nie posądzała, raczej go lubiłam, myśląc, że uczciwy i do Zuli przywiązany. Pewnie podzielą się skarbami. Ciekawam przed czem go Smok przestrzegał? Chyba czego nie knują na Zulę?

— Wszystko to bardzo niepięknie wygląda, — mruknęła Lola, — bardzo niepięknie! musi w tem być coś złego bo nie kryliby się tak! Może nam Zula być wdzięczną, że się tak zajmujemy jej sprawą.

— Cóż teraz zrobimy?

— Musimy ciągle na Smoka uważać i pójść za nią do szczytowego pokoju, by się przekonać, co tam się dzieje.

— To nie tak łatwo! Chytra to sztuka!

— To i my musimy być chytre. Jestem pewna, że ma jakieś zamiary, o którychby wiedzieć warto; nie wiemy nawet ile i co może od tego zależeć!

Przypuszczenie, że po strychach i skrytkach dzieją się rzeczy tak straszne, że je może do zbrodni trzeba zaliczać, napełniało dziewczynki jakąś dziwną mieszaniną uczuć; trochę wstrętu, trochę strachu i dużo bardzo pewnej, nieznacznej, ale istniejącej dumy!! Przecież sama Opatrzność zadała im tak zaszczytne zadanie, jakiem było wykrycie złoczyńców!... bardzo też było miłe to uczucie wyższości nad koleżankami, których głowy zaprzątnięte były jedynie tenisem i criquetem, i które nigdy nie myślały nawet o zaginionym spadku. Pani Wańkowiczowa ogromnie się widocznie kryła z swemi wycieczkami na III piętro, bo dziewczynki dopiero po kilku dniach skupionej nad tem jednem uwagi,—schwyciły ją na gorącym uczynku. Wszystko przychodzi tym, którzy umieją czekać, — mówi stare przysłowie i prawdę przepowiedziało tym razem. Pewnego popołudnia dziewczynki z poza uchylonych drzwi łazienki, gdzie czatowały, ujrzały ją idącą w stronę galerji. Jak Indjanie, cicho puściły się za nią, na palcach przeszły korytarze i jeszcze dojrzały jej czarne spódnice, znikające na kręconych schodach. Cichuteńko pospieszyły za nią i stanęły pod drzwiami, nadsłuchując.

— Co ona tam robi? — szeptała Hela.

Obydwie pochyliły się do dziurki od klucza i gwałtownie zderzyły się głowami.

— Słyszysz, ona tam chodzi! — mruknęła Lola, — rozcierając obolałą skroń.

Nagle rozległo się jakby lekkie zatrzaśnięcie sprężynki, a potem cisza. Lola dłużej wytrzymać nie mogła.

— Hopla! — krzyknęła, i gwałtownie otworzyła drzwi! W pokoju było pusto, p. Wańkowiczowa znikła jak duch, lub ulotniła się jak kamfora.

ROZDZIAŁ VI.

Po kolei, dokładnie, ostrożnie poczęły dziewczynki macać wszystkie cztery ściany i szafę; ale nic tu nie wskazywało na istnienie jakiejkolwiek kryjówki. Otwór, którym znikła p. Wańkowiczowa, był nadzwyczaj dokładnie ukryty.

— Gdzież ona może być? Wiesz, to są chyba czary! — szepnęła Hela.

— Dokądkolwiek poszła, w każdym razie musi tu wrócić! — odparła Lola.

— Słuchaj! — Hela drgnęła.

Powtarzał się bowiem hałas, słyszany już podczas poprzedniej dotąd wyprawy, coś jakby długi, przeciągły jęk, z początku cichy, potem coraz głośniejszy, aż nagle umilkł zupełnie.

— Może ona tam kogo zabija? — spytała Hela, którą dreszcze przechodziły.

— Dużobym dała, żeby się dowiedzieć, co się tam dzieje, — mówiła Lola — obawiam się, że są to rzeczy tak straszne, że struchlejemy, gdy je wydobędziemy na jaw.

— Czy będziemy czekały, aż ona wyjdzie z kryjówki?

— Naturalnie, ale nie tu, bo popsułybyśmy wszystko, gdyby nas przychwyciła. Trzeba nam będzie stać za drzwiami i patrzeć przez dziurkę od klucza; a gdy się dowiemy, gdzie owa tajemna sprężynka, możemy uciec nim zdąży wyjść.

Długo jednakże trwało załatwienie tajemniczej czynności; dziewczynki kilkakrotnie się zmieniały przy pilnowaniu dziurki od klucza, a p. Wańkowiczowa nie wracała.

— Może wie, że tu jesteśmy i dlatego nie chce wychodzić! — zauważyła wreszcie Lola.

— Skądżeby wiedziała?

— Może śledzi nas przez jaką szparę lub umyślne okienko!

— Ależ to obrzydliwe i straszne! — oburzyła się Hela.

Myśl, że właściwie robiły one zupełnie to samo, nie przyszła im nawet do głowy; okoliczności zmieniają postać rzeczy, i dziewczynki uważały się za rozgrzeszone samą wzniosłą i szlachetną pobudką. Po niejakim czasie nudzić je poczęło to czekanie i wypatrywanie, postanowiły jednak wytrwać.

— Słyszysz, znowu jęki, — rzekła Hela — ręczę, że ona tam kogoś więzi.

Obydwie przytknęły uszy do drzwi i były tak zasłuchane w odgłosy, wydobywające się z za muru, że nie usłyszała kroków, rozlegających się silnem nawet echem po małej przestrzeni za-

jętej przez schody. Zerwały się dopiero na okrzyk zdumienia, wydany tuż za niemi. Była to Zula, ostatnia na świecie osoba, którejby się spodziewały w tej odludnej części domu! Nowoprzybyła była na równi z niemi zdumiona tym niespodziewanem spotkaniem. Lola i Hela ogromnie się zawstydziły, Zula napewno widziała je podsłuchujące u dziurki od klucza i zaskoczyła je przy tej nie bardzo szlachetnej i chwalebnej czynności; żadną miarą nie mogły jej wytłumaczyć, że czyniły to z poświęcenia dla niej; to też zaczerwieniły się tylko i milczały. Położenie było arcynieprzyjemnie, lecz Zula, ze zwykłą sobie słodyczą, starała się je polepszyć.

— Cóż to, Heluś, myślałam, że się ćwiczycie do konkursu sportowego?

— Za gorąco, — starała się sprawę zagadać Lola, — więc przyszłyśmy dom zwiedzić. Pani Rozwowska mówi, że tu tyle ciekawych rzeczy.

— Boję się, że nie znajdziecie tu nic ciekawego w pustym pokoju, — odparła Zula swoim spokojnym, cichym głosem. — Jeżeli chcecie zejść ze mną do bibljoteki, pokażę wam niektóre rzeczy, które rzeczywiście warto oglądać. Mam tam w mojej szafce kilka monet złotych, kilka sztyletów i noży, znalezionych w czasie odkopywania starej fosy.

Bardzo zawstydzone dziewczynki zeszły w towarzystwie Zuli do bibljoteki; ta ostatnia

otworzyła tam szafę i gablotkę i z wielką cierpliwością pokazywała i tłumaczyła im przez pół godziny pochodzenie i wartość różnych starych zabytków. Była niesłychanie miła i dobra, ale nasza dwójka nie mogła się pozbyć nieprzyjemnego uczucia, że się obchodziła z niemi jak z nieznośnemi bebusiami, których nie warto karać, lecz któremi się trzeba stale opiekować, by niepotrzebnie nie plątały się po domu.

— Po co Zula chodziła do szczytowego pokoju? — spytała Lola, gdy tylko zostały same.

— Czyby się także czegoś domyślała? — nieśmiało odezwała się Hela.

— Kto wie? może się i czegoś domyśla, lub też stara dowiedzieć, uważając na Smoka.

Był to zupełnie nowy obrót sprawy; warto się było nad nim zastanowić.

— Może to przed tem właśnie p. Wańkowiczowa ostrzegała Szymona — rozmyślała Hela.— Czyby nie lepiej powiedzieć Zuli?

— Nie jeszcze, póki się czegoś pewnego nie dowiemy. Dotychczas żyjemy i działamy tylko posądzeniami, trudno przecież o nich komu mówić, aż się nie okażą rzeczywistością. Zresztą Zula mogłaby się obrazić i myśleć, że się niepotrzebnie wtrącamy w jej sprawy, zwłaszcza, że tak nie lubi o sobie mówić!

— Boję się, że w każdym razie uważa nas za wtrącalskie i to jeszcze w brzydki sposób.

Okropnie mi przykro, że schwyciła nas na podsłuchiwaniu.

— A no niema na to rady; musiałyśmy Smoka śledzić, a trudno się z tego Zuli tłumaczyć. Nie! — stanowczo mówiła Lola. — Trzeba milczeć... do czasu.

Swoją drogą takie zajęcie się sprawą Zuli miało swój wielki urok, — walczyły o nią, pracowały za nią, karmione chwilowo niewdzięcznością, bo Zula nietylko że nie wiedziała o niczem, ale nawet posądzała je o podsłuchiwania, podglądania i tym podobne rzeczy; może gardziła niemi w głębi duszy... Trudno, trzeba się na to zgodzić, a tem większa będzie radość i chwała, gdy wszystko szczęśliwie ukończą! — Wtedy Zula napewno odmierzy im sprawiedliwą miarę wdzięczności i podziękowań.

Często też myślały z uczuciem zadowolenia, że wiedzą coś, czego nikt się nie domyśla nawet. Co prawda, to lekcje cierpiały trochę na tem, że dziewczynki pozwalały sobie na marzenia o niebieskich migdałach; (dla innych naturalnie, sprawa ta przedstawiała się w tem świetle), ale trudno było pamiętać o stolicy Meksyku lub o dacie „N e m i n e m C a p t i v a b i m u s“, gdy myśli błąkały się po szczytowym pokoju, gdzie wskutek haniebnej zdrady jęczał biedny więzień.

— Uczycie się najgorzej z całej klasy! — rozgniewała się wreszcie p. Frazewiczówna, z po-

wodu szczególnie zaniedbanego zadania gramatycznego. — Wiele większe robiłyście postępy w Białym Domu. Nie mogę zrozumieć, dlaczego się tak opuściłyście w pracy ostatniemi czasy. To trzecia jedynka w tym tygodniu; jeżeli się to jeszcze raz powtórzy, poślę was do p. Rozwowskiej.

Oprócz osobliwego zajęcia się Zulą, jako właścicielką zaginionych skarbów, Lola i Hela pałały także wielką ku niej miłością, taką jak to pensjonarki mają czasami dla starszej od siebie ukochanej koleżanki. Podziwiały kształ jej nosa, kolor długich warkoczy, uważały ją za szczyt doskonałości i dobrego wychowania, starały się do niej zbliżyć, by jej okazać choć trochę swojego uwielbienia. Zwykle bywały jednak odpychane przez duże, które wolały Zulę zachować dla siebie; to też dziewczynki, prócz jakiegoś nie znaczącego dzień dobry lub dobry wieczór, niczego innego dochrapać się nie mogły.

— Duże są strasznie zazdrosne i chcą Zulę zamarynować dla siebie, a onaby może miała ochotę wdawać się trochę z nami — narzekała Hela. — Wczoraj nadokuczała mi Pola Rudecka, że się narzucam, dlatego, że chciałam pożyczyć Zuli ołówka.

— Aha! one są wprost zachłanne! — przyznawała Lola.

Rzeczywiście, że Zula potrafiła sobie wkrótkim czasie zjednać serca zarówno nauczycielek

jak i panienek; zawdzięczała też jedynie swemu szczęśliwemu usposobieniu, że się jej od tak nagłej popularności nie przewróciło w głowie. Przyjmowała wszelkie oznaki hołdu spokojnie i chłodno, nie zdając się nawet uważać, że się koleżanki kłócą — z zgrozą przyznać muszę — nawet i biją o miejsca przy niej, lub partję tenisu z nią.

— Ona zawsze taka spokojna i wyższa nad ziemskie sprawy, jak słowik wśród wróbli, — zauważyła rozmarzona Irena.

— Albo jak łabędź wśród stada gęsi! — zaśmiała się Natalka, — wyście wszystkie naprawdę powarjowały! I ja Zulę ogromnie lubię, ale przecież nie chodzę obcałowywać jej paltotu i kaloszy, albo chować wydarte kartki jej zeszytu.

— No dobrze, ale ty jesteś kapitanem naszej criquetowej jedenastki!

— Może dlatego; ale przedewszystkiem zostało mi jeszcze trochę zdrowego rozsądku!

Śliczny pawilon, letnie mieszkanie p. Kierdejowej, cały skąpany w fiolecie świeżo rozkwitającej glicynji, stał w lasku dębowym, łączącym się z ogrodem. Pewnego popołudnia p. Rozwowska, spotkawszy Lolę i Helę w sieni, oddała im list do p. Kierdejowej, polecając im, by zaniosły do pawilonu i poprosiły o odpowiedź. Dziewczynki pobiegły, uradowane myślą zobaczenia swego ideału. Przed domem zastały Zulę, ślęczącą nad przy-

gotowaniem lekcyj, ale gdy je spostrzegła, natychmiast odłożyła książki.

— Chodźcie do mamy — rzekła, wysłuchawszy powodu ich przybycia, wprowadzając je bocznemi szklanemi drzwiami do niskiego saloniku.

Pani Kierdejowa bynajmniej nie wyglądała majestatycznie, jak się tego Lola spodziewała; była to kobieta szczupła, delikatna, o dużych, szarych oczach i włosach, w których się srebrzyły srebrne nitki. Serdecznie uściskała schylające się do jej ręki dziewczynki.

— Udaję, widzicie, chorą, bo właściwie jestem zupełnie zdrowa, ale lekarz jest tak surowy, że mi każe całemi dniami leżeć i choć mi się to wcale nie uśmiecha, spełniam jego rozkaz, bo się boję Zuli. Więc to twoje koleżanki, Zulo? Kiedyście już przyszły, to was do domu nie puścimy, i wypijecie z nami herbatę! List mówicie... to poślemy Marynę z odpowiedzią i prośbą, byście mogły zostać, a obiecamy zarazem, że was odeślemy na wpół do szóstej wczas na przygotowanie.

To dopiero niespodziewana przyjemność! Lola i Hela aż się zaczerwieniły z radości, a uśmiech szczęścia ne schodził z ich twarzyczek. Były one bowiem pierwsze tak przez los obdarzone i czuły, że powrót ich witany będzie wykrzyknikami zazdrości i ciekawości.

— Tak się cieszę, że wam w Kierdeju dobrze— mówiła p. Kierdejowa. — Nie jestże to śliczny

zakątek? a przytem taki ciekawy. Pewnie wam już Zula opowiadała wszystkie o nim podania? Nie? Jakżeż można, Zulko? naprawdę im nie opowiedziałaś o przygodzie twojej prababki i Pothena w alei róż?

— Kiedy naprawdę nie było kiedy, mamusiu; tak jesteśmy zajęte lekcjami lub sportami, że na nic innego niema czasu; a przytem ja nie umiem opowiadać tak, jak mamuśka.

— Już to ja pewnie do śmierci zostanę kronikarzem rodziny — uśmiechnęła się p. Kierdejowa. — A... oto herbata, Zulo, uważaj, by twoi goście nie umarli z głodu.

Zula z niesłychaną słodyczą zajęła się najpierw matką, przystawiła stolik, poprawiła poduszki, uważnie przyniosła herbatę; nie zapomniała przytem o swoich gościach, na których to cześć przyniosła plasterek świeżego zupełnie miodu.

— Wiem, że wam będzie smakowało, bo was pszczoły tak zajmują — rzekła. — Pamiętacie, jak musiałyście uciekać, żeby was nie pokłuły?

— Tak i musiałam biec przez całą długość alei róż; nie tak prędko o tem zapomnę — odparła Hela.

— To jest właśnie ta aleja, w której moja imienniczka zdołała podejść chytrego Pothena. Niech im mamusia opowie to podanie.

— O tak, prosimy bardzo! — nalegały dziewczynki.

— Myślę, że zdążę, nim skończymy herbatę— zgodziła się p. Kierdejowa. — Nie potrzebujecie wracać przed wpół do szóstej, nieprawdaż?... Byłyście już pewnie nieraz w galerji i oglądałyście portrety, co?

— Często nawet, choć właściwie nie bardzo nam wolno! — odparła Hela.

— Zauważyłyście zapewne na końcu galerji, pomiędzy dwiema kotarami z tatarskiego namiotu, portret młodej dziewczyny w białej sukni, z pękiem róż w ręku?

—Tak, jest to najładniejszy z wszystkich portretów i jak dwie krople wody podobny do Zuli.

— Bo to też jest Zula, tylko taka Zula, co żyła i mieszkała w Kierdeju w czasie powstania 30-go roku. Zofja Kierdejówna była córką Stanisława, który poległ zaraz na początku powstania pod Dobrem. Jedyny jej brat Zygmunt walczył także, jako ochotnik w szeregach polskich, i w tej samej bitwie ranny, dostał się do niewoli rosyjskiej. Tygodniami gnali go wraz z towarzyszami ku południowej Rosji; w Żytomierzu jednakże zdołał uśpić czujność pilnujących go sołdatów i przedarł się przez całe Podole i Besarabję ku granicy Podola galicyjskiego, czyli w rodzinne swoje strony. Bojąc się obecnością swoją nie zgubić siostry, nie śmiał biedak szukać schronienia pod ojcowskim dachem, lecz krył się po opuszczonych zgliszczach wsi, po lasach, często na

drzewach przeczekując przejścia watachy kozackiej; wreszcie nie mogąc żadnym sposobem wyślizgnąć się z zacieśnionego koła wojsk moskiewskich, postanowił przejść granicę austryjacką i dotrzeć do Kierdeju, w nadziei zyskania na czasie. Skradając się przez płot do ogrodu, zaraz na wstępie spotkał siostrę, której okrzyk radości w tej chwili zmarł na ustach, a natomiast ruchem ręki wskazała mu dużą kamienną ławkę, pod którą się też Zygmunt schronił.

— Uchodź, bo kapitan von der Pothen, pilnujący granicy przed zbiegami z powstania, coś o tobie posłyszał i umieścił u nas oddział konnicy, która cię może tu znaleźć każdej chwili. Zostań a ja pobiegnę po klucz od łódki, może zdołasz popłynąć pod osłoną nocy z prądem Seretu do Dniestru; tym sposobem, jeżeli Bóg pozwoli, dostaniesz się do Turcji.

Pobiegła po klucz do domu... ale już było zapóźno; wychodząc bowiem z sieni ujrzała austryjackiego kapitana von der Pothen, pędzącego aleją róż na czele swojego plutonu.

— Dobry wieczór, cudna panno, — rzekł, — nie chcąc waćpanny gniewać, muszę dziś jednak przeprowadzić dość ostrą rewizję w jej domu. Uczynię sobie także ten zaszczyt przenocowania u pani. Jacyż bogowie boginkę mi tu nasyłają?

— Przyszłam tylko po kilka róż do sukni, — odparła Zofja bez wahania. — Zaraz panów do domu poproszę i sama wszędzie oprowadzę.

Położenie było okropne; ratunku dla brata znikąd nie widziała, a wiedziała dobrze, że z chwilą, kiedy Pothen przyjechał przeprowadzać śledztwo — pilnie baczyć będzie na każdy jej ruch, a ufać nie mogła nikomu, bo domyślała się, że służba cała była przekupiona; w ręku trzymała pęk róż, w listki jednej z nich zdołała wsunąć kluczyk.

— Na kolanach błagałbym o jedno takie kwiecie z twych rąk, o pani! — odezwał się Pothen.

— Niechże pan wybiera! — rzekła śmiało Zofja. — Nie, ta czerwona już przekwitła i zaraz opadnie, raczej niech pan weźmie tę różową i nosi ją na moją cześć! — mówiąc to, niedbałym ruchem przerzuciła przez krategusowy żywopłot ową różę z kluczykiem...

Czerwony kwiat padł u stóp ławki, pod którą leżał ukryty nieszczęśliwy powstaniec. Potem zaprowadziła Zofja Pothena do domu i wydała stosowne rozkazy na jego przyjęcie. Pothen ze swym oddziałem przeszukał cały dom i ogród, ale naturalnie nie znalazł nic podejrzanego, a Zygmunt zdołał Seretem dostać się na szybki prąd Dniestru i po wielu przygodach dopłynął do Turcji. W rok potem, gdy rząd austryjacki zaniechał gonitwy za zbiegami z powstania, Zygmunt wrócił do kraju, jakoby z pobytu w Szwajcarji. Na pamiątkę swej ucieczki kazał zrobić portret siostry w białej sukni z pękiem róż w ręku. Kierdejowie mają od tego czasu prawie że zabobonne

uwielbienie dla tego obrazu, który podług podania ma strzec ich szczęścia i mienia.

— A co się stało z Zofją? — zapytała Lola — na której to podanie głębokie zrobiło wrażenie.

— Wyszła za mąż za kolegę brata na Litwie. Podobno przechowywała w szkatułce jedną z tych zerwanych owego wieczoru róż, i kazała ją sobie włożyć do trumny.

— Pewnie Zula była ochrzczona Zofją na jej cześć? — pytała Hela.

— Tak, Zofja jest odtąd ulubionem imieniem Kierdejówien, ale ani babka Zuli, ani jej ciotki tak bardzo nie przypominały portretu naszej bohaterki, jak ona.

— Jakżeż to możliwe, żeby obraz strzegł czyjegoś mienia? — zapytała Lola.

— Nie wiem, jest to jedno z tych dziwnych podań, które istnieją czasem w rodzinach i tradycją przechodzą z pokolenia na pokolenie, ale oczywiście to tylko podanie i bardzo długo je wam opowiadałam! Zulo, już jest dwadzieścia minut po piątej; odprowadź twoje koleżanki i spieszcie się dzieci, by się nie spóźnić na przygotowanie, bo straciłybyśmy łaski i mir u p. Rozwowskiej.

— Jaka twoja matka miła, tyle ma słodyczy! — rzekła Lola do Zuli, która je odprowadzała do furtki ogrodowej.

— Jest ona też mojem jedynem kochaniem na świecie — odparła Zula — żeby tylko była

zdrowszą, tak już długo choruje; lekarz mówi, że powinna spędzić zimę w południowych Włoszech, ale to będzie pewnie niemożliwe. Wyjazd ten byłby zbawieniem, — mówiła dalej, jakby do siebie,— ale nie będziemy mogły chyba... — tu urwała, przypomniawszy sobie widocznie obecność dziewczynek; pożegnała je więc, i prędko puściła się drogą powrotną.

— Wiem, co Zula chciała powiedzieć — zauważyła Hela, wchodząc do domu.

— Tak, chciała powiedzieć, że ich wyjazd jest możliwy, o ile się ten spadek znajdzie! — odparła Lola. — Czy to nie głupie, żeby te pieniądze leżały gdzieś schowane, nikomu się na nic nie zdając, kiedy tu p. Kierdejowa może umrzeć dla braku kilku koron?

— Zula też się tego obawia, nieprawdaż?

— Myślę, że tak; a gdyby te skarby znalazły się zapóźno, to przeklęłaby je chyba.

ROZDZIAŁ VII.

Podanie o prababce Zuli, Zofji Kierdejównie, wzmogło jeszcze zachwyt obu dziewczynek dla jej portretu, to też często wymykały się podczas rekreacji, by choć spojrzeć na śliczną, uśmiechniętą twarz, do której Zula była tak podobną, i na ten pęk czerwonych róż, które uratowały Zygmunta. Czyżby ona zagarnęła całe szczęście Kierdejów, nie zostawiwszy nic imienniczce swojej?

— Żeby ona mogła wrócić na ten świat! — westchnęła Lola — dla niej pewnie rodzinny zamek nie ma żadnych tajemnic.

— Żebyśmy mogły ją jakoś zmusić do wyjawienia wszystkiego! — dodała Hela.

W tej samej chwili ktoś widocznie trzasnął drzwiami na końcu korytarza, bo silny przewiew przeszedł przez całą długość galerji. Hela gwałtownie drgnęła.

— Lolu! — zawołała, — obraz się ruszył w swoich ramach!

— Głupstwo! Jakże mógł? — odparła Lola,— która patrzała właśnie w drugą stronę.

— A ja ci mówię, że się ruszył!

— Wydawało ci się tylko!

Rzeczywiście, że było to nieprawdopodobne; wszystkie portrety były tak szczelnie przytwierdzone wraz z ramą do ściany, że nie można było przypuszczać, by nawet leciutki przewiew przedostał się między nie a mur.

— Zupełnie mi się wydawało, że żyje, — mówiła dalej Hela, — i właśnie, kiedyśmy sobie życzyły, by do nas wróciła! Nic dziwnego, że są jakieś zabobonne podania o niej; wiesz, że to trochę dziwne!

— Jakaś ty niemądra! — z pogardą odparła Lola, — może widziałaś ducha?

— Żartuj sobie, ale to było dziwne, i nie mam ochoty dłużej tu siedzieć; chodźmy raczej do ogrodu.

Obrazy, co się ruszały w ramach, nie wchodziły w rachubę zobowiązań Heli. Wszelkie tajemnice były bardzo miłe, ale można mieć za wiele tego dobrego; Hela z widoczną ulgą wyszła z ponurej, ciemno otapetowanej komnaty do ogrodu, pełnego słońca, wesela i kwiatów. Dziewczynki miały jeszcze pół godziny do herbaty, zwróciły się więc zwolna w stronę sadu.

— Ciekawam, gdzie była łódka, którą Zygmunt uciekał do Turcji? — rozmyślała Lola.

— Pewnie nie daleko stąd, bo Seret płynie u stóp tych łąk, które widać z naszych okien.

— Ciekawam, czy prowadzi tam jaka ścieżka?

— Myślę, że jest dróżka z sadu, bo widziałam, jak raz Szymon szedł tamtędy z wędką.

— Chodźmy zobaczyć, dobrze?

— Doskonale!

Chodzenie do sadu było surowo zabronione, lecz myśl, że można oberwać burę lub zły stopień z zachowania nie przeszkadzała dziewczynkom wcale; przeciwnie, kto wie, czy nie dodawała całej przygodzie cechy awanturniczej. Przekonawszy się wprzódy, że Szymon zajęty był oglądaniem pomidorów, dziewczynki szybko puściły się wzdłuż rzędu młodych jabłoni; Hela miała rację, na samym końcu sadu, w murze go okalającym, były małe drzwiczki, prowadzące na łąkę.

— Rzeka płynie pewnie wśród tych drzew i krzewów, — mówiła Lola.

— Mam nadzieję, że nas stadnik nie będzie gonił, — rzekła Lola, — trwożliwie się oglądając na bydło, pasące się w oddali.

— Ależ chodź! przecież się chyba krów nie boisz.

Prędko przebiegły dziewczynki łączkę, i dostały się w cień drzew nad brzeg rzeki. Wyjątkowo jak na Podole, Seret nie płynie w jarze, — przeciwnie, niskie jego wybrzeża zarośnięte są trzciną i sitowiem, a rzeka jest spławna przez prawie cały swój bieg. Na małej wysepce, naprzeciw-

ko miejsca gdzie stanęły dziewczynki, rosły purpurowe irysy, złote kaczeńce i białe lilje wodne; ślicznie tu było; wymarzone miejsce na gorące, czerwcowe południe.

— Wiele tu ładniej, niż w ogrodzie, — zawyrokowała Hela, — jesteśmy tu same, niczem Robinson Kruzoe i Piętaszek.

— Ach, popatrz, co ja znalazłam! — wykrzyknęła nagle Lola z zachwytem.

Grzebiąc pomiędzy sitowiem, znalazła ukrytą wśród gałęzi taflę czystej wody, na której kołysała się z lekka mała czajka, przymocowana cienkim łańcuchem do pnia dębu. Śliczna to była łódeczka, błyszcząca świeżą politurą, ze słowem „Kierdej", wypisanem białemi literami na boku. Z taką ochotą przybiła do brzegu, gdy Lola pociągnęła za łańcuch, jakby ją do siebie zapraszała; trudno się było oprzeć pokusie... w mgnieniu oka obydwie usadowiły się wygodnie w czajce.

— Jeżeli zdołam ją odczepić, to możemy trochę powiosłować! — rzekła Lola.

— Ach ślicznie! może mi się wtedy uda zerwać kilka tych wodnych lilij! — odparła Hela, — zawsze na wszystko gotowa.

Lola pochyliła się ku łańcuchowi, lecz że był kilkakrotnie okręcony naokoło pnia, odczepienie go okazało się nadspodziewanie trudne.

— Przyjdę ci pomóc! — zawołała Hela, i nie wiele myśląc skoczyła w stronę steru.

„Dziecię miasta“ znała tylko poważne, spacerowe łódki, wlokące się po brudnych stawach parków lwowskich, i nie wiedziała, że czajka, to dziki, swawolny ptak, nieznoszący narzuconego pana. Dzięki silnemu poruszeniu się Heli czajka straciła równowagę, rozległ się plusk... pisk... i obie dziewczynki znalazły się w wodzie. Na szczęście miejsce to było za płytkie na utonięcie, wystarczająco jednak głębokie na zamoczenie się zupełne.

— Cóż my teraz zrobimy? — rozpaczała Hela, wyciskając wodę z sukni, oblepiającej się koło jej szczupłej postaci.

— A no, wrócimy do domu i oberwiemy straszną burę! — filozoficznie odparła Lola, odgarniając z twarzy zmokłe pasma włosów.

— Co teraz powie p. Frazewiczówna?

Panna Frazewiczówna stała właśnie w drzwiach sieni, robiąc przegląd powracających na herbatę panienek, gdy dwie wodą ociekające postacie ukazały się na tarasie, starając się niepostrzeżenie wsunąć bocznemi drzwiami. Daremnie! Bystre oko nauczycielki natychmiast je spostrzegło.

— Lolu i Helo! — ostro zawołała, — nieznośne dzieci, gdzieżeście były? Proszę w tej chwili iść na górę się przebrać. We dwie nabroicie więcej od wszystkich innych razem. Pani Rozwowska będzie o tem uwiadomiona.

A p. Rozwowska się gniewała... i to nie na żarty tym razem... Długo i surowo przemawiała do nich, i obcięła im wszystkie rekreacje w tym tygodniu. Sama z siebie rzecz ta zdawała się małej wagi, lecz dziwnym zbiegiem okoliczności stała się przyczyną ważnego odkrycia. Dwie winowajczynie stanowczo wyglądały bardzo nieszczęśliwie, gdy zamiast brania udziału w handicap'owym konkursie tenisowym, siedzieć musiały w klasie i przepisywać strony i stronnice greckiej historji.

Strasznie im było markotno, gdy białe spódniczki koleżanek migały od czasu do czasu z za drzew, albo gdy dochodził je odgłos miękko uderzających o ziemię piłek, lub okrzyki „vantage" i „game"; nie mogły jednakże wyrozumieć z tych dorywczo słyszanych wykrzykników jak się odbywał match i kto wygrywał. Z pół godziny przed herbatą ukończyły dziewczynki przepisywanie naznaczonej im na ten dzień kary, i poczęły wyglądać przez okno, w nadziei dowiedzenia się czegoś o grze; po dość długiej a bezowocnej próbie, Lola przeniosła się do innego okna, wychodzącego na mały, brukowany dziedziniec; stary Szymon siedział na ławce, grzejąc się na słońcu i czyścił buty; duży, bury kot najeżał sierść, ocierając się o mur. Dziewczynki chciały właśnie ogrodnika poprosić, by się kogo zapytał o przebieg gry... gdy nagle Lola ruchem ręki nakazała Heli milczenie... p. Wańkowiczowa ukazywała się właśnie w drzwiach!

Niosła duży dzban z zwiędłemi kwiatami, wyrzuciła je, wylała wodę i nalała świeżej z ogrodowego kurka; Szymon widocznie także zauważył jej obecność, bo gwizdnął, chcąc zwrócić na siebie uwagę, porzucił szczotki i zbliżył się do niej. Pomimo, że mówił cicho, głos jego wyraźnie dochodził przez otwarte okno do wnętrza pokoju, w którym były dziewczynki.

— Chciałem mówić o tem, cośmy rano gadali, — rzekł, — lepiej się prędko z tem załatwić. Spróbuję dziś wieczorem.

— Już zaznaczyłam miejsce, — odparła pani Wańkowiczowa, — ale przyjdę z wami dla pewności. Będziecie pewnie potrzebowali pomocy, nie podołacie sami.

— Może mi pani w każdym razie latarnię trzymać; bo to delikatna robota, trzeba do nocy czekać.

— Naturalnie, aż się wszystko uspokoi, — zakończyła p. Wańkowiczowa, wchodząc do domu.

Lola wciągnęła Helę w głąb pokoju, gdyż Szymon powracał do czyszczenia butów, a chodziło o to, żeby ich nie widział, i nie dowiedział się, że podsłuchały jego rozmowę z klucznicą.

— Co oni będą robili? — szepnęła Hela, nie mogąc wyjść z podziwu.

— Nie wiem, coś strasznego, kiedy taką z tego robią tajemnicę!

— I to w nocy!

— Myślę, że stary Szymon i Smok, to dwie

podłe istoty, — rzekła Lola poważnie, — pewnie skarby ukradli i zakopują je teraz w ogrodzie! Albo... wiesz co?... może się namyślają, co zrobić z owym więźniem w pokoju szczytowym!

— Myślisz, że go zabili? — przeraziła się Hela.

— Nie wiem, oni gotowi popełnić największe zbrodnie, by majątku się dorobić; okropnie się boję o Zulę. Musimy ich dzisiaj pilnować i zobaczyć, co będą robili, a może nareszcie dowiemy się czegoś ważnego. Jakie to szczęście, żeśmy dzisiaj odrabiały karę, bo gdyby nas tu nie było, gdybyśmy grały w głupim matchu, nie mogłybyśmy Zuli nic pomóc!

Hela była przerażona tem odkrywaniem zbrodniczych zamiarów po nocy.

— Jakżeż możemy ich szpiegować w nocy?— zapytała po chwili namysłu.

— Musimy! — odparła Lola stanowczo. — Przecież Zuli grozi może jakie wielkie niebezpieczeństwo, o którem my jedne wiemy. Musimy ją ratować!

Odgłos dzwonka na herbatę przerwał im rozmowę. Z powodu konkursu tenisowego podwieczorek był spóźniony o pół godziny; bezpośrednio więc po nim nastąpiło przygotowanie! Biedne nasze bohaterki! Mając głowy nabite tragedjami i morderstwami, musiały się jednak zabrać do bynajmniej nie ciekawego francuskiego zadania gra-

Z za pnia dokładnie mogły widzieć trochę poniżej stojące postacie. (Str. 100)

FOTOGRAWIURA DRUKARNI I KSIĘGARNI św. WOJCIECHA W POZNANIU

matycznego. Jakżeż nic nie znaczącem było, czy jaki „verbe“ był „transitif“ czy „intrasitif“, czy „participe passé“ zgadzał się z podmiotem, czy nie, — w porównaniu do tego, czy Szymon z p. Wańkowiczową naprawdę się zejdą w zbrodniczych zamiarach w ogrodzie, i w nocy! Czas przeznaczony na naukę wydał im się szczególnie długi i nudny tego wieczora, ale wreszcie przygotowanie jednak minęło i dziewczynki znalazły kilka wolnych chwil, by się rozmówić o tak ważnej sprawie.

— Jedna przynajmniej pociecha, że nie zaczną przed nocą, — rzekła Lola. — Napewno więc nic nie zrobili, podczas gdy byłyśmy na przygotowaniu.

— Kiedy jeszcze jasno, przynajmniej z półgodziny, po naszem pójściu na górę, — odparła Hela. — Nie rozumiem więc, jak będziemy wiedziały, kiedy zaczną!

— Jakoś się tam dowiemy! — odparła niczem nie zrażona Lola. — Wiesz, mam przeczucie, że się dzisiaj stanie coś ważnego!

— O czemże wy tak rozmawiacie? — ciekowie zapytała Nina, nagle podchodząc do nich.

— O niczem ważnem, osobista nasza sprawa!

— Ja wiem, że wy coś układacie, — rzekła Marysia. — Ciągle się porozumiewacie oczyma,

a wczoraj, podczas arytmetyki, rozmawiałyście na migi.

— Powiedz nam, Heluś, — prosiła Myszka. — Przed przybyciem Loli toś się trochę trzymała ze mną, a teraz nie mamy ani jednej wspólnej tajemnicy.

— Kiedy naprawdę niema nic, coby wam warto powiedzieć! — odparła Hela niechętnie.

— Trzeba będzie bardzo uważać na przyszłość, — mówiła Lola w kilka godzin później, — nie mamy przecież ochoty, by się one czegoś dowiedziały i zaczęły robić odkrycia na własną rękę.

— No, chyba! Jeżeli jest jaka tajemnica, to wolę, żebyśmy ją same wykryły!

Hela była tak zmęczona, gdy nadeszła pora położenia się, że zaszyła się w ulubiony kąt łóżka i zapomniała o bożym świecie. Lola jednakże leżała z szeroko otwartemi oczyma i patrzała na nadchodzący zmrok, ogarniający powoli najprzód dalsze kąty pokoju, potem coraz bliższe przedmioty. Gdy się wreszcie szafa, umywalnia i komoda zlały w jedną, wielką, bezkształtną całość, Lola wstała i zbliżyła się do okna. To, co tam zobaczyła, rzuciło ją w stronę nieszczęśliwej Heli, którą poczęła trząść z całej siły.

— Obudźże się, Helo! Widać w ogrodzie ruszające się światło. —

Przez kilka sekund nie mogła Hela nic po-

jąć; — lecz zrozumiawszy wreszcie, jak ważnych wiadomości udziela jej Lola, natychmiast wyskoczyła z łóżka.

— Czy to napewno Szymon i p. Wańkowiczowa? — zapytała ciekawie.

— Myślę, bo napewno nic wiedzieć nie można. Spiesz się, bo trzeba pójść zobaczyć, co się dzieje!

Dziewczynki z szybkością błyskawicy narzuciły na siebie wierzchnie ubranie i na palcach zeszły do sieni. Służba jeszcze nie spała, więc zastały drzwi frontowe uchylone.

— Żebyśmy tylko nie spotkały p. Rozwowskiej lub p. Frazewiczówny! — drżała Hela, niespokojnie się oglądając.

Jeszcze chwilkę a dziewczynki cichutko przymknęły za sobą drzwi i przebiegły przez trawnik. Noc była raczej pochmurna, gwiazd nie było, zaledwie gdzieniegdzie widniały kontury drzew i krzewów, a w gąszczach ciemności były zupełne.

— Światło porusza się wśród piramidowych bukszpanów, w kierunku altanki, — mówiła Lola, uważnie wpatrując się w ciemność alei róż.

— Ot, widzisz tam! — odparła Hela, — wskazując na migocący w dali płomyk.

— Musimy strasznie uważać i ogromnie być ostrożne, by ich nie spłoszyć, — rzekła Lola, — podejdziemy zupełnie blisko, i będziemy śledziły i słuchały. —

Jak duchy cicho przekradły się wśród bukszpanów, uważając, by listka nawet nie poruszyć; wreszcie doszły do światła. Doskonale już rozróżniały stojącą na ziemi latarnię i dwie postacie, pochylające się nad nią. Osłona bukszpanów nagle się urwała. Bezpośredni aktorzy tej sceny stali na dość dużej, pustej przestrzeni, gdzie jedynie wspaniałe pojedyńcze drzewa niewyraźnie rysowały się na tle nieba. Z największą ostrożnością przesunęły się dziewczynki trawnikiem i schroniły się za dużym dębem, stojącym na małym pagórku, obrosłym krzewami i paprociami. Z za pnia dokładnie mogły widzieć trochę poniżej stojące postacie, na które od czasu do czasu padał promień światła. Nie pomyliła się Lola w swoich przypuszczeniach, byli to rzeczywiście stary Szymon i p. Wańkowiczowa; rozmawiali ze sobą, ale na nieszczęście tak cicho, że dziewczynki nie mogły słów dosłyszeć, widziały tylko, że Szymon dzierżył w ręku łopatę, a p. Wańkowiczowa jakby obmacywała coś stojącego na ziemi.

— Ona chyba pieniądze liczy! — szepnęła Hela w same ucho Loli. — Wiesz, zakopią je pewnie tu.

— Tylko nie mogę dojrzeć, czy to wór, czy jakaś skrzynka, — odparła Lola równie cicho, wyciągając szyję, by lepiej widzieć.

— A może to srebra Kierdejów?

— Może! Kto tam wie, co zakopują!

— Lolu, chyba nie trupa?

Gdyby Lola nie była trzymała silnie Heli za rękę, ta ostatnia pewnie byłaby uciekła; samo przypuszczenie, że leżą przed nią zwłoki p. Edwarda, było jej wstrętne.

— Może i nie, — uspakajała ją Lola, — pewnie chowają skarby, trzeba nam dobrze zapamiętać miejsce!

Lola zrobiła krok naprzód, by dokładnie obejrzeć pole działania, lecz niebacznie nastąpiła przy tej sposobności na suchą gałązkę.

— Co to jest?

Pytanie było zadane dobrze im znanym głosem Smoka. Niewyraźny pomruk był jedyną odpowiedzią Szymona.

— Lepiej się w każdym razie przekonać! — dodała p. Wańkowiczowa.

Ogrodnik chwycił za latarnię i począł nią rozsyłać promienie na wszystkie strony ogrodu, poczem zaczął iść prosto w stronę dębu, za którym kryły się dziewczynki. Strachem obezwładnione nie śmiały one uciekać, jedyną nadzieją było, że Szymon ich nie zobaczy pod osłoną nocy. W ostatecznej rozpaczy, chcąc się lepiej skryć za pniem, Lola posunęła się w tył, — niechcąco silnie potrąciła Helę. Ta ostatnia nie była przygotowana na tak gwałtowne wtrząśnięcie, grunt był nierówny, wyciągnęła dla równowagi rękę, uchwyciła się Loli, zachwiała się... i... obie dziewczynki skulnęły się z pagórka do stóp Szymona...

Z trzaskiem łamiących się krzewów spadły „detektywki"; ogrodnik wydał okrzyk przerażenia, upuścił latarnię, scena pogrążyła się w ciemnościach... kurtyna spadła... W tej samej chwili, dziewczynki uciekały na przełaj, przez krzewy i klomby do domu. Ciernie rozdzierały im suknie, pręty biły po twarzy, lecz one nie zważając na takie drobnostki, uciekały od mogącej lada chwilę nadbiec pogoni. Nie słysząc żadnych za sobą kroków, dopadły wreszcie bocznego wejścia. Widocznie potrafiły Szymona ubiec, albo też ten ostatni nie kusił się wcale o ich schwycenie. Pani Wańkowiczowa zostawiła sobie wszystkie drzwi otwarte, tak, że dziewczynki cicho się prześliznęły do swego pokoju, nie spotykając nikogo na korytarzu. Jakżeż bezpiecznem schronieniem wydawał się im ten pokój! Nie śmiejąc już świecy zapalić dziewczynki z nadzwyczajną szybkością pozrzucały z siebie suknie, i znalazły się w łóżku.

— To dopiero przygoda? — szepnęła Lola, rozkosznie wtulając się w miękką pościel.

— Ciekawam, czy nas tylko Szymon nie poznał — odparła Hela.

— Hm! nie wiem, właściwie mógł nas widzieć przez tę sekundę, nim upuścił latarnię.

— Wiesz, oni musieli mieć jakieś straszne zamiary, bo Szymon był przerażony naszym widokiem!

— Naturalnie! Całe nieszczęście, że nas widział i gdzieindziej zakopie skarby!

— Czemuś ty się też ruszyła — piskliwym głosem skarżyła się Hela.

— A, no szkoda, szczególnie, że teraz będą się mieli na baczności, — biadała Lola. — Jeżeli nas Szymon poznał, to się domyśli, że ich szpiegujemy, a Smok będzie wściekły! brr! gorszy i nieznośniejszy niż kiedykolwiek.

Nazajutrz rano przy śniadaniu pilnie wpatrywały się dziewczynki w twarz starej klucznicy, roznoszącej mleko, — lecz nic wyczytać nie mogły. Jeżeli nawet posądzała je o jakikolwiek związek z wczorajszą przygodą, nie można było tego po niej poznać! nie było widać żadnego żywszego uczucia pod maską gderliwej obojętności. Zaraz po śniadaniu pobiegły dziewczynki odnowić znajomość z miejscem wczorajszych nieszczęść; ktoś rzeczywiście poruszał ziemię u stóp pogórka, ale wszystko było uprzątnięte i uporządkowane.

— Może tu co jest? jak myślisz? — pytała Hela, zagłębiając długi pręt w luźną ziemię.

— Ale gdzież tam! — odparła Lola, — przecież pierwszą rzecz, co zrobili, to wynieśli wszystko w bezpieczniejsze miejsce; nawet warjat nie zakopałby skarbów tam, gdzie wie, że go ktoś śledził, — a Smok i Szymon to para bynajmniej nie głupców!

— Żeby to zgadnąć, gdzie to coś zakopali! — wzdychała raz po raz Hela.

Chwilowo jednak, choć się żadna z dziewczynek przyznać do tego nie chciała, obydwie tak się przeraziły nocną wycieczką, że miały dosyć wszelkich poszukiwań; nie miały odwagi znowu się narazić p. Wańkowiczowej lub Szymonowi, powtórnie się wtrącając do ich czynności. Było to bardzo pięknie i zabawnie szukać skrytek po domu ale sprawa poczynała przybierać postawę poważną i raczej nieprzyjemną.

— Czasem myślę, żeby się może lepiej zwierzyć Zuli lub p. Rozwowskiej, — odezwała się Hela, która zastanawiała się niekiedy nad zamiarem dochowania ścisłej tajemnicy.

— Na nicby się nie zdało! — odrzekła jednak Lola. — Smok i Szymon zaparliby się wszystkiego, tłumacząc, że wszystko było przywidzeniem z naszej strony; starsi tak to często robią! I cóż my na to poradzimy? Pani Rozwowska dałaby nam jeszcze burę, że się niepotrzebnie wtrącamy do spraw Zuli — i tyle! Nie! stanowczo lepiej cicho siedzieć i ufać szczęściu!

ROZDZIAŁ VIII.

Nastało gorące, upalne lato. Drzewa, pokryte zupełnie już rozwiniętemi liśćmi, rzucały duże ciemne cienie na rozpaloną ziemię; polne różyczki kwitły przy drogach, a wysokie dzikie malwy tworzyły rożnobarwny płot na samej granicy lasu. Łąki i rowy były pokryte dużemi stokrociami, niebieska ostróżka pokazywała gdzieniegdzie swój łepek, motylkowaty kwiatek wyki polnej delikatnie wabił oko, zapach kwitnącego rumianku unosił się w powietrzu, duży mak i skromny kąkol czerwienił się wśród zbóż o złotawych już odcieniach. Lekki wietrzyk przynosił za każdym powiewem woń świeżego siana; zaczęło się już bowiem sianożęcie i śliczne polne kwiatki padały szeregiem pod nieubłaganą kosą kosiarza. Panienki spędzały wszystkie wolne chwile na dworze, korzystając z tych cudownych dni, by w pełni użyć pobytu na wsi.

Pewnego upalnego, wolnego popołudnia, Loja i Hela, którym wyjątkowo pozwolono się zbliżyć do uprzywilejowanego grona dużych, siedziały w rozkosznym cieniu rozłożystego krategusu.

Powietrze drgało wprost z upału, zielone koniki polne ćwierkały w pobliżu, mała jaszczurka wygrzewała się na słońcu, a z gorąca ucichły nawet wróble.

— Wiele za ciepło na tenisa, — mówiła Irena Sieheniówna, — niczego więcej nie pragnie moja dusza, jak leżeć w cieniu, wśród zieleni!

— Cieszę się, że jesteśmy tu, a nie w Białym Domu, — mówiła Muszka Zielińska.

— Ja również, — zauważyła Natalka Wierska, — ale Biały Dom jest tysiąc razy milszy od wielu innych pensyj.

— Tak, — odparła Oleńka Lewadzka, — bo p. Rozwowska urządziła swój zakład na modłę angielską.

— Jak to na modłę angielską?

— Bo uczymy się tylko rano, jesteśmy wiele mniej skrępowane, jak w wielu innych zakładach; no i mamy masę czasu i sposobności na sporty.

— A właściwie czemu w Anglji tyle uprawiają sportów?

— Najpierw dla zdrowia, potem dla wyrobienia natychmiastowego posłuszeństwa względem wszelkiej władzy, dla szybkiego orjentowania się w każdem położeniu; no i chyba z przyjemności samej gry, jak dla mnie przynajmniej.

— To prawda, — potwierdziła Muszka, — wolę w każdym razie Biały Dom od francuskiego klasztoru, w którym byłam w Brukseli.

— Nie wiedziałam, żeś była we Francji, — rzekła Lola, rozdmuchując pył mlecza.

— Ja też wcale nie twierdzę, że byłam!

— Więc czemu mówisz, żeś była we francuskim klasztorze? Pleciesz, Muszko!

— Bynajmniej, bo Bruksela znajduje się przypadkiem w Belgji, a nie we Francji!

— Myślałam, że się niby to uczycie geografji w III klasie! — zaśmiała się Irena.

— Bo ona mówiła francuski klasztor, a nie belgijski, — broniła się Lola.

— Dlatego, że wszyscy mówią po francusku w Brukseli.

— Więc nie mówią po flamandzku?

— Tylko lud; i ten nawet uczy się w szkołach po francusku.

— Jakże tam długo byłaś, Muszko? — wtrąciła Natalka.

— Tylko kwartał, zachorowałam i musiałam wrócić do domu.

— Dobrze ci tam było?

— Ot, tak sobie!

— Czy musiałaś cały czas mówić po francusku?

— Musiałam, bo panienki nie mówiły żadnym innym językiem i wyśmiewały się ze mnie, gdy nie mogłam porządnie się wysłowić.

— A, nie zazdroszczę ci! — rzekła Hela.

— Rzeczywiście było nieznośnie, bo one so-

bie ciągle coś o mnie opowiadały, a ja nie mogłam zrozumieć; tak się też złościłam, że mnie często bolała głowa.

— Czy ten klasztor był na wsi?

— Już ci raz mówiłam, Lolu, że był w Brukseli, a Bruksela, to duże miasto, stolica Belgji. Nasz klasztor miał wygląd więzienia, otoczony wysokim murem, z małemi wieżyczkami na rogach; duży, brukowany dziedziniec obstawiony drzewami pomarańczowemi i oleandrami w zielonych skrzyniach, zastępował nam ogród, ale z nazwy tylko, bo nie przypominał ogrodu wcale. Rzadko kiedy wychodziłyśmy na prawdziwe przechadzki, i to tylko parami, a matki ogromnie uważały na zachowanie się ciche i spokojne; mówić nawet nie było wolno!

— A zakonnice były miłe?

— Dosyć. Wolałam je w każdym razie od wielu panien; w mojej klasie naprzykład były dwie siostry, Marie et Sophie de Beauvais, które wiecznie się wyśmiewały z tego, że jestem Polką. Wogóle już to nie bardzo było przyjemnie, dopóki nie przybyła jakaś Niemka, wtedy zaczęły jej dokuczać zamiast mnie.

— Czemuś nie została w Belgji?

— Zachorowałam i mama po mnie przyjechała, a potem nie chciała mnie już zagranicę wysyłać; dlatego też oddała mnie do Białego Domu. Pani Rozwowska bardzo dba o nasze zdrowie,

więc mama mówi, że woli, bym gorzej mówiła po francusku, a była zdrową.

— To prawda, p. Rozwowska ogromnie się troszczy o nas, — rzekła Irena. — Byłam dawniej u panny L., gdzie nauczycielki nie zważały nigdy na to, że nas głowa boli, lub że nie mamy apetytu. Trzeba było ogromnie kuć, by co rok składać egzamin. Panna L. musiała corocznie zapisać pewną ilość panien na maturę i pewną ilość na egzamina z klasy do klasy, by dostać jakąś premję od rządu. To też musiałyśmy kuć i składać, czy się miało ochotę, czy nie. Już ja to wolę Biały Dom, szczególniej, gdy jesteśmy w Kierdeju. Ale... mówimy o wilku, a on tu, bo oto Zula! Przecież nie przyszła na tenisa, chyba za gorąco.

— Przynajmniej o dwadzieścia stopni, — odparła nowoprzybyła, rzucając się na ziemię i wachlując się kapeluszem. — Na drodze upał dochodzi chyba do 50 stopni! Nie, przyszłam ze zleceniem od mamy do p. Rozwowskiej, ale ona właśnie wyszła i wróci dopiero o wpół do piątej. Jeżeli mnie więc przyjmiecie do swego towarzystwa, to tu poczekam.

— To cudownie!

— Ślicznie!

— Zostań!

— Hurra! — odpowiedział jej chór głosów.

— Urządzimy sobie palawer pod drzewem,— zaprojektowała Muszka.

— Co to jest „palawer?“ Mam nadzieję, że to coś lodowatego i musującego do picia!

— Żeby to! Nie, jest to zebranie, na którem każdy musi coś opowiedzieć.

— Kiedy ja zawsze prawdę mówię, — odparła, śmiejąc się Zula.

— Nie żartuj, bo wiesz, że chcemy, byś nam coś o kimś, albo o czemś opowiedziała.

— Kiedy ja plotek także nie robię!

— Zulo, Zulo, jesteś niepoprawna, za karę musisz zacząć. Natalko, wytłumacz jej o co chodzi, bo ja, zdaje się, nie umiem.

— Musisz nam opowiedzieć jaką przeczytaną historyjkę lub zdarzenie prawdziwe, — rzekła Natalka. — Wolimy naturalnie jaką osobistą przygodę.

— Tak mało ludzi ma przygody w życiu, — odparła Zula.

— To możesz opowiedzieć coś „książkowego“!

— A jeżeli nic nie pamiętam?

— To sobie przypomnisz! Twoi słuchacze nie bardzo krytycznie usposobieni!

— Kiedy ja naprawdę nie umiem opowiadać, — rzekła Zula. — Czy mogę wam co przeczytać?

— Jeżeli co masz pod ręką, to owszem.

— Mam przypadkiem, — odparła Zula, biorąc do ręki stary numer jakiegoś ilustrowanego czasopisma, — przyniosłam ten zeszyt, by go pożyczyć p. Rozwowskiej, wiedząc, że ją zajmie artykuł o naszej rodzinie. Jest to podanie o Kierdejach z czasu wojen tureckich za króla Michała: przygody Edwarda Kierdeja. Może to was będzie nudziło?

— Jeżeli to coś o Kierdeju, to napewno nie, — odparła Lola.

— Kto to napisał? — spytała Irena.

— Jakiś lwowski profesor, który tu w okolicy spędzał wakacje dwa lata temu; ogromnie się wówczas zapalił do rodzinnych naszych papierów, których mu pożyczył mój stryj, i na tle tychże osnuł tę opowieść. Fakta są wszystkie prawdziwe, ale myślę, że użył w szczegółach trochę własnej wyobraźni. Ale najgorsze, że to długa rzecz, i że nie będzie czasu na wasze opowieści.

— To nic nie szkodzi!

— Chwała Bogu!

— Zaczynaj!

— Dalej, jazda!

Tak zachęcona — Zula, odnalazłszy stronę, otoczona ciasnem kołem gorliwych słuchaczek, poczęła czytać, co następuje.

. . . . . .

Druga połowa XVII wieku krwawo się zaznaczyła w historji dziejów naszych; południowe szczególniej kresy gorzko odpokutowały polityczne błędy swych magnatów; kwiat rycerstwa zginął, a ziemia bogata i urodzajna spłynęła krwią i pożogą. Zwycięskie pochody wojsk tureckotatarskich zalały szeroką ławą zniszczenia całe ówczesne Podole i Ruś Czerwoną po Lwów. A Hussein Bey pchał coraz to nowe zastępy, obsadzając silną załogą zdobyte miasta i grody, darowując ulubieńcom miasta i wsie. Zawierucha wojenna nie ominęła nawet małego, nieznacznego zameczka Kierdejskiego, położonego daleko od traktu. Nielicznie tam pozostały lud, lub przemocą nagnani kozacy niechętnie chodzili około swych obowiązków. Po co orać i siać, gdy żniwo niepewne? Straszne też, lubo ciche groźby ciskano na owoczesnego pana; Hussein Bey oddał bowiem Kierdej w dzierżawę przybocznemu swemu murzy Saphim Beyowi. Saphim jednakże postanowił kupić owe dobra od chciwego swego wodza, zawczasu więc już nietylko że się uważał za prawego ich właściciela, ale myślał także o ożenieniu się po woli lub też nie woli z młodą Katarzyną, jedyną pozostałą latoroślą tego domu. Taki stan rzeczy, lubo dla Saphim Beya niezmiernie korzystny, doprowadzał do rozpaczy biedną Katarzynę, która w dzieciństwie już zaręczona z krewnym swoim Edwardem Kierdejem, bała się owe-

go Turka jak ognia. Nic też w tem dziwnego, Saphim Bey, prócz tego, że wróg i cudzoziemiec, odstraszającej był postawy, twarz miał bliznami pooraną, oczy dzikie; jako pan twardy i bez litości, jako wróg nieubłagany i okrutny, tyran dla tych, którzy mu opór stawiali, wzbudzał u kilku pozostałych sług, przywiązanych na śmierć i życie do Kierdejów, nienawiść tak wielką, że tylko niemoc ich powstrzymywała od zbrodni. A Saphim Bey obwarował się w swoim zamku i żelazną ręką rządził wszystkimi, tak, że lud jęczał pod strasznym uciskiem, ale milczał, — oczekując zemsty.

Tak się rzeczy miały na początku roku pańskiego 1672-go, kiedy to razu pewnego stary Hrehory, wierny sługa ojca Katarzyny, poległego już w roku 1660-tym, szedł zwolna drogą, wiodącą z Buczacza ku Kierdejowi. Prowadził konia obładowanego worem mąki, którą był kazał zemleć w temże mieście, obchodząc tym sposobem nakaz Saphim Beya, który nakładał wysokie cło za każdy funt mąki zemlonej w swoim młynie. Szedł też Hrehory ostrożnie, oglądając się za sobą, czy jacy pachołcy Saphima nie napadną go, nie odbiorą mąki i nie wymierzą mu stu pałek, z których to ran już trudnoby było staremu się wylizać. Dla tych to przyczyn zboczył z traktu i szedł mało komu znanemi ścieżkami, czając się przy każdym skręcie i nadsłuchując, czy się nie

rozlegają czyje kroki. Można sobie więc wyobrazić jego przerażenie, gdy nagle jakaś postać wysunęła się z gąszczu, wołając nań po imieniu. Był to rosły młodzieniec, o barkach szerokich, którego zniszczone ubranie nie mogło ukryć szlachetnego pochodzenia.

— Jestem uczciwy, panie, i uczciwie doglądam swej sprawy, więc jeżeli i wy, panie, toż samo czynicie, nie przeszkadzajcie mi, — odezwał się stary Hrehory.

— Jak to, Hrehory, nie poznajesz starego przyjaciela? A ja zaprawdę dobre przynoszę ci wieści!

To mówiąc nieznajomy spuścił kaptur, który mu zakrywał część twarzy.

— Panicz Edward! — wyszeptał stary, — ależ tu niebezpiecznie! Paniczu mój, uciekajcie, boć on was dogoni, choćbyście się skryli pod ziemię.

— To on się tam prędzej znajdzie, niż myśli, — złowrogo odparł Edward. — Dosyć mnie dotąd skrzywdził, a teraz chce mi porwać moją dziewczynę! Niedoczekanie jego! Katarzyna jest moją, nic nas rozłączyć nie może, bo mi dała w kościele obręcz swoją! I zdobędę ją, — chyba mnie kruki pierwej rozdziobią.

— Słowa, paniczu, odważne słowa, — kiwał głową stary, — ale niejeden zgryziecie, paniczu, kamień, nim Saphima obejdziecie.

— Gdzie kamień nie pomoże, tam pomogą miecz i proch, — odparł młody. — Słuchaj, stary, niosę ważne wieści; ma być pokój. Turek będzie musiał ustąpić!

— Do końca życia ślubować Ci będę, Najświętsza Panno! — rzekł stary, żegnając się nabożnie.

— Tak, ale nie takie dobre te wieści, jak się wydają. Spotkałem wczoraj posła od Jegomości Króla z Warszawy, mówił mi o tym pokoju; dla Polski to wstyd! Wiesz ty co? Mamy oddać Turkowi Podole i Ukrainę! Ot, walczyliśmy pod p. Sobieskim, a z tego tyle, że na własnej skórze ran garść zostało! a Polsce obcinają ręce i nogi. No, ale dla nas tu, to szczęście, bo my, choć na samej granicy Podola, aleć zawsze już w Rusi. Tego zdrajcę Saphima trzeba wypędzić, bo on sam nie pójdzie; nie pożałuję ja krwi, ale Katarzyna musi być moją! Słuchaj! ja muszę ją widzieć i zbadać obwarowanie zamku.

— Umrzecie, paniczu, pierwej niż tam wejdziecie! — krzyknął stary sługa, — idziecie prosto w paszczękę lwu!

— Nikt mnie nie pozna, jeżeli mnie nie zdradzisz, stary, a ty mnie nie wydasz, co?

— Moje życie należało do nieboszczyka jegomości p. starosty, dziś jestem na usługi panny starościanki. Ale zaniechajcie paniczu, wierzcie staremu, — prosił Hrehory.

Popołudniowe słońce złotemi promieniami zaglądało przez wąskie szczeliny okien do pokoju w wieżycy zamkowej. A nie był to wówczas wspaniały pałac dzisiejszy; bynajmniej, był to raczej warowny gród o połowę mniejszy niż teraz. Siła szła przed pięknem, najprostsze nawet potrzeby nie zawsze bywały zaspokojone, a o wygodzie nie było można nawet marzyć za temi wysokiemi, ponuremi murami. Kobieca widocznie ręka starała się w powyżej wymienionej komnacie złagodzić nieco surowy jej wygląd, mury były bowiem obwieszone wzorzystemi kilimami, a kamienna podłoga posypana świeżo ściętym łączem. Na pięknie rzeźbionej ławie koło okna siedziała przy krosnach młoda, szesnastoletnia dziewczyna, rozmawiając z cicha z rówieśniczką, snać do towarzystwa jej dodaną szlachcianką, której kołowrotek pod wprawną nóżką wartko się kręcił i wesoło pomrukiwał.

— Mówię ci, Anno, ja za niego nie wyjdę, gdyby chciał użyć nawet przemocy. Zaprawdę, ciężki mój los, oto jestem uwięziona we własnym zamku, roztrwoniony ciężko zbierany grosz ojca, słudzy moi na cztery wiatry rozpędzeni wojną, a wzamian za to wszystko mam zostać jego żoną. Nie! raczej śmierć!

— A tylko pięciu poranków brak do wianka ślubnego, — westchnęła Anna. — Mój Boże, boję się słodka pani, że was Turek jednak weźmie!

— To w takim razie umrę, nim mnie zdoła poślubić! — gwałtownie wybuchnęła starościanka. — Edwardzie, Edwardzie, — szeptała ciszej, — ratuj mnie, przecież ci ślubowałam w kościele, a dzisiaj nie wiem nawet czy żyjesz; od przeszło roku nie zdołałeś mi przysłać umówionego znaku! Biednaż, ja biedna ofiara! — zanosiła się od płaczu.

— Nie płaczcie, miła pani; płacz nie naprawia złego, — rzekła Anna, która chcąc myśl starościanki rozweselić, zwróciła jej uwagę na zamieszanie na podwórcu. — Przyjechał jakiś cudzoziemiec, snać Greczyn lub Moskal z towarami. Pójdę zobaczyć, co przywiózł i wrócę Ci Pani oznajmić, jeżeli taka twa wola.

Nie otrzymując żadnej odpowiedzi od zamyślonej dziewczyny, zbiegła Anna na podwórzec, gdzie przybycie od tak dawna nie widzianego kogoś obcego zwabiło całą prawie załogę Kierdeju. Był to na owe czasy, nawet w latach pokoju wypadek rzadki, cóż dopiero teraz, gdy od bardzo wielu miesięcy każdy jadł, spał, chodził z mieczem przy boku i nożem w garści... kiedy żadne prawo nie obowiązywało, i rozbój na gładkiej drodze zdarzał się co dzień; — w takich warunkach kupcy nie chodzili po kraju, bojąc się nietylko o całość towarów, ale i o własne życie. Wobec tak rzadkiego gościa wyszedł nawet sam Saphim Bey przed dom, by się go rozpytać o

wiadomości ze świata. Handlarz, siwobrody starzec, współ zgięty ze starości, okryty wytartym burnusem, wychwalał swe towary głosem ochrypłym i łamaną polszczyzną.

— Moja pani chętnieby nabyła kawał złotej tkaniny na suknię, — odważyła się szepnąć Saphim Beyowi Anna.

Otrzymawszy niechętne przyzwolenie, pospieszyła z ową nowiną na górę. Katarzyna wzdrygała się z początku na myśl, że ma stanąć przed oczyma znienawidzonego sobie kata, ale ostatecznie zgodziła się zejść, raczej dla przyjemności ulubionej dworki, niż dla swojej.

— Piękne szaty mało mi potrzebne! — rzekła, — ale tobie, Anno, kupię paciorki i wstążki, a i rańtuch do tego.

Nikt nie zauważył bystrego spojrzenia, którym handlarz obrzucił Katarzynę, gdy ta ostatnia ukazała się we drzwiach, ani jak mu się trzęsła ręka, gdy rozkładał przed nią towary. Z dobrze udaną niedbałością, chytrze zdołał ją odprowadzić nieco na bok, pod pozorem pokazania swych tkanin w lepszem świetle; nagle pod osłoną rozpostartej sztuki szafirowego aksamitu prędko wsunął jej kawałek papieru do ręki, szepnąwszy jej wprzódy: „Na Boga, Pani, nie zdradźcie się“. Mimo zdumienia i przerażenia umiała Katarzyna o tyle zapanować nad sobą, że najlżejszy okrzyk zdumienia nie wydarł jej się z ust. Pospiesznie za-

łatwiwszy swe zakupna, pobiegła do swojej komnaty, z której oddaliła Annę, by samej móc zbadać pochodzenie tajemniczego listu. Oto co w nim wyczytała:

Sercem ukochana, a przed Bogiem poślubiona Katarzyno!

J. K. M. Król zawiera pokój; ocalenie Twoje bliskie. Otwórz furtę w zachodniej bramie przed wschodem słońca. Do tej chwili niech Cię Panna Najświętsza ma w Swojej opiece.

Pisane w wielkim pospiechu, krwią tego, który Ci ślubował wiarę i miłość.

Radość i zdumienie Katarzyny po przeczytaniu tych słów łatwiej odczuć niż opisać.

— To on żyje i nie zapomniał o mnie, — szeptała. — A może ten kupiec to Edward przebrany? Tak, to był on napewno, nikt innyby się na to nie odważył! Mój Boże i ja go nawet nie poznałam!

Nie śmiała biedna dziewczyna zwierzyć się wiernej Annie z obawy niepotrzebnego słówka, któreby mogło o śmierć przyprowadzić jej bohatera. Rychło zgasiwszy światło w swej komnacie, z rosnącym niepokojem oczekiwała brzasku; to też gdy bladawe szare światło poczęło zalewać jej pokój, cicho zeszła na dół, przeszła przez dużą sień, minęła wartę śpiącą przed drzwiami na sitowiu i wyszła na podwórzec zamkowy. Pies stróża zawarczał na nią,

ale uspokoiła go kawałkiem słoniny na ten cel przygotowanej. Furta w zachodniej bramie podparta była i zakratowana ciężkiemi drągami z żelaza, które Katarzyna zdołała odsunąć po wielu dopiero trudnościach. Okrwawionemi rękoma pchnęła drzwiczki i bojaźliwie wyjrzała w półmrok; w tej samej chwili wysoka postać wysunęła się z cieni i dwoje ramion przygarnęło ją do siebie.

— Musisz uchodzić, najmilsza, nie dla twoich oczu, co się tu będzie działo, — szepnął Edward. — Hrehory czeka na ciebie z końmi i odprowadzi cię do pani kasztelanowej w Żółkwi. Chroń się tam, najdroższa, aż po ciebie przyjdę; ciężką mam bowiem tutaj pracę.

Szybko otuliwszy ją płaszczem i posadziwszy na koniu, Edward odczekał, aż zbiegowie uszli dobry kawał drogi; potem rzucił umówione hasło w dal ciszy nocnej. Na odgłos tegoż oddział ludzi zbrojnych począł się wychylać z poza drzew i cicho, sprawnie wszedł otwartą furtą w obręb murów fortecznych. Edward wypalił z pistoletu i rozpoczął atak na Kierdej. Saphim Bey i jego żołnierze, choć strzałami dopiero zbudzeni ze snu, bronili się zaciekle. Sroga bitwa zawrzała w dużej sieni i na dziedzińcu, aż oblężeni wyparci z swych punktów obronnych, rzucili się na Polaków ostatnim wysiłkiem woli; zyskawszy na czasie, zwolna lecz stanowczo poczęli się cofać

za mury. Nagle na komendę zrobili zwrot w tył i skoczyli do kościoła, gdzie się schronili, zatarasowawszy drzwi. Nie pomogło i to, bo rozżalone na Saphim Beya chłopstwo cepami, nożami, rękoma rozwalać poczęło mury i wkrótce zrobiło znaczny w nich wyłom. Turcy i kozactwo padało jak muchy, ciągle naprzód parci, cofali się do drzwi dzwonnicy, gdzie ich wreszcie dogoniła polska rajtarja i do jednego wybiła. Saphim Bey schronił się na sam szczyt wieży pod dzwony. Długo, dzielnie, mężnie się bronił, kto się doń zbliżał, padał z jego ręki... wreszcie dosięgła go chłopska kosa i odcięła mu ramię. Tej samej chwili wpadli Polacy; w mgnieniu oka dusza Saphim Beya opuściła ciało, które na drobne kawałki rozsiekano.

Pokój buczacki należy do historji, nie będę się więc o nim tu rozpisywał; dość na tem, że Edward, odzyskawszy swój rodzinny Kierdej, wkrótce także pozbył się napadających go licznych oddziałów Kozaków, Tatarów i Turków, którzy w końcu usunęli się za granicę zdobytego przez siebie Podola. Trapiły go one jeszcze wprawdzie często i ciężko, ale i to już do nas nie należy. Edward pojął Katarzynę za żonę.... a gody te obecnością swoją zaszczycił sam król Sobieski, — obdarzając szczęśliwego oblubieńca bogatem starostwem w dowód uznania jego szlachetnych i walecznych czynów.

ROZDZIAŁ IX.

— Jakto, już koniec? — spytały dziewczynki, gdy Zula zamknęła książkę.

— No, tak, chyba się dosyć nasłuchałyście o moim przodku-rycerzu.

— Ale gdzież tam, wcale nie dosyć, nie dowiedziałam się ani połowy tego wszystkiego co chciałam. — odparła Irena.

— Czy to wszystko jest prawdziwą prawdą, na prawdę, — prawdą? — zapytała Hela.

— Tak, fakta są prawdziwe; tenże sam Edward zaczął odbudowę Kierdeju w stylu dzisiejszym. Cała środkowa część była przez niego ukończona, a herby swoje i Katarzyny umieścił nad kominkiem w dużej sieni. Nagrobek jego widziałyście nieraz w kościele, cudem ocalał od rabunków kozackich i moskiewskich i w tym naszym ubogim kościółku zadziwia właściwie wspaniałością. Mieli oni siedmioro dzieci, pięciu synów i dwie córki; najstarszy Zygmunt zginął w bitwie pod Półtawą.

— Czy to w tym kościele zginął Saphim Bey na wieży?

— Czy to może wymysł autora?

— Nie, to prawda; ale nie w kościele, bo wieży nie ma, ale w dzwonnicy, która przecież stoi obok; do dziś dnia ludzie ją nazywają turecką wieżą, gdyż jest plama krwi na jednym z dzwonów, której nic nie zdoła zmyć.

— Widziałaś ją?

— Owszem, byłam raz na samym szczycie przy dzwonach i widziałam jakąś rdzawą plamę.

— Czy Saphim Bey tu pochowany?

— Jako Turek nie mógł być chowany na cmentarzu; tradycja mówi, że był posiekany na tak drobne kawałki, że nie było można zebrać jego szczątek, które rozwścieczony lud rzucał przez okienka wieży na dół. Mówią także, że przeklęty Turczyn wchodzi codzień schodami na wieżę, by pocałować plamę swojej krwi; ale to naturalnie ludowa baśń i głupi zabobon.

— To ty nie wierzysz w duchy? — zapytała Hela, która się zawsze trochę jeszcze bała ciemnych przejść w Kierdeju.

— Nie; gdy ludzie już umrą, to nie na to, żeby powracać na ten świat. Jeżeli byli dobrzy, to mają dostateczną nagrodę w niebie; a jeżeli byli źli, to im Pan Bóg pewnie nie pozwala wracać na ziemię, by ludzi straszyć!

— Zula ma świętą rację, — zauważyła Natalka, — bo z różnych opowiadań ludzkich duchy nie wracają nigdy dla jakichś ważnych przy-

czyn, ale po to tylko, by straszyć głupców i histeryków.

— Jeszcze jedna rzecz nie była zupełnie jasna w twojem czytaniu; — mówiła Lola, — a miał nowicie czy to Edward sam się przebrał za tego wędrownego kupca?

— Prawdopodobnie że tak, bo nie mógł nikomu zaufać; a przytem chciał się przekonać o załodze i murach fortecy kierdejskiej. Daleko bardzo stąd, het za Buczaczem, jest ruina klasztoru Norbertanek, gdzie się podobno po drodze schroniła Katarzyna, ale nieutrzymana ruina ogromnie się zapada, tak że nawet niebezpiecznie tam chodzić z obawy zawalenia.

— A czemu nie pojechała do Żółkwi, tak jak miała?

— Spotkała podobno podjazdy królewskie, które ją zapewniły, że niebezpieczeństwo z strony Turków minęło.

— A czy nie było jej smutno u tych Norbertanek?

— Jakżeż ja mogę wiedzieć, Helo? Spytaj się raczej tego lwowskiego profesora, on ma pewnie bujniejszą wyobraźnię, niżeli ja. Ale wracając do rzeczywistości, ciekawam czy p. Rozwowska wróciła? Pójdę zobaczyć! A mówiąc o niej mam do was prośbę: Oto muszę przegrać dzisiaj na organach jutrzejszą mszę, a mój stary Onufer chory i nie może przyjść miechem praco-

wać, by organom dostarczać powietrza. Czyby która z was była tak kochana i mi go zastąpiła? Ciekawam, czyby wam p. Rozwowska pozwoliła?

— Myślę, że p. Rozwowska nie miałaby nic przeciw temu; — odparła Natalka. — jabym poszła z największą przyjemnością, ale mam jeszcze godzinę muzyki prócz przygotowania; Irena i Muszka mają to samo.

— Ach, Zulo, czy mogłybyśmy ci pomóc i dąć w miechy? — zawołała Lola. — Hela i ja grałyśmy już dzisiaj, a gdybyśmy odrobiły francuskie zaraz po herbacie, to myślę, żeby nam p. Frazewiczówna darowała przygotowanie. Ach Zulo, tak byśmy chciały przyjść.

— Ależ bardzo wam będę wdzięczna, Lolu. Poproszę p. Rozwowską, a jeżeli pozwoli to spotkamy się przed kościołem o wpół do siódmej, dobrze?

Pani Rozwowska była tak wyrozumiałą, że nie odmówiła żądanego pozwolenia, przekonawszy się coprawda wprzódy o odrobionych lekcjach. Obie więc dziewczynki udały się do kościoła, gonione zazdrosnym wzrokiem przez resztę klasy. Drzwi były otwarte i Zula czekała już na nie; wprowadziła je też zaraz na chórek i nauczyła jak się obchodzić z rączkami od miechów, które dostarczały klawiszom powietrza, przestrzegając je, by się nie męczyły. Zula zasiadła przed manuałem i poczęła ćwiczyć trudniejsze pasaże. Za-

bawne to było uczucie siedzieć w ciasnym kąciku i miarowo chwytać za długą wąską rączkę miecha; dziewczynki zmieniały się i pracowały tak pilnie, że miechy stale były nadęte powietrzem i raz tylko klawisze nie wydały żadnego odgłosu. W nagrodę pozwoliła im Zula spróbować coś zagrać.

— To jeszcze trudniejsze od fortepianu, — westchnęła Hela po nieudanej próbie, — a to taka cudna rzecz gra na organach; te głębokie, pełne tony, rozlegające się echem po kościele, to przecież wspaniałe! Strasznie chciałabym się później nauczyć!

— Panna Ochorowiczówna mówi, żeś bardzo zdolna do muzyki, to się pewnie prędko nauczysz, — odparła Zula. — Ale teraz już naprawdę muszę wracać do domu, bo mama będzie niespokojna, już i tak zostałam dzisiaj dłużej niż zwykle.

— A to nasza wina, — rzekła Lola. — Zatrzymałyśmy cię dla własnej przyjemności.

— Wcale nie, bardzo jesteście kochane, żeście przyszły. Może wam kiedy p. Rozwowska znowu pozwoli mi pomóc, to zaczniemy wcześniej, i będziecie mogły same dłużej próbować.

Wyszły już z cienia cmentarnych cisów na słoneczną drogę, gdy Zula przeglądając nuty nagle się zatrzymała.

— Jaka ja niemądra, zostawiłam mój egzem-

plarz „Lux Begnina“ na chórze; właściwie nic to nie szkodzi, ale jutro organista ćwiczy mszę z chórem i napewno pomiesza moje nuty z swojemi.

— No, to wróćmy, — rzekła Hela.

— Nie mogę, muszę się spieszyć do domu.

— Wiesz co — odezwała się Lola .— wrócimy same po nuty i oddamy ci je jutro.

— Ach dziękuję wam bardzo, tak będzie najlepiej. Jutro możecie mi je oddać podczas historji, a teraz nie potrzebuję na nie czekać; — i Zula spiesznie podążyła drogą do pawilonu.

Dziewczynki wolno wróciły do kościoła i znalazły nuty leżące na krześle obok organów. Schodząc, Lola się odezwała:

— Chodźmy sobie dokładnie obejrzeć pomnik Katarzyny, w niedzielę zawsze taki tłok, że nic nie można widzieć.

Jaka to była śliczna rzeźba! Przeszło dwa wieki stała na straży tych, którzy pod nią spali snem wiecznym, a biały marmur zachował swą dziewiczą, nieskazitelną czystość i doskonałość kształtów, jakby był wczoraj wyszedł z pracowni artysty. Katarzyna z oczyma wniesionemi ku niebu, z rękoma złożonemi na piersiach, zdawała się oczekiwać lepszej przyszłości; jedynie napis u dołu był niewyraźny.

— To łaciną, dlatego tak trudno się domyśleć, — szeptała Lola.

— Jaki to dziwny strój, — zauważyła Hela,— czepek na głowie, rękawy bardzo długie, a zbroja pokrywa jej szatę. Swoją drogą, o ile ciekawszy teraz pomnik, odkąd znamy jej życie.

— Pomyśl, ona tu w Kierdeju mieszkała dwa wieki temu!

— Przeszło dwa wieki, 244 lata! Czy ty możesz sobie wyobrazić, że tu na miejscu tego kościoła wrzała bitwa i ludzie się zabijali?

— Pewnie dawniej wieża łączyła się z kościołem, bo inaczej nie mógłby się Saphim Bey do niej schronić.

— Pewnie... Ciekawam czy na tym dzwonie naprawdę widać ślad krwi? — rozmyślała Lola.

— Zula mówiła, że jest jakaś rdzawa plama.

— Wiesz, chodźmy zobaczyć, czy to naprawdę krew czy rdza!

— Co?... na wieżę?

— Tak, czemu nie?

— No, dobrze; ale czy nie będzie zapóźno, już się trochę ściemnia?

— Ale gdzież tam!

— No, to chodźmy! — zgodziła się jak zwykle Hela.

Kilka kroków dzieliło kościół od dzwonnicy, przez której odemknięte drzwi widoczne były małe krętę schody. Nikogo nie było, ktoby je mógł powstrzymać od tak nierozważnego kroku... wiedziały dobrze, że nie zdążą się już przebrać na

To sowa, biała sowa! — zawołała Lola (Str. 134)

(Kierdej.)

FOTOGRAWURA DRUKARNI I KSIĘGARNI
św. WOJCIECHA w POZNANIU

kolację, liczyły jednak na to, że im p. Rozwowska tym razem przebaczy. Na schodach ciemno było zupełnie, pomimo, że wdzierał się gdzieniegdzie bladawy promyczek światła przez wąskie szpary okien. Dziewczynki, stąpając ostrożnie, doszły wreszcie do małego równobocznego pokoiku, gdzie z sufitu złożonego ze starych, nieciosanych dębowych belek, zwieszał się sznur; tu widocznie przychodził co dzień stary zakrystjan dzwonić na mszę i Anioł Pański. W jednym kącie pułapu nie było belek; drabinka za to oparta jednym końcem o ziemię, ginęła drugim w ciemnościach tejże dziury.

— To pewnie droga do dzwonu, — rzekła Lola.

— Co za straszne miejsce, — dodała Hela. — Widzę tutaj Saphim Beya, uciekającego przed nadchodzącą tłuszczą z sztyletem w ręku. Wiesz, trochę mi go nawet żal, bo przecież nie można mu odmówić odwagi. Idź pierwsza, Lolu.

Szczebel po szczeblu, długo i mozolnie wspinały się dziewczynki; po chwili poczęły nawet tracić nadzieję dojścia kiedykolwiek do szczytu.

— Jakże wysoko umieszczony ten dzwon! — sapała Hela.

— Już pewnie dochodzimy, — odparła Lola.

Drabinka prowadziła do małego rusztowania, zbitego z desek, zbudowanego zapewnie koło dzwonów, w razie potrzeby naprawy lub zdjęcia

tychże, dzwon był wiele od nich wyższy; wspaniale wyglądała ta masa metalu, której obydwie dziewczynki nie mogły objąć rękoma.

— Widzisz, tu jest jakiś dziwny znak! — rzekła Hela cienkim głosikiem.

Lola obeszła dzwon, by do niego dojść. Rzeczywiście, był tam wąski pasek, o nierównych brzegach, biegnący wzdłuż niższej połowy dzwonu — ciemny, złowrogi ślad, którego wytłumaczeniem mogła być zbrodnia lub śmierć. Hela nieśmiało dotknęła się plamy i szybko spojrzała na palec, spodziewając się może czerwonego na nim śladu! Dreszcz nią wstrząsnął.

— Możebyśmy już zeszły?

— Dobrze, tylko oknem wyjrzę!... Popatrz, co za cudny widok!

Rzeczywiście, że okolica cudna się wydawała z szczytowych okien starej dzwonnicy... długie szeregi białych domków, o strzechach porosłych gdzieniegdzie mchem, ogromny gmach zamczyska, pola mieniące się różnobarwnością płodów, w oddali ciemniejące lasy i wznoszące się darnią pokryte pagórki... wszystko skąpane w delikatnem, różowem świetle zachodu. Tak było prześlicznie na świecie, że dziewczynki stały zapatrzone w przestworze, wchłaniając w siebie tę czarowną grę świateł. Widziały jak różowy odcień nieba potężniał w purpurę, jak purpura gasła, zmieniając się w fiolet, z fioletu na barwę liljową,

a z tejże na cudny, spokojny, chłodny seledyn. Zapomniały zupełnie o kolacji i p. Rozwowskiej, która się pewnie dziwi temu, że Zula nie odsyła ich do domu i wyrzuca sobie, że nie posłała po nie p. Frazewiczówny, lub której z dużych. Wreszcie, gdy cienie wieczora coraz szczelniej poczęły spowijać ziemię, oderwały się dziewczynki od okna i poczęły schodzić. Przedsięwzięcie to okazało się jeszcze trudniejsze od samego wchodzenia. Heli zaczynało kręcić się w głowie, a obydwie ogromnie się w każdym razie ucieszyły, gdy dotarły wreszcie do pokoju o wiszącym sznurze. Na schodach było już bardzo ciemno; musiały schodzić wolno, uważać na każdy krok i palcami dotykać się murów. Z radością poczęły szukać klamki, i odnalazłszy ją, nacisnęły — drzwi się jednakże nie otworzyły. Szarpnęły silniej, Hela uwiesiła się klamki, wygimnastykowana Lola rzuciła się z całym impetem na drzwi... nie pomogło nic... były uwięzione w starej tureckiej wieży.

— Możeby zawołać? — płaczliwie odezwała się Hela.

— Może ktoś jest na cmentarzu! Chyba nas nikt tak nie zamknął; ktoś napewno wróci! — pocieszała siebie i towarzyszkę Lola.

Ale w głębi duszy wiedziała, że płonne to były nadzieje; stary zakrystjan widział widocznie Zulę powracającą do domu, zamknął więc jak

zwykle kościół i dzwonnicę, nie przypuszczając, by się ktoś odważył wieczorem na sam szczyt tureckiej wieży. Miał on już czas wrócić do domu i nawet zjeść kolację. Dziewczynki zachrypły od nawoływania, łokcie, kolana i pięście obiły od uderzeń w drzwi, ale odpowiedzi nie było żadnej, prócz echa odbijającego się od sklepionego pułapu. Kościół leżał właśnie w takiej odległości od domów wiejskich, że trudno było komukolwiek usłyszeć krzyki, pochodzące z jego wnętrza, a mało było prawdopodobne, by ktoś przechodził o tej porze przez cmentarz. Na pensji spostrzegą się wkrótce o ich nieobecności, ale p. Rozwowska pierwej pośle spytać się o nie do pawilonu.

— Co my teraz zrobimy? — spytała Hela.

— Musimy się w każdym razie stąd wydostać, — stanowczo oświadczyła Lola. — Czekaj, może się wdrapiemy na jakie okno i stamtąd zeskoczymy?

Powoli i dokładnie obejrzały okna, ale trudno było ptakowi nawet przedostać się przez takie szpary! zrozpaczone dały za wygrane.

— Stójmy lepiej pod drzwiami! — odezwała się Hela, — usłyszymy może, gdyby kto szedł na plebanję i będziemy wołać!

Ciemno robiło się zupełnie, zaledwie można było rozróżnić pierwsze stopnie schodów, za każdem poruszeniem zeschłe drzewo w belkach i gontach trzeszczało złowrogo; dziewczynki na

nowo rozpoczęły krzyki, by przerwać tę strasznie męczącą bezczynność; znowu biły w drzwi, ale... napróżno.

— Jest jeszcze jeden sposób, — rzekła Lola.

— A to jaki?

— Pójść do pokoju o wiszącym sznurze i zadzwonić; cała wieś nas usłyszy, a zakrystjan napewno przyjdzie nam otworzyć.

— Tak, — odparła wahając się Hela, — ale...

— Co?

— Będziemy musiały wejść na górę!

— No więc co?

— Ależ Lolu... Saphim Bey! On podobno pokutuje!... A jak go zobaczymy?

— Jeżeli się boisz, to tu zostań. Zula przecież mówiła, że to głupstwo i zabobon.

Głos Loli trząsł się jednak pomimo oburzenia. Biedna Hela była między Scyllą a Charybdą: nie iść — znaczyło zostać sam na sam z ciemnościami nocy, wśród suchych trzasków, i złowrogiego echa Loli kroków; iść — narażonym się było na spotkanie Turka.

— To jedyny ratunek, — namawiała Lola. — Chodź zaraz nim zdołasz się odmyśleć i nim napędzisz sobie więcej strachu.

Odrazu za pierwszym skrętem ciemności ogarnęły je zupełnie; nie można się było we dwie zmieścić na wąskich schodach, więc Hela uczepiła się spódnicy Loli, gotowa do ucieczki za naj-

lżejszym, niewytłumaczonym odgłosem. O ile dłużej się szło jak poprzednio, o ile schody były węższe i bardziej strome!

— Otóż i jesteśmy! — zawołała Lola, gdy nie mogąc się następnego stopnia domacać, posunęła się w głąb pokoju, gdzie wpadało nieco światła przez cztery strzelnice. Lola wyciągnęła rękę po sznur, gdy nagle w śmiertelnym strachu Hela krzyknęła i uczepiła się jej ramion.

— Nie bądź niemądra, co się stało? — rozgniewała się Lola.

— Nie słyszałaś?

— Co? Gdzie?

— Tam w otworze od drabinki, w suficie!

Dziewczynki z bijącem sercem oczekiwały, co się stanie. Hela się nie myliła. Słychać było lekkie szurzenie, jak gdyby się kto na górze ruszał... Za bardzo przerażone, by uciekać, dziewczynki stały, jak w ziemię wrosłe, z oczyma wlepionemi w czarny otwór pułapu.

— Idzie! —krzyknęła Hela, padając na ziemię.

Istotnie coś białego i dużego ukazywało się na ciemnem tle dziury i zwolna... cicho... spłynęło po drabince ku ziemi. Nagle rozległ się w powietrzu przeciągły krzyk, rozdzierający jak wycie psa, para białych skrzydeł zatrzepotała w powietrzu i znikła przez otwarte okno w ciemność nocy!

— To sowa, biała sowa! — zawołała Lola z radością. — Oto twój duch, Helo!

— Dobrze w każdym razie, że sobie poszedł! Jak się wystraszyłam!... byłam pewna, że to Saphim Bey! — odparła Hela, podnosząc się.

— Ten twój Turek śpi zapewno w dzień, a w nocy wylatuje na żer. Swoją drogą, okropnie zaskrzeczał!

— Wiesz co, lepiej zadzwonimy, nim się co nowego zjawi!

Obydwie rzuciły się na sznur i poczęły nim szarpać niemiłosiernie. Biedny dzwon! pewnie od początku istnienia, nikt się nim tak źle nie obchodził; nigdy też nie odzywał się tak ostremi, urywanemi dźwiękami. Było to jakby hasło pożaru! A dziewczynki ciągnęły i ciągnęły, póki im nie zemdlały ręce.

— Chyba nas kto teraz usłyszał! — rzekła Lola. — Zejdźmy i czekajmy u drzwi.

— Ani pół się teraz tak nie boję Saphim Beya, odkąd wiem, że jest sową!

Schodziły niepewne, powoli, po omacku, aż stanęły wreszcie pod drzwiami. Czy to kroki, co się rozlegają w dali? Tak, słyszały już wyraźnie skrzypienie żwirem posypanej drogi, dźwięk głosów się zbliżających, otwarcie furty cmentarnej... Rzuciły się z krzykiem do drzwi i usłyszały wreszcie upragniony zgrzyt klucza w zamku. Był to zakrystjan, który zdziwiony i przerażony otwierał im drzwi, a za nim chmara wiejskich ludzi.

Cała wieś wybiegła z domów na odgłos dzwonów; spodziewano się, że trzeba będzie chwytać złodziei, lub ogień gasić; a tu pokazało się, że chodzi tylko o uwolnienie dwóch małych, wystraszonych pensjonarek z tureckiej wieży! W tej samej chwili Zula i p. Rozwowska wchodziły przez furtę cmentarną; pierwsza nie mogąc sobie darować, że nie odprowadziła dziewczynek do domu; druga rozgniewana z powodu ich przygody. Jak Lola słusznie wyliczyła, od godziny oczekiwano ich na pensji, ale myślano, że Zula grała tego dnia niebywale długo; dość że dopiero, gdy o ósmej jeszcze ich nie było, przełożona zaczęła się naprawdę niepokoić i sama wyszła na ich poszukiwanie. Poszła najprzód do kościoła, którego drzwi zastała już zamknięte; myślała więc, że Zula zabrała je z sobą do pawilonu. Nie zastawszy ich jednak tam, ogromnie się zaniepokoiła, zarówno zresztą z Zulą. Obydwie chciały już wysyłać ludzi na ich poszukiwanie, gdy im przeszkodził w tym zamiarze odgłos bijących dzwonów. Dziewczynki na liczne zapytania swych wybawicieli, opowiedziały swe przygody.

— Myślałam, że wam mogę zaufać i puścić same, — czyniła im wymówki p. Rozwowska. — Nie, Zulo, to w żadnym razie nie twoja wina; Lola i Hela doskonale wiedzą, że powinny były wracać prosto do domu, a nie wchodzić na starą dzwonnicę. Zawiodłam się na was dzieci!

Z pewnością nie byłabym im pozwoliła iść z tobą, Zulo, gdybym przypuszczała, że takie zachowanie możliwe. A co do strachu, którego się najadły, to mogą tylko siebie winić; owszem była to słuszna i zasłużona kara za nieposłuszeństwo!

ROZDZIAŁ X.

Choć główne przyjemności pobytu w Kierdeju polegały na sportach i zabawach na dworze, nie brakło jednak różnych poważniejszych zajęć. W jednym z czasopism, licznie sprowadzanych przez p. Rozwowską ogłoszony był konkurs dla dzieci poniżej lat piętnastu za największą ilość botanicznych cytat, wypisanych z dzieł naszych narodowych wieszczy. Trzeba było znaleźć jaknajwięcej ustępów z wszystkich znanych sobie poetów, opisujących kwiaty, rośliny, zioła, drzewa, itp. — Lola i Hela koniecznie chciały spróbować; zabrały się też z zapałem do przeglądania wszelkich tomów poezyj, jakie im tylko wpadły do ręki.

— To za wiele wymaga pracy, — rzekła Nina, — tyle trzeba przejrzeć książek, a potem wszystkie cytaty porządnie przepisać! Uf! za gorąco na taką przyjemność.

— A przytem i tak się nie dostanie nagrody! — dodała Myszka.

— Ja zaczęłam, — mówiła Wańdzia, — ale, jak twierdzi Nina, za gorąco! Mam dziesięć cytat

Mickiewicza, jedną Słowackiego i dwie Asnyka; dam ci je Helo, jeżeli chcesz.

— Bardzo ci będę wdzięczna, o ile nie mam już tych samych.

— Ja próbowałam kiedyś szczęścia w jakimś konkursie, ale zasłużyłam tylko na pochwalną wzmiankę, a nie na nagrodę, — odezwała się Marysia.

Choć reszta klasy nie miała zamiaru należeć do konkursu, z ogromnem zajęciem śledziły pracę Loli i Heli; pomagano im ze wszech stron w znoszeniu coraz to nowych pism.

— Wiecie co? — rzekła Marysia, — poproście Zulę, żeby wam pomogła; ona dużo bardzo czyta i zdaje mi się, że się głównie botaniką zajmuje, słyszałam, jak rozmawiała kiedyś z p. Rozwowską o okolicznej „florze", jak mówi p. Ochorowiczówna.

— Podobno ma śliczny zielnik, — dodała Wańdzia, — obiecała nam go kiedyś pokazać.

Dziewczynki usłuchały rady Marysi i zaczepiły Zulę po lekcji francuskiego.

— Bardzo się cieszę, żeście się mnie poradziły, — odparła, — bo myślę, że wam mogę pomóc. Mam w bibljotece bardzo dużo książek o botanice po moim stryju, który się lubował w tej nauce. Przyniosę popołudniu klucze i otworzę wam szafy.

Zula zawsze dotrzymywała danego słowa,

to też zjawiła się około czwartej z pękiem kluczy w ręku i otworzyła duże szklane drzwi od szaf, które ochraniały pięknie oprawne książki od pyłu i kurzu.

— Oto tu są; — rzekła, niektóre są ogromnie suche i mądre, ale inne są łatwiejsze do zrozumienia, i mają kolorowe ryciny. Są tu także katalogowane spisy ziół, używanych dawniej do medycyny; niektóre tomy są tylko o krajowych roślinach, inne o europejskich, inne wreszcie o egzotycznych; są także dzieła tylko o mchach i porostach. Należały one wszystkie do mego stryja, który się kochał w przyrodzie.

— Czyś ty je wszystkie przeczytała? — zapytała Hela.

— Gdzież tam! Na toby życia nie starczyło; ale swoją drogą, ogromnie te właśnie zaniedbałam, ale widzisz, właściwie mało mam czasu na czytanie, przecież lekcje u was dużo zajmują czasu, a mamie tak bardzo zależy na francuskim, że głównie nad nim ślęczę i dużo w tym języku czytuję. Może kiedyś wezmę się do działu przyrody. Będziecie musiały długo tu siedzieć i przeglądać tom po tomie, to też zostawię wam klucze od szaf, bo wiem, że mi książek nie zniszczycie i każdą odłożycie na swoje miejsce.

— Będziemy ogromnie uważały! — zapewniała Lola, — i nigdy żadnej stąd nie wyniesiemy, zawsze będziemy tu pracowały!

— Doskonale, — odparła Zula. — Tak bardzo polecam je waszej pieczy, bo mi je stryj szczególnie powierzył; mam wrażenie, że je cenił ponad wszystko inne na świecie i że za mało się zastanawiam nad ich wartością.

Jak to Zula słusznie przepowiedziała, przejrzenie wszystkich tomów niemałą było pracą; niektóre zawierały tylko długie spisy łacińskich nazw, inne były wiele za mądre dla pensjonarek; kilka jednakże obrabiało botanikę z punktu widzenia uczuciowo-lirycznego i umieszczało nawet wierszowane ustępy różnych autorów. Pani Rozwowska, która ogromnie zachęcała dziewczynki do tej pracy, dała im pozwolenie chodzenia do bibljoteki w czasie rekreacji; to też przez kilka następnych dni spędzały tam wszystkie prawie wolne chwile. Było to bowiem bardzo miłe zajęcie, takie, które je zapoznawało z dawnymi wieszczami, tak bardzo miłującymi tę polską naszą przyrodę. Dziwną była naprzykład myśl, że już w XV wieku, lat temu pięćset, zarówno jak dzisiaj zachwycano się różą albo lilją. Oto w pieśniach łysogórskich znalazły następujący ustęp:

Ani lilja swą białością,
Czerwona róża krasnością,
Ani narcyz swą wonnością,
Zamorski kwiat swą drogością
Maryjej nie równa.

Konkurs stawał się coraz bardziej zajmujący. Pewnego popołudnia Hela, która starała się po kolei przejrzeć każdą książkę, zniosła z półki stary, gruby tom, zatytułowany **„Calende Floralis“.**

— Ten się nam pewnie nie przyda! — zauważyła, — bo stary i po łacinie; ale popatrz, tu ktoś pisał na marginesach!

— Ciekawam, czy to stary p. Edward? — zapytała Lola.

Hela spojrzała na kartę tytułową. Tak — tem samem, drobnem, raczej zygzakowatem pismem widniał napis:

„Edward Kierdej — Kierdej... 18...“

— W każdym razie lubił pisywać po książkach, — zauważyła Lola, — spojrzyj, tu jakiś wiersz!

Rzeczywiście, na wewnętrznej stronie okładki wpisany był długi wiersz, coś w rodzaju akrostyku, lub szarady.

P i e r w s z e w lasach znajdziesz zwrotnikowych,
Do mebli, lasek, używaj go krajowych.
D r u g i e wisi na ścianie — rośnie za morzem,
Jest rysowane palcem ludzkim lub bożem.
T r z e c i e nazwa w botanice bardzo trudna,
Zbierali ją żydzi, a praca to zmudna.
C z w a r t e zielone zewnątrz, wewnątrz czerwone
Duże, okrągłe, spożywa się cukrzone.
P i ą t e, to winorośl w kuchni używana,
Ale, Tobie pewnie nazwa jej nieznana.

S z ó s t e, świat dla barwy i powagi ceni,
I królem holenderskich ogrodów mieni.
S i ó d m e, gdy zapalone jasno się pali,
Teatralnej swem próchnem służy sali.
Ó s m e, to górski porost szarawej barwy,
Który światu dostarcza czerwonej farby.
A gdy snadnie odgadniesz rymowania treść,
W inną, nową przyobleczesz się pewnie sierść.
Bo w k o ń c ó w k a c h, czytanych z g ó r y d o d o ł u
Znajdziesz to, co Ci dadzą wszystkie pospołu
P o c z ą t k o w e litery z g ó r y d o d o ł u
A choć może pozazdrościsz pracy wołu,
Pamiętaj, że na świecie zawsze tak bywa:
Trudem i pracą nagrodę się zdobywa. E. K.

Obie dziewczynki ogromnie lubiły wszelkiego rodzaju łamigłówki, to też z radością rzuciły się na tę botaniczną szaradę w nadziei rozwiązania jej za pomocą dykcjonarzy, katalogów roślinnych i botanik.

— To też dziwne, że p. Edward pisywał szarady na okładkach botaniki! — mówiła Hela.

— Przecież to był podobno warjat! — odparła Lola.

— Musiał ją sam ułożyć, gdyż jest podpisana E. K. — dalej mówiła Hela, — wiesz, on jednak musiał być bardzo mądry! prawda? Tembardziej, jeżeli był nienormalny! Jabym wogóle nie mogła skleić wiersza, choćbym do jutra próbowała!

— P i e r w s z e, w lasach znajdziesz zwrotnikowych,
Do mebli, lasek używaj go krajowych.

— Hm, do mebli można używać wielu gatunków drzewa, ale do lasek, chyba tylko bambusu, — rzekła Lola! — Daj mi kawałek czystego papieru, to znaczniemy spisywać.

— Jeżeli **drugie** „wisi na ścianie“, to musi być obraz; może jest coś tej nazwy „za morzem“, wśród roślin egzotycznych; zobaczymy w tym tu spisie.

Hela znalazła w skorowidzu słowo „obrazek“, a na podanej stronie głośno przeczytała.

— „Z palmami spokrewnione są obrazki, o liściach strzałkowatych. Kwiatostany“ — — itd. itd., przerzucała wzrokiem dalej, — ot widzisz! „jeden gatunek obrazków, tak nazwany dlatego, że ma liście upstrzone plamkami, jakby pomalowanemi, rośnie w Ameryce“. Widzisz! mamy już drugie słowo: obrazek. Pisz!

Nad trzeciem męczyły się dziewczynki długo.

— Żydzi zbierali mannę na puszczy. Ale czy to ma być manna Pewnie nie, bo manna, to nie byłoby tak bardzo trudne!

— Wiesz co? — rzekła wreszcie Hela. — może manna to jaka roślina, zobaczymy, jak się nazywa po łacinie.

Hela po długich i daremnych poszukiwaniach odkryła wreszcie w spisie traw wyraz „manna“. Pokazało się, że pewien gatunek ziół, rosnących w bagnach, nazywa się manną i rodzi

ziarenka tejże nazwy. Trzeba było jeszcze przetłumaczyć ten wyraz na łacinę, gdy nagle Lola, przeglądając jakiś stary tom, oprawny w grubą skórę, zawołała:

— Spojrzyj, stary p. Edward sam nam ułatwił, napisał tu na marginesie: manna = glyceratur.

— Doskonale, to będzie napewno to!

Czwarte było owocem, dziewczynki zgodziły się jednogłośnie na „arbuz".

— Piąte, — mówiła Lola, — jest bezwątpienia rodzajem rodzynek, bo przecież rodzynki, to są suszone winogrona, ale jak się będzie nazywał ten djabełek? No, już ten stary stryj bynajmniej nie ułatwił nam zgadywania!

Hela mniej opowiadała od Loli, za to dokładniej przeglądała każdy spis roślin i nieznane sobie nazwy odnajdywała na podanej stronnicy.

—Mam, — rzekła wreszcie. — „Cybeby"!

Lola spojrzała na nią z podziwem.

— Wiesz, żeś ty bardzo mądra, Heluś; ale szóste, to i ja wiem: „tulipan".

Na siódme wpadły dziewczynki zaraz, dzięki opowiadaniom p. Rozwowskiej, która nieraz im mówiła, jak za jej młodych lat używano do przedstawień amatorskich próchna widłaków zamiast ogni bengalskich.

— Wiesz, że jestem dumna z naszego zgady-

wania! — mówiła Lola. — Siódme i przedostatnie „widłaki"; jeszcze zostało nam tylko jedno!

Ale to jedno było najtrudniejsze; nawet Hela, zniechęcona, chciała rzucić wszystko, gdy nagle przypomniały jej się wspomniane przez Zulę książki o mchach i porostach.

— Wiesz, może tam co znajdziemy, — mówiła, znosząc z półki kilka tomów oprawnych w ciemną skórę.

Obydwie poczęły pilnie przewracać kartki; sprawa była trudna i pewnie punkt ósmy szarady pozostałby im nieznany na zawsze, gdyby Lola przypadkiem nie znalazła luźnej kartki, ze spisem roślin, wydających z siebie barwiki. Gorączkowo zaczęła szukać; wreszcie zawołała:

— Mam! słuchaj: „Porosty są jedne z pierwszych roślin, które mogą się sadowić na skałach i przyczyniać się do ich wietrzenia. Wyjątkowo są między niemi rośliny pożyteczne. Jest kilka porostów, z których się otrzymuje farby czerwone, używane w barwierstwie i znane pod nazwą „orseliny".

— Otóż i to! — odetchnęła Hela. — Innej nazwy jak orselina spis nie podaje, więc to chyba to. Ależ to dzikie słowo!

Dziewczynki odgadły wszystkie osiem roślin i spisały je porządnie na osobnym kawałku papieru.

B a m b u S
O b r a z e K
G l y c e r a t u R
A r b u Z
C y b e b Y
T u l i p a N
W i d ł a k I
O r s e l i n A

— Początkowe litery dają nam „bogactwo“ a końcowe „skrzynia“, — rzekła Hela. — To dziwne, przecież to nic nie ma wspólnego z kwiatami i roślinami!

— Przeczytajmy jeszcze raz ostatnie wiersze, — odezwała się Lola i głośno zaczęła:

A gdy snadnie odgadniesz rymowania treść,
W inną, nową przyoblecesz się pewnie sierść.
Bo w k o ń c ó w k a c h, czytanych z góry do dołu
Znajdziesz to, co Ci dadzą wszystkie pospołu
P o c z ą t k o w e litery z góry do dołu.
A choć może pozazdrościsz pracy wołu,
Pamiętaj, że na świecie zawsze tak bywa,
Trudem i pracą nagrodę się zdobywa. —

— Końcowe litery mieszczą w sobie początkowe... „Skrzynia“ chowa „bogactwo...“ — rozmyślała Hela.

— Helo! — krzyknęła Lola, — w tem jest wiele więcej niż się na oko wydaje; to nie zwyczajna szarada, ale coś w związku z testamentem

p. Edwarda! Rozumiesz? W skrzyni jest bogactwo! skarby Zuli! rozumiesz?

— Nie, to nie może być! — wyszeptała Hela, składając ręce z zdumienia.

— Ale napewno! Patrz: „gdy odgadniesz rymowania treść, w nową przyobleczesz się sierść...“ naturalnie, bo jak się jest bogatym, to od razu człowiek inaczej wygląda. A to „trudnem i pracą nagrodę się zdobywa“, z trudem się „skrzynię“ znajdzie, ale się zdobędzie nagrodę „bogactwo“. Zobaczysz! Napewno! To dopiero wynalazek! Widocznie stary p. Edward chciał wskazać Zuli kryjówkę!

— Czy aby napewno? — wahała się jeszcze Hela.

— Ależ naturalnie; nie rozumiem czemu nie chcesz wierzyć! A nie pamiętasz, co mówiła Irena Sieheniówna, że p. Edward szczególnie polecał Zuli zajmować się botaniką? Dlatego też napisał swą szaradę w tym „Calende Floralis“ w nadziei, że ją kiedyś Zula odgadnie i znajdzie skarby. Wiesz, on może nie był wcale warjatem!

— Ciekawam czy Zula wogóle znalazła ten wiersz i czy go zrozumiała?

— Nie wiem; mówiła, że mało miała czasu na dokładne przejrzenie książek w tej szafie.

— Więc skarby są ukryte w jakichś skrzyniach w domu?

— W skrzyni wyraźnie jest liczba pojedyń-

cza. Myślę, że chyba nie w takiej zwykłej, z desek zbitej; ale może jedna z tych ślicznie rzeźbionych skrzyń w sieni lub korytarzu ma jaką ukrytą sprężynkę.

— Może być.

— Swoją drogą, co wtedy znaczy tajemnica szczytowego pokoju?

— Nie wiem.

— Możeśmy niesłusznie posądzały Smoka i Szymona?

— Nie wiem; w każdym razie ta szarada rzuca nowe światło na całą sprawę Zuli. Wpadłyśmy na trop tych skarbów i wiemy przynajmniej gdzie ich szukać. Musimy zaraz zrobić dokładny przegląd wszystkich skrzyń.

— Mam nadzieję, że przezwyciężymy tym razem wszystkie trudności, — odparła Hela. Pomyśl, jakby to było cudownie oznajmić Zuli pewnego pięknego poranku: — Zulo, oto zaginiony skarb; oto znalazłyśmy go dla ciebie!

ROZDZIAŁ XI.

Choć Lola i Hela dokładnie wiedziały, co się rozumie pod nazwą skrzyni — dla pewności jednak zajrzały do słownika.

„Skrzynia — paka drewniana okuta, często rzeźbiona lub skórą obita, zamykana, z wiekiem, unoszonem na zawiasach; służy do przechowywania różnych przedmiotów, najczęściej bielizny“ — orzekła ta powaga.

— Nie szukamy coprawda bielizny, ale już się teraz pomylić nie możemy, wiemy napewno, że skrzynia ma tylko to jedno, zwykłe znaczenie.

Cztery były w domu sprzęty, które odpowiadały opisowi znalezionemu w słowniku. Dwie stare rzeźbione skrzynie w sali jadalnej, jedna, dębowa w sieni, używana do drzewa opałowego i jedna na pierwszem piętrze, z wielkim wykładanym, zielonym, wypłowiałym aksamitem. Dziewczynki z największą dokładnością jej obejrzały, macały każdą z osobna rzeźbę, by się przekonać czy nie ma gdzie utajonej sprężynki;

daremnie, ani wieko, ani boki nie wskazywały na nic takiego, coby wogóle bardzo zwyczajnem i prostem nie było! Pierwsze trzy z wyżej opisanych skrzyń stały na małych, okrągłych, kulkowatych nóżkach; ostatnia zaś, czyli ta na korytarzu szczelnie przylegała dnem do podłogi... wszystkie były bardzo ciężkie, masywne, bogate...

— Czyśmy może źle odgadły szaradę? — ze łzami prawie pytała się Hela.

— Może być, ale myślę, że to Smok i Szymon byli tak dowcipni, że nas ubiegli; znaleźli pewnie owe skarby i gdzieś je ukryli. Może była jeszcze jaka inna skrzynia, którą wynieśli w bezpieczniejsze miejsce!

— A czyby Zula nie była się spostrzegła?

— Jeżeli to zrobili zaraz po śmierci starego p. Edwarda przed jej przyjazdem do Kierdeju, to pewnie nie!

— A gdzie ją schowali?

— Prawdopodobnie w szczytowym pokoju, w owej kryjówce, której nie znamy.

— Więc to zawsze i wszędzie wszystko się kręci około szczytowego pokoju i póki tam czegoś nie odkryjemy, sprawa nasza najmniejszego nie zrobi postępu!

— I nawet nie wiemy, czy skarby tam są, czy zakopane już w ogrodzie! — westchnęła zrozpaczona Lola.

Cała historja zaginionego skarbu stawała się coraz zawilsza i coraz trudniejsza do rozwiązania. Ciągle przychodziła tak zwana chwila krytyczna... już... już... wszystko zdawało się wyjaśniać... by popaść w jeszcze głębsze ciemności. Hela miała chwile zupełnego zniechęcenia i gdyby nie wrodzony upór Loli, ciągle dodający jej bodźca, oddawnaby wszystko rzuciła.

— Będę walczyła do upadłego, — oświadczyła Lola, — na to jestem zupełnie przygotowana; ani myślę dać za wygrane, aż do chwili wsiadania do pociągu w dzień wyjazdu na wakacje.

— A te się coraz bardziej zbliżają! od dziś za trzy tygodnie! — odparła Hela.

Trochę smutny, jakby rozczarowany dźwięk jej głosu, byłby bardzo zdziwił Lolę w Białym Domu, ale tym razem wszystkie panienki podzielały jej zdanie. Chmury zasłaniały widnokrąg wakacyjny. Trzeba było opuścić uroczy Kierdej, gdzie letni kwartał upłynął tak mile i prędko, jak mogły płynąć chyba tylko wakacje. Dziewczynki z rozpaczą się dowiadywały, że zmiany w wodociągach w Białym Domu były już prawie na ukończeniu, choć do powrotu ich we wrześniu dużo jeszcze było czasu.

— Czyby pani nie mogła na zawsze przenieść pensji do Kierdeju? — pytały p. Rozwowską młodsze.

— Nie, — odparła przełożona, — jest to zu-

pełnie niemożliwe z bardzo wielu względów; przedewszystkiem p. Kierdejowa będzie chciała wrócić na zimę do pałacu; a po drugie Kierdej za daleko położony od Lwowa. Przyznaję, żeśmy się doskonale urządziły i obeszły bez wykładów profesora Wierchlieskiego i Hoffmana, nie mówiąc już o lekcjach muzyki, rysunków, gimnastyki i tańca; ale to dobre na jeden kwartał; a nawet moje III-cio klasistki nie mogą chyba żądać, by profesorowie przyjeżdżali ze Lwowa do nas? Co? Nie, moje dzieci, zapadła wieś, to nie środowisko wychowawczo-naukowe!

— Tak nam będzie przykro stąd wyjeżdżać! — mówiły dziewczynki.

— I mnie też, — przyznała p. Rozwowska,— ale trzeba się będzie z losem jakoś pogodzić i wyzyskać tymczasem ostatnie chwile w tym uroczym zakątku!

Imieniny p. Rozwowskiej przypadały w następną środę i dawały doskonałą sposobność do dalekiej, całodniowej wycieczki, o jakiej dziewczynki oddawna marzyły. Imieniny przełożonej obchodzono bowiem zawsze jakąś przyjemnością, wieczorem tańcującym lub przedstawieniem amatorskiem w Białym Domu; tego roku postanowiono pojechać do Buczacza, odległego o mniej więcej 30 km. od Kierdeju.

— Są tam ruiny zamku Mikołaja Potockiego i słynnego Podzameczka, także Potockich, —

rzekła p. Rozwowska. — Jestem pewna, że spędzimy tam bardzo mile dzień moich imienin. Musicie także poprosić Zulę, by z nami pojechała.

Przybycie Zuli na zamierzoną wycieczkę do Buczacza było bardzo niepewne, gdyż zdrowie pani Kierdejowej wiele pozostawiało do życzenia. Zula opuściła nawet lekcje francuskiego i przyszła dopiero nazajutrz na wykład historji, wyglądając blada i zmęczona. Musiała sprowadzić lekarza, a tenże z niezadowoleniem kiwał głową; trzeba było bardzo uważać i nieustannie chorej doglądać, a któż to lepiej mógł uczynić od córki? W dzień wycieczki zjawiła się jednak Zula, z wyrazem niepokoju w oczach.

— Bardzo mi właściwie nie na rękę ta dzisiejsza wycieczka do Buczacza, lecz tak bardzo mamie zależało, żebym pojechała z wami. Dopiero się uspokoiła, gdy włożyłam kapelusz. Chwała Bogu, że Maryna jest tak dobrą pielęgniarką! Lecz mimo tego zawsze się tak boję, gdy na tak długo zostawiam mamę samą!

Drogę do Buczacza miano odbyć rusińskiemi furkami, a projekt ten tak się spodobał dziewczynkom, że od samego rana radość ich, przelewająca się na zewnątrz dość hałaśliwemi objawami, nie miała granic. Nawet Zulę wciągnięto w ten prąd zabawy tak, że biedaczka zapomniała narazie o swoich zmartwieniach. Z wielkim trudem zdołały się wszystkie panienki i nauczycielki

zmieścić na cztery furki, które p. Rozwowska najęła we wsi; ale nikt nie zważał na ścisk, brak miejsca, duszenie się... nawet Mademoiselle była w dobrym humorze.

— Cieszę się na samą myśl oglądania znowu wystaw sklepowych i ulic! — oznajmiła.

— Mam wrażenie, że Melle Elize będzie uradowana powrotem do Białego Domu, — rzekła Myszka, która posłyszała uwagę z drugiego wózka.

— Masz rację, — odparła Hela, — ona wprost tęskni za brukiem i latarniami, a rozpłacze się ze wzruszenia na widok tramwaju! Przecież zawsze mówi „qu'il fait horriblement triste ici".

— Mademoiselle jest Francuską! — zauważyła Wandzia z głęboką pogardą.

— Jakie niesłychanie nowe i oryginalne powiedzenie, Wandziu! Moja kochana, wiesz co? Królowa Bona umarła! A może myślałaś, żeśmy dotychczas uważały Mademoiselle za Niemkę?

— No, więc Mademoiselle jest w każdym razie cudzoziemką, nie możemy więc od niej żądać, by kochała nasz kraj! — broniła się Wandzia.

Kilka nadzwyczajnych przygód urozmaiciło długą dość drogę: Wiatr zerwał Dudzie kapelusz i o mało nie zapędził do strumienia, płynącego w głębokim jarze; szczęściem, że powożący chłopiec Hryćko zdołał go uratować od tak wielkiego, grożącego mu niebezpieczeństwa. Irena,

siedząca na samym brzegu jednej z furek, z nogami zwisającemi się na dół, o mało nie wypadła przy ostrym skręcie. Cały zaś szereg czterech furek musiał się zatrzymać przed wozami cyganów, którzy obozem stanęli na już i tak bardzo wąskiej drodze. Wreszcie malowniczy jar Strypy ukazał się oczom naszych podróżnych.

— Boję się, że Mademoiselle rozczaruje się co do sklepów, nie znajdzie tu w każdym razie paryskich sukien! — zaśmiała się Myszka, patrząc na wąskie, kręte, brudne uliczki, gdzie widniały stare domy, o rzeźbionej fasadzie, ale w których wystawy okien sklepowych bynajmniej nie grzeszyły pięknem i czystością.

— No, w każdym razie są cukierki! — zauważyła z westchnieniem ulgi Wandzia, która od kilku dni marzyła o wydaniu swoich oszczędności na słodycze.

— I widokówki są! — dodała Nina, — widzę pełną ich tacę przed tym tu domem.

Przyjazd czterech rusińskich furek, przepełnionych pensjonarkami, zrobił wielkie wrażenie w tak zwykle spokojnych ulicach miasteczka. Głowy poczęły się pokazywać w oknach, pejsate żydy powychodziły z domostw, brudne dzieci o potarganych głowach biegły za niemi, a ludzie poczęli się gromadzić na rogach ulic i patrzeć z zaciekawieniem.

— Zupełnie jak na dzikie zwierzęta, — śmiała się Hela.

— Chyba mają nadzieję, że przejdziemy śpiewając lub tańcząc naokoło rynku, — dodała Myszka.

— Chodźcie prędzej dzieci, za bardzo zwracamy na siebie uwagę, — rzekła p. Rozwowska. — Musimy coprędzej dojść do starych ruin, a sprawunki zrobimy później. Nie mogę teraz na was czekać.

Wandzia jednak już zdołała zanurzyć się w jakiś dość podejrzanie brudno wyglądający sklep z cukierkami, z którego wypadła z kilkoma papierowemi torebkami w ręku, uradowana, że zdołała w locie uchwycić tę od kilku tygodni upragnioną chwilę. Szczęściem dla swoich koleżanek była usposobienia bardzo szczodrego i gotowa się dzielić zdobyczą.

— Oddamy ci pięknem za nadobne, jak i my coś kupimy! — rzekła Myszka, z rozkoszą zajadając turecki „rahatlokum".

Przeszedłszy przez kilka ulic żydowskiej dzielnicy wydostała się cała nasza gromadka na wysoki brzeg jaru Strypy, gdzie wznosił się niegdyś wspaniały zamek Mikołaja Potockiego, starosty Kaniowskiego. Dziś ruiny tylko, bujno porosłe zielskiem przedstawiały się zachwyconym dziewczynkom; duży czworograniaty dziedziniec wewnętrzny okalały wysokie mury, którym ząb

czasu wygryzł zupełnie górny gzyms. Dziewczynki przeskakiwały jak kozy przestrzenie, zawalone gruzami i kamieniami, by się dostać do zamkowych komnat, a przedewszystkiem na wysoką zamkową wieżycę. Ta najlepiej stosunkowo zachowała swój pierwotny kształt; ciężka obronna baszta, o wąskich oknach, służących za strzelnice, pokryta była dachem, podczas, gdy nad innemi komnatami widniało gorące niebo południowych kresów Polski. Kręcone schody, którym brakowało coprawda gdzieniegdzie stopnia, prowadziły na szczyt wieży, gdzie płaski dach tworzył małą platformę.

— Proszę na dach nie wchodzić! — wołała z dołu p. Rozwowska, z trwogą patrząc i pilnując całości swojej gromadki.

Lecz wiatr nie zaniósł jej wołania na górę, na wieżycy szczyt... i wnet ukazały się jej oczom szczupłe postacie III-cio i IV-to klasistek, zabawiających się dawaniem skautowskich znaków pozostałym na dole koleżankom.

— Wiesz, Helo, tu było pewnie miejsce strażnicze dla wojska! — zawołała Lola, przykucnięta do ziemi z okiem u wąskiej strzelnicy, pokrytej od góry małym daszkiem.

— Prawda, — odparła Hela, — widać okolicę, jak na dłoni. To stąd pewnie straż dawała znać o ruchach nieprzyjaciela.

— Za czasów wojen kozackich, naprzykład!

— wtrąciła Duda.

— Naturalnie, — zawołała zachwycona Lola, — widzę jak stary Wierszuł ustawiał tu swoją baterję, Wołodyjowski harcował tam na przeciwko, na drugim brzegu Strypy... widzę, jak tłukł Kozaków i głowy Tatarom ucinał!

— Bajeczną masz wyobraźnię, Lolu, — zawołała z dołu Natalka. — Szkoda tylko, że Wołodyjowski nigdy tu nie był, nawet w opisach Sienkiewicza; a w każdym razie Buczacz nie był oblegany przez Chmielnickiego. Ale tymczasem proszę was, zejdźcie, bo p. Rozwowska mówi, że niebezpiecznie stać na tych spróchniałych deskach.

— Spojrzyj, jaka tu dziwna dziura! — zawołała Myszka schodząc. — Ciekawam czy ona się przypadkiem zrobiła? Chyba nie, bo ani nie wyszczerbiona, ani deski nie wyrwane.

— Bo to też pewnie rodzaj pułapki do strącania niewygodnych osobistości, nawiedzających zamek, jako goście, — odparła Natalka.

— Fe, jakie to nie rycerskie! Nie byłabym nigdy posądzała o to Potockich!

— Było to rzeczą zupełnie zwykłą w średnich wiekach, szczególniej zagranicą.

Dziewczynki rozbiegły się znowu; stare ruiny dawały pole do szerokich marzeń wybujałej fantazji dziewczęcej, oraz do licznych i ciągłych popisów w sztukach gimnastycznych. Wspina-

ły się one na wysoko sterczące odłamy murów, wchodziły przez okna do dawnych komnat, które dziś bez dachu, zasłane dywanem zielska, wyglądały raczej na małe dziedzińce zamkowe, niż na sypialne pokoje. Przechodząc koło jednego z okien, Lola wspięła się na palce; oczom jej przedstawił się nieduży pokój, który zapełniała cały ogromna alkowa, o sklepionym suficie, zaledwie tylko gdzieniegdzie uszkodzonym. Lola, kiwnąwszy na Helę, jak kot dostała się do środka. Ponuro tu było i jakoś dziwnie nieswojo; stare spróchniałe belki podłogi złowrogo trzeszczały, lekki wietrzyk, który na dworze tak cudownie ochładzał powietrze, przedostawał się z syczącym świstem przez dziury i szczeliny do wnętrza.

— Chodźmy już! — szepnęła Hela, — pewnie p. Rozwowska na nas czeka.

— Ale skąd? Jeszcze wszystkie są w dawnej kaplicy, a tu wygląda, jakby się mogło dziać czasami coś nadzwyczajnego! Wiesz, tu pewnie była sypialnia, bo do czegożby ta alkowa?

— Pewnie; spojrzyj, tu z pewnością musiał stać tapczan, może starosty Kaniowskiego?

— Naturalnie, on pewno tu umarł i jego duch pokutuje! Dlatego tak tu ponuro!

Przerażona Hela jednym susem znalazła się na krużganku zewnętrznym.

Lola szła pierwsza, Hela tuż za nią. (Str. 168)

(Kierdej.)

ROTOGRAWURA DRUKARNI I KSIĘGARNI
św. WOJCIECHA w POZNANIU

—Co się stało? — zapytała przechodząca właśnie Zula, zdziwiona tym szybkim odwrotem.

— Tu podobno pokutuje starosta Kaniowski? Czy to prawda, Zulo?

— Skądże znowu ta wiadomość? — odparła zagadnięta. — Mikołaj Potocki wcale tu nie umarł, tylko w Poczajowie.

— Nie mówię też, żeby to koniecznie on miał tu pokutować, — odezwał się z wewnątrz głos Loli, — ale ktoś tu umarł napewno; może jego żona, lub siostra, albo kto inny z Potockich.

— W każdym razie, nic o tem nie wiem, nie ma wogóle żadnego podania o tych ruinach! Daj pokój Lolu tym domysłom i nie strasz Heli; wychodź raczej z tego pokoju i chodźmy do p. Rozwowskiej, która na nas już czeka u bramy.

Rzeczywiście, że biedna przełożona dowołać się nie mogła rozpierzchłej gromadki uczennic, które co chwila ginęły za wyłomami murów, niby to szukając nieprzybywających koleżanek. Wreszcie jednak zgromadziły się wszystkie zaczerwienione od ruchu, rozpromienione radością.

— Jak tu ślicznie! — odzywały się zewsząd głosy.

Ruina drugiego zamku Potockich Podzameczka, położonego prawie naprzeciwko pałacu Mikołaja Potockiego okazała się równie zajmującą, jak

pierwsza. Trzeba się było przedostać przez Strypę, co też uczyniono za pomocą wiaduktu, zbudowanego wysoko nad jarem. Zamek ten, rozebrany przez Żydów, mniejszy był od poprzedniego i w jeszcze większym od niego stanie ruiny. Pani Rozwowska nagliła dziewczynki... robiło się już późno, a chciała jeszcze zwiedzić i inne ciekawe zabytki w samem mieście.

Obiad był zamówiony w jedynym porządnym zajeździe Buczacza, w hotelu Centralnym, dokąd się też wnet udało całe towarzystwo. A wesoły był to obiad! Śmiały się dziewczynki z zdumienia służby, z zaglądających przez okna dziewczyn, z nakrycia stołu i tym podobnych nieznacznych szczegółów, które rozbawiały zarówno dziewczynki, jak i nauczycielki. Po obiedzie zwiedziło towarzystwo piękny barokowy ratusz, fundacji Mikołaja Potockiego, cerkiew św. Mikołaja z XVII wieku, gdzie im kazano podziwiać ślicznie rzeźbiony ikonostas, oraz kościół parafjalny. Stary zakrystjan oprowadzał je, wskazując na kilka rzeźb i posągów gotyckich, oraz na cudne malowidła na szkle z XVI wieku. Szczególnie jedno z tych okien żywo zajęło Lolę i Helę, gdyż mistrz uwiecznił na nim jednego z Kierdejów, przodka Zuli. Słowem tyle było ciekawych rzeczy, że czas mijał niespostrzeżenie prędko; to też wielkie było ogólne zdziwienie, gdy p. Rozwowska, spoglądając na

zegarek oznajmiła, że czas zbierać się i wracać do domu.

— Możeby kto poszedł po Zulę, — dodała, — widziałam ją rozmawiającą u drzwi z panią Z.

Lola i Hela podjęły się ją odszukać; niebawem znalazły ją też rozmawiającą z młodą osobą, pod osłoną dużego okopu starego jakiegoś szańca. Nie chcąc rozmowy przerywać, stanęły opodal, czekając, aż je Zula spostrzeże i sama się do nich zbliży.

— Doktor był wczoraj, — mówiła Zula, głosem przytłumionym, — mówił mi, że jedynym ratunkiem dla mamy, to zwołanie konsyljum, któreby mogło orzeknąć coś bardziej stanowczego. Ale to niemożliwe, sama wiesz, Ilko, dlaczego.

— Ależ, kotku, naprawdę nie macie tych marnych kilku tysięcy?

— Nie, szczerze ci powiem, że ich nie mamy! Ach z jaką radością sprzedałabym to stare nic nie znaczące zamczysko, ale nie wolno mi tego zrobić przed moją pełnoletnością, a na nią muszę czekać jeszcze cztery lata. Staram się nie winić stryja Edwarda, ale czasami...— Zula przerwała, podnosząc chustkę do oczu.

— Zulek, nie trać jeszcze nadziei, — mówiła, obejmując ją towarzyszka, — może ciocia nie taka chora, jak myślisz, a czasami dziwne rzeczy dzieją się na świecie, i ze złego dobre wypływa.

— Oby tak było! — łkała Zula, — ale już nie

śmiem w to wierzyć, bo przecież ja nie dbam o te pieniądze dla siebie; tylko, gdy pomyślę czemby mogły być dla mamy...

* * *

— Helo, — rzekła nazajutrz rano Lola, stojąc przed lustrem, i przewiązując włosy granatową wstążką, — musimy znaleźć te skarby!

Hela stanęła jak wryta z szczotką w ręku.

— Wiesz, że to straszna tragedja; p. Kierdejowa może umrzeć dla braku owych pieniędzy p. Edwarda, a Zuli serce się rozdziera na myśl o swojej niemocy, — mówiła Lola, — chodzi jak struta i wygląda tak nieszczęśliwie, że mi się chce płakać, gdy na nią patrzę! Wszystkobym dała, co mam, by jej pomóc!

— Już nie wiem, gdzie mamy szukać, przecież przetrząsnęłyśmy każdy kąt i każdą najmniejszą dziurę w całym domu, i jakoś nic się nam nie poszczęściło!

Hela była zniechęcona i rozczarowana.

— Możemy jeszcze szukać w szczytowym pokoju, tam wiemy przynajmniej, że jest jakaś kryjówka; a jeżeli Duda coś znalazła, to czemu mamy być głupsze od niej.

Nadzieja ta była tak słaba, jak dogasające światełko, ale wszystko było lepsze od bezczynnego założenia rąk i patrzenia na cudze męki.

Szczególniej Lola ogromnie sobie wzięła do serca nieszczęście Zuli; myśl, że biedna chora

może zejść z tego świata dla braku pieniędzy na kurację, nie dawała jej spokoju. Jednakże los był okrutny, by odmawiać tym, co potrzebują tego, z czem inni nie wiedzieli co robić i chowali dla zabawy po różnych kryjówkach!

— Żebym ja miała jakie pięć tysięcy do dania Zuli! — smutnie myślała, — ale równie dobrze i skutecznie mogę myśleć o gwiazdce z nieba. A p. Kierdejowa nie wyzdrowieje, jeżeli nie znajdziemy skarbów!

W takiem przybitem usposobieniu puściły się dziewczynki na beznadziejną w ich oczach wycieczkę na III piętro. Weszły na dobrze już im znane kręcone schody i znalazły się w szczytowym pokoju. Nic się tam nie zmieniło od dwóch ich poprzednich bytności, nie było nic, coby wskazywało na cokolwiek nadzwyczajnego; wogóle nie można sobie było wyobrazić bardziej nieznaczącego ustronia. Okno było zardzewiałe, kraty u kominka zardzewiałe, w otwartych drzwiach szafy widniały puste półki. Jedynym przedmiotem zwracającym uwagę była duża latarnia, zwieszająca się z sufitu; była stara o dziwnie rzeźbionym wzorze średniowiecznym, o bokach, nie jak zwykle oszklonych, ale z cienko rżniętych płatków rogu.

— Zabawny ten stary grat! — rzekła Lola,— pewnie kładli w niego łojówki. Ciekawam jak się to otwiera?

Wspięła się na palcach, by odhaczyć małe zawiasy, ale latarnia wisiała wysoko i Lola nie mogła dosięgnąć zamku. Natomiast uchwyciwszy się jej tylko palcami, silnie nią szarpnęła. Zupełnie niespodziewanie spuściła się latarnia na łańcuchu ku dołowi; a w tej samej chwili ostry zgrzyt spowodował odwrócenie się obu dziewczynek w stronę, skąd pochodził. Okrzyk zdumienia wyrwał im się z ust.

ROZDZIAŁ XII.

Nic dziwnego, że się Lola i Hela przeraziły! Stało się bowiem coś nadzwyczajnego! Otworzyła się tylna część szafy z półkami, ukazując wąski, czarny otwór, prowadzący w głąb ściany, a więc i domu prawdopodobnie. Oto była wreszcie ta kryjówka tak długo i dotąd daremnie poszukiwana! Dziewczynki nigdy nie byłyby posądziły tej szafy, tak na pozór prostej i zwykłej, o tak chytre i doskonałe ukrycie tajemniczego ganku. Mądrym bardzo urządzeniem latarnia łączyła się widocznie przez sprężynkę z szafą, i ściągnięta na dół otwierała tajemnicze drzwi. Ktoś to widocznie wymyślił w wiekach średnich, w czasach walk i najazdów, kiedy to, szczególniej zagranicą takie kryjówki były ogromnie rozpowszechnione. Dziewczynki nie posiadały się z radości.

— To tutaj zniknął Smok, pamiętasz? — rzekła Lola.

— Aha, — i to jest to, co widziała Duda! — dodała Hela.

Ogromna była ich radość nad wynalazkiem, szczególnie, że szły na górę z tak małą nadzieją powodzenia. Ale dokądże ten ganek prowadzi? było pierwsze pytanie, które sobie zobopólnie zadały.

— Ależ tu ciemno! — rzekła Hela, bojaźliwie, zaglądając w otwór.

— Szkoda, że nie mamy lampki elektrycznej lub choćby świecy! — odparła Lola. — Nawet niema kawałka łojówki w latarni, a zresztą wszystko jedno, bo nie mamy zapałek.

— Może pójść i przynieść z naszego pokoju?

— Nie, za nic, jeszczeby cię Smok gdzie schwycił. Nie, trzeba natychmiast rozpocząć poszukiwania, póki nieprzyjaciel daleko!

Nie małej było potrzeba odwagi, by się zapuścić w tę ciemną i nieznaną głąb. Lola szła pierwsza, Hela tuż za nią, trzymając się kurczowo jej ręki; ganek szedł zdaje się wzdłuż pokoju szczytowego, potem po mniejwięcej dwóch metrach skręcał nagle w bok i kończył się u stóp małych drabinkowatych schódków. Mały promyczek światła, padający z wąskiej pewnie szpary w dachu, o tyle przynajmniej rozświetlał ciemności, że można było się wdrapać na schody; u szczytu tychże był strych; jak duży i ile liczył metrów obwodu, trudno było wiedzieć, gdyż kąty jego ginęły w zupełnej pomroce. Warstwa kurzu (taki stary kurz!) leżała na podłodze

spróchniałej i tak zjedzonej przez myszy, że wprost miękko się na niej stąpało! Sądząc ze starych belek — były na poddaszu; gorąco tu było i duszno tem stęchłem powietrzem, częstem w starych domach i pokojach, gdzie nikt od lat nie otwierał okien.

Dziewczynki poczęły zwolna się posuwać, ostrożnie wyciągając przed siebie ręce, podczas gdy oczy ich przyzwyczajały się coraz bardziej do panujących ciemności.

— Zupełnie tak sobie wyobrażałam tę kryjówkę! — rzekła Hela.

— Żebyśmy tylko miały światło! — westchnęła Lola. — Chciałabym się zbliżyć do murów, by poszukać pieniędzy i sreber, a tu nie mogę dla ciemności!

Poczęły jednakże śmielej postępować i zmieniając kierunek zboczyły nieco na prawo.

— Lolu uważaj! — prosiła Hela.

Przestroga nie była zbyteczna. Stare, spróchniałe deski nie strzymały ciężaru Loli i jedna jej noga przedziurawiła z trzaskiem podłogę i zapadła po kolano w nieznaną przestrzeń; szczęściem nie skaleczyła się Lola i prócz kilku sińców i podrapań, oraz porządnego strachu wyszła z tej przygody cało. Z pomocą Heli wygramoliła się na wierzch i obydwie cofnęły się na środek strychu, gdzie było zdaje się bezpieczniej.

— To stare zamczysko rozleci się jeszcze całe! — mruczała Lola.

— Zula mówiła, że jedna część domu nie była naprawiana od dwóch stuleci; — odparła Hela, — a zresztą jest to kryjówka, której nikt nie znał, więc nie mógł utrzymywać w porządku.

— Ciekawam dokąd dotarła moja noga? Może przedziurawiła sufit jakiego pokoju na trzeciem piętrze? —

— W takim razie Smok spostrzeże dziurę w suficie i będzie wiedział, że ktoś tu był.

Okoliczność ta nie była zachętą do dalszego zwiedzania; dziewczynki postanowiły jednak odważnie i wytrwale dążyć do celu.

— Przecież nie możemy teraz wracać, nie dowiedziawszy się niczego, — rzekła Lola.

Na samym końcu poddasza były drzwiczki, wiodące w jeszcze, o ile to możliwe ciemniejszą głąb.

— Przecież nie warto tu chodzić bez światła! — słabo opierała się Hela.

— Tylko kilka kroków! — prosiła Lola.

Przestąpiła próg, wyciągając rękę, by się przekonać o wysokości tej części strychu; nagle rozległo się gwałtowne trzepotanie i łomot skrzydeł; w jednej chwili ciemności napełniły się szumem i cieniami małych postaci, lekko się ocierających o wystraszone dziewczynki. Biedna Hela głośno zawodziła, w śmiertelnej trwodze uczepiła

się Loli, jako jedynej ludzkiej i cielesnej istoty wśród tego, co jej się wydawało światem duchów i mar.

— Już dobrze! — wykrztusiła wreszcie Lola. — To przecież tylko nietoperze, wystraszyłyśmy je swojem najściem i tyle.

Trochę, lecz właściwie mało jeszcze uspokojona Hela podniosła głowę z ramienia przyjaciółki i spojrzała przed siebie. Były otoczone trzepocącemi skrzydłami nietoperzy; małe te straszydła nocy spały pewnie zawieszone u sufitu, gdy wejście Loli przeszkodziło im w tem błogiem zajęciu. Wydając od czasu do czasu dziwnie przeraźliwe piski, tłukły się jeszcze chwilkę o pułap i ściany; wreszcie pofrunęły dalej, szukając bezpieczniejszego schronienia.

— Mam nadzieję, że sobie naprawdę poszły! — zauważyła Hela z westchnieniem ulgi. — Nie idź dalej, Lolu, przecież naprawdę nic nie widać!

— Ależ to może być owa prawdziwa kryjówka, — odparła prosząco Lola, niechętnie idąc za Helą, która ją ciągnęła do pierwszego poddasza. — Oddałabym wszystko co mam na świecie za kawałek świecy.

— Cicho!.... coś słychać!...

— Co?

— Coś szurzy!

— Pewnie nietoperz albo może szczur!

Hela spojrzała na Lolę z taką urazą, jakby

wszystko było jej winą, nerwy jej nie wytrzymywały tyle co Loli, i choć się już przyzwyczaiła do różnych hałasów za boiserjami pokoi w Kierdeju, nie mogła jednak przezwyciężyć wrodzonej obawy przed szczurami! Może w głębi duszy i Lola była mniej odważną wobec tego nowego nieprzyjaciela, niż się to na pozór mogło wydawać. Mała to była w każdym razie pociecha zwiedzać pokój, gdzie było zupełnie ciemno; dość, że godząc się wreszcie z losem, chciała właśnie wychodzić, gdy Hela znowu gwałtownie uczepiła się jej ręki.

— Co to?....

Okrzyk zgrozy i przerażenia wyrwał się równocześnie z ust obydwu dziewczynek. Zupełnie blisko, tuż, jak im się zdawało, koło ich uszu, rozległ się ów straszny jęk, który poprzednio już dwukrotnie był je przestraszył. Przeciągle, złowrogo wył i świszczał syk w powietrzu, przesiąkniętem próchnem i zgnilizną... świszczał, napełniając te dwie małe istoty ludzkie trwogą i przerażeniem zrozumiałem — i to nawet bardzo zrozumiałem w takich warunkach.

Nie czekając wytłumaczenia, i nie starając się wyrozumieć przyczyny tychże odgłosów, dziewczynki uciekły. Nigdy się nie dowiedziały jak zdołały przejść przez spróchniałe deski podłogi i zejść z starej, łamiącej się drabinki, potykając się co szczebel.

Gdy wreszcie wydostały się z ciemnego krużganku w jaskrawe światło szczytowego pokoju, poczęły mrugać oczyma, przerażone tym oślepiającym blaskiem, przerażone rzeczywistością, przerażone wszystkiem...

— Co za okropne miejsce, — mówiła Hela, drżąc jeszcze cała. — Chwała Bogu, żeśmy się całe i zdrowe stamtąd wydostały, możesz sama wrócić, co do mnie, noga moja nie stanie tu już więcej na tych spróchniałych i połamanych deskach!

— Zobaczymy! — pomyślała Lola; głośno zaś dodała: — Trzeba zamknąć wejście, i to tak, żeby się nikt nie domyślił, żeśmy tu były!

Drzwi zamknęły się z trzaskiem i nic już nie wskazywało na istnienie ukrytej kryjówki w tak niewinnie wyglądającej szafie. Latarnia wróciła na swoje miejsce; łańcuch bowiem opatrzony był w ciężarek, który otwierał szafę, gdy go ściągano, a zamykał ją, gdy go podnoszono.

— Ciekawam, czy Duda doszła też tak daleko? — zapytała Hela.

— Pewnie nie; myślę, że spotkała wychodzącego stamtąd Smoka, który ją jakoś zmusił do milczenia.

Im więcej dziewczynki o całem tem zajściu myślały, tem bardziej wydawało im się ono tajemnicze; sprawa była tak zawikłana, że nawet po nitce nie było można rozwinąć kłębka Arja-

dny. Choć niby to odnalazły skrytkę p. Wańkowiczowej, nie zdołały się nawet upewnić, czy skarby były w niej przechowane, czy nie. Wydostawszy się na świat w jasne światło dzienne, Lola zaraz nabrała odwagi, wyrzucając sobie, że niepotrzebnie się wystraszyła i odrazu zaprzestała polowania za skarbami.

— Musimy się tam znowu jutro wybrać, uzbrojone tym razem w lampki elektryczne, dwie świece i pudełko zapałek!

— Ależ czy to naprawdę warto?

Hela nie miała snać powołania na szpiega lub detektywa; krew ścinała jej się w żyłach na samą myśl wznowienia wrażeń na poddaszu; głęboko wryły jej się w pamięć posłyszane tam jęki.

— Naturalnie, że warto. Nie wiedziałam, żeś taki tchórz. — odparła Lola z urazą. — Przecież poprzysięgłyśmy sobie zrobić wszystko, co w naszej mocy, by pomóc Zuli! A łamać słowo dlatego, żeśmy się chwilkę bały, to byłby szczyt podłości. Zresztą możesz robić co chcesz, wolność Tomku w swoim domku; ale ja pójdę w każdym razie, jak tylko nadarzy się ku temu sposobność!

Lecz sposobność ta ociągała się z nadejściem; p. Wańkowiczowa ciągle się kręciła na jednym z licznych korytarzy; raz się już Lola zapuściła aż na drugie piętro, ale ukazanie się p. Frazewiczównej spowodowało szybki jej odwrót

z linji bojowej. Mimo licznych poszukiwań nie mogły dziewczynki znaleźć miejsca, w którem noga Loli przeszła przez podłogę strychu; nigdzie nie było śladów uszkodzenia jakiekolwiek sufitu; może p. Wańkowiczowa już temu zaradziła, może milczenie i pozorna nieświadomość były jej potrzebne? Dziewczynki nie wiedziały co o tem sądzić i z niecierpliwością wyrywały się na górę, by wreszcie zagadkę rozwiązać i odkryć tajemnicę. Nawet Hela, z upływającymi dniami, zapominała powoli o swoim strachu. Nareszcie zdołały się pewnego dnia wymknąć niespostrzeżenie podczas rekreacji na górę... gorzki je tam spotkał zawód... drzwi szczytowego pokoju były szczelnie zamknięte kłódką, którą świeżo ktoś tam przytwierdził.

— Szymon mówił coś o kłódce; — odezwała się Lola, patrząc błędnym wzrokiem na tę nową przeszkodę. — Pamiętasz, jak rozmawiał ze Smokiem w galerji, a myśmy słuchały ukryte za turecką makatą?

— Oni nas napewno o coś posądzają, — odparła Hela; — może zdołali zakopać tylko część skarbów, a część mają tu na poddaszu?

Okrutny los szyderczo śmiał się z dziewczynek! tak mało pozostawiał im do roboty, tak bardzo zmniejszał pole ich działania! Postanowiły jednakże bacznie i pilnie śledzić Szymona, jeżeli bowiem ukrył srebra i pieniądze w ogro-

dzie, to napewno pójdzie od czasu do czasu do nich zajrzeć. Na konieczne naleganie Heli przeszukały dziewczynki miejsce, gdzie owego pamiętnego wieczora p. Wańkowiczowa z Szymonem chcieli coś chować; praca była daremna, nie znalazły nic.

— Mówiłam ci, że nie będą tak nieostrożni, by coś zostawić, — rzekła Hela.

— Miałam nadzieję, że zostawili coś drobnego, choćby pieniądz lub jaki kolczyk, któryby nas upewnił, że skrzynie znaleźli; — odparła Hela, grzebiąc jeszcze w świeżo poruszonej ziemi.

— Akurat! — zawołała Lola, — za mądra na to para. Możesz być pewna, że nie zostawili nawet centa.

— Słyszałam, że zbrodniarze nie mogą nigdy oprzeć się pokusie chodzenia na miejsce, gdzie ukryli skradzione dobro; podobno coś ich tam ciągnie.

— W takim razie musimy uważać dokąd Szymon najczęściej chodzi.

Chwilowo stary ogrodnik spędzał najwięcej czasu przy oknach z ogórkami.

— Ciągle tam siedzi! — mówiła Hela.

— Wiele dłużej, niż potrzeba; — potwierdziła Lola.

— Właściwie byłoby to niezłe miejsce!

Kilka drobnych szczegółów utwierdziło je w owem mniemaniu.

— Taki był zły na Myszkę, gdy przyszła do okien po piłkę, którą była przerzuciła przez mur przy tenisie!

— Prawda! mówił, że mogłyby się pokaleczyć o szkło, ale to nie byłby powód do złości! Może właśnie Myszka przechodziła w chwili, gdy chciał coś wykopywać lub może gdzieindziej złożyć.

— Słyszałam, że się go pytała p. Rozwowska, czy będzie niedługo ogórki w grunt przesadzał; a on jej na to odpowiedział jakby ze strachem: „Nie, nie, jeszcze czas“, i dodał: „A najlepiej nie zaglądać do nich i nie przeszkadzać więcej niż trzeba“.

— Widocznie się bał, żeby nie chciała ich zobaczyć!

Myśl, że stosy złota i srebra leżą ukryte pod cieniem dużych, włochatych liści ogórkowych nie dawała im spokoju.

— Żeby on się oddalił na chwilkę tylko; — gorączkowała Lola.

Obowiązkowość ogrodnika była nieznośna przesadą; zdawało się rzeczywiście, że wyczytane przez Helę zasady zbrodniarzy były prawdziwe, Szymon nie opuszczał prawie nigdy małego dziedzińca przed cieplarnią, a w każdym razie nigdy w obecności dziewczynek nie oddalał się z niego. Czasami słyszały go podczas lekcji pracującego w innej części ogrodu, ale gdy pod-

czas rekreacji starały się chytrze go podejść, nie udawało im się to wcale; Szymon pełł truskawki lub obrywał groszek w pobliżu ukochanych swoich okien.

— Jedna jest tylko rada, — przemyśliwała Lola; — musimy użyć podstępu. Oto ty się schowasz gdzieś w sadzie niedaleko cieplarni, a ja mu urządzę coś takiego, że się jednak będzie musiał przejść w głąb ogrodu; wtedy ty pobiegniesz do okien z ogórkami, i musisz się prędko przekonać, czy w nich co przechowuje czy nie!

— Wiesz, to genjalne! ale czem ty go zwabisz?

— Będę się musiała namyślić jeszcze... Ale czekaj, już wiem: Poczekamy do wieczora, kiedy on zawsze podlewa owe sławne okna; otóż stanę na wężu za żywopłotem, będzie wtedy musiał iść zobaczyć, co się zepsuło, a napewno pomyśli, że się stało coś z kurkiem u studni, więc pójdzie w tamtą stronę.

— Doskonale! — zgodziła się Hela.

Trzeba było działać mądrze i prędko. Jedynej rzeczy, której się bały dziewczynki, to, że Szymon zacznie podlewać w czasie ich wieczornego przygotowania; ucieszyły się też ogromnie, gdy wybiegłszy do ogrodu, zastały go wyciągającego wąż. Wodę brał z studni-fontanny w ogrodzie róż, czyli jak Lola mówiła za żywopło-

tem; wąż przeprowadzał przez dziurę w owym krategusie. Jakby na złość dziewczynkom, zobaczyła je Marysia w chwili, kiedy się zabierały do dzieła; przybiegła do nich chcąc im przeczytać list brata, który pisał z podróży swojej po Indjach. Czyż ona nigdy nie pójdzie? akurat też wybrała dzisiejszy wieczór, by je zanudzać swojemi zwierzeniami.

— Nie trudź się dla nas; może ci przeszkadzamy grać w chowanego? — prosiła Lola, z chłodną grzecznością.

— Ależ wcale nie, dziękuję; myślałam, że was zabawi opowiadanie Karola! — odparła Myszka.

Lola szczerze życzyła w tej chwili Karolowi, żeby go zjadł jaki dziki zwierz w podróży po Indjach. Upływały drogocenne chwile, uszu ich wyraźnie dochodził szum wody; — jeżeli nie zdołają się pozbyć Myszki — Szymon skończy podlewanie, i znowu nie dowiedzą się niczego.

— Podobno p. Rozwowska ma zagrać partję krokietu dziś wieczorem! — wymyśliła na prędce Hela.

— Naprawdę? obiecała przecież grać ze mną; przepraszam was, ale muszę iść zobaczyć.

— Chwała Bogu! — odetchnęła Lola, widząc niebieską sukienkę Myszki, znikającą za drzewami. — A teraz do roboty! Włożę ciężki kamień na wąż, to spowoduje natychmiastowy

brak wody; wtedy będziemy mogły obydwie pójść do ogórków.

Nie tracąc czasu, Lola w jednej chwili wypełniła, co postanowiła, schowała kamień w wysoką już trawę trawnika; poczem obydwie prędko pobiegły się skulić za krzakami karczochów. Podstęp udał się; Szymon zaklął i spojrzał w stronę studni, woda stanowczo przestała sączyć. Coś pod nosem mrucząc, poszedł do ogrodu róż.

— Nie przyjdzie mu na myśl spojrzeć w trawę, pomyśli, że kurek popsuty! — zaśmiała się Lola.

Z chwilą, gdy Szymon znikł za furtką, porwały się obie i niemiłosiernie depcząc z takim trudem ślicznie utrzymane grządki jarzyn, pobiegły pędem do okien. Lola rękoma odgarniała liście, Hela łopatką grzebała w miękkiej ziemi. Daremnie! Choć głęboko wbijały kij w czarne próchno, nie ugodziły na nic twardego; na dalsze i głębsze poszukiwania nie było czasu.

— Wraca! — porwała się Lola; — zrównaj ziemię w tym kącie i popraw liście! Spiesz się, bo nas schwyci! Nie przez karczochy, chodź tędy!

ROZDZIAŁ XIII.

Szybko płynęły skwarne lipcowe dnie i rok szkolny zmierzał ku końcowi. Pani Rozwowska postanowiła jaknajbardziej dziewczynkom uprzyjemnić ostatnie tygodnie ich pobytu w Kierdeju; urządzała też prawie codzień coś nowego. Raz konkurs tenisowy, niczem zmiana w politycznym ustroju państwowym, wichrzył tak spokojny zwykle światek szkolny; nazajutrz, match criquetowy wzbudzał na kilka godzin wściekłą zajadłość między dwoma obozami dziewczynek; innego dnia znowu, świst gwizdawki p. Ochorowiczówny oznajmiał przerwę matchową, a partja lacrosse nie liczyła jeszcze żadnej bramki. Zarówno Hela jak i Lola ogromnie lubiły sporty i gorąco pragnęły się odznaczyć na polu walki; zobopólnie się też zgodziły zaprzestać wszelkich poszukiwań skarbów i odgadywań tajemnic aż po dniu „Koła Sportowego". Tak zwany dzień Koła Sportowego był zawsze najważniejszym dniem w całym kwartale letnim; tego roku miał być obchodzony i urządzony na niebywale szeroką skalę.

— Co za przyjemność urządzać nasz konkurs sportowy w Kierdeju! — zauważyła Natalka. — W Białym Domu nie było właściwie odpowiedniego miejsca, i zawsze było za ciasno.

— Podobno p. Rozwowska zaprosi bardzo dużo gości, — głosiła Nina, — wiem, że mają być pp. Łąscy, p. Ryczewski, dyrektor gimnazjum w Buczaczu z żoną, ksiądz proboszcz, naturalnie i wszyscy ci, którzy odwiedzali p. Rozwowską w Kierdeju!

— Żeby to p. Kierdejowa mogła przyjść!

— Żeby! ale myślę, że to niemożliwe; wogóle pewnie jej dzisiaj gorzej, bo Zuli nie było na lekcji historji, — odparła Natalka.

Wszystkie uczennice p. Rozwowskiej pracowały gorączkowo i zawzięcie nad poprawieniem ostatnich błędów lub wćwiczeniem się w trudniejsze odcienia sportu, dwie criquetowe jedenastki, mające z sobą walczyć, spędzały rekreacje na ugorze, za ogrodem, rzucając małą, twardą piłką, chwytając ją i robiąc „biegi". Tola Janicka doszła rekordowo do sześćdziesięciu trzech, nim ją Magda Rosucka zdołała uprzedzić i z pola wyrzucić; duże godzinami grały w tenisa, nie grając już zwykłej partji, ale ćwicząc piłki. III klasa doszła do takiej wprawy w bieganiu, że inne patrzały na nią z podziwem.

— Pani Rozwowska mówi, że będą różne warunki przywiązane do wyścigów, ale nie chce

nam nic naprzód wyjawić, — oświadczyła Marysia.

— Co prawda, to zabawniej nie wiedzieć o nich zawczasu! — odparła Wańdzia.

— Znalazłam wczoraj czterolistną koniczynę, — rzekła Hela, — powinnam mieć szczęście. Pokazałam ją Mademoiselle; prawie że była o nią zazdrosna. „Vous aurez de la chance", powiedziała.

— Naprawdę? schowałaś ją?

— Chyba! Włożyłam ją do mego zielnika, a jeżeli w czem zwyciężę, to ją sobie wczasie wakacji włożę do jakiego medaljonika.

— Nie wierzę w szczęście! — oświadczyła Nina. — Przecież wszystkie czterolistne koniczyny całego świata nicby nie pomogły Myszce w wygraniu wyścigów! Sapie i prycha po dziesięciu krokach.

— Czy Zula bierze w czem udział? — zapytała Marysia.

— Nie wiem, bo zapisała się tylko warunkowo; jeżeli tak to myślę, że nas zadziwi wszystkich, skacze cudownie, jest lekka jak piórko.

Dzień Koła Sportowego zawitał jasny, świetlany, radosny. Już o wpół do trzeciej wszyscy goście zasiedli na małem wywyższeniu, wybudowanem w cieniu, z doskonałym widokiem na całe pole sportowe. Dużo było osób; pensja w Kierdeju ogromnie zaciekawiła całą okolicę

i z daleka nawet przybyli goście, korzystający z zaproszenia p. Rozwowskiej. Z panienek jedna Irena szczyciła się krewnymi wśród tłumu obcych; wujostwo jej przyjechali z dziećmi aż z pod Czortkowa. Szepty i tłumione śmiechy dochodziły z platformy; goście mieli widocznie zamiar ze wszystkiego się cieszyć i wszystkiem się bawić.

— Nie często mamy sposobność być świadkami gier olimpijskich, — mówił p. Ryczewski, dyrektor gimnazjum, który czuł się w swoim żywiole wśród młodzieży. — Z niecierpliwością oczekuję wyścigów; tyle tu Atalant pod ręką! Ale nie widzę wieńcy wawrzynowych i bobkowych na uwieńczenie skroni zwycięzców.

— Nie ma ich proszę Pana — zaśmiała się Hela. — Pani Rozwowska używa liści wawrzynowych do ubierania szynek, a bobkowych do pasztetów!

— Dziwię się, że używa tak szlachetnych roślin na tak marne cele! Prosiła mnie, by wam rozdać nagrody, — myślałem, że wam będę kładł na głowę zielone wawrzyny; nawet mam już przygotowaną mowę ze wzmianką o nich, a tu... masz babo placek! będę musiał wszystko zmieniać! Mówicie, żebym wymyślił nową! Nie tak to łatwo, moje drogie; będę musiał przyjść do was z prośbą o pomoc! Czy może p. Ochrowiczówna stanęłaby na wysokości tego zadania?

— Jestem pewną, że nie potrafiłaby wymyśleć coś zabawnego, nawet gdyby chodziło o ocalenie własnego życia! — oświadczyła Hela.

— Nie? To w takim razie będę musiał gadać to, co mi na myśl przyjdzie, a jeżeli mi nic nie przyjdzie na myśl, to proszę was, zacznijcie bić brawo, a wszyscy pomyślą, że już skończyłem. Oto idzie p. Rozwowska! Podobno mam także być sędzią! Mój Boże, chcą mnie uczynić wielkim pomimo mej woli. Módlcie się dzieci, bym się nie zbłaźnił na tak zaszczytnem stanowisku.

Pomimo tych opowiadań p. Ryczewski doskonale wiedział co ma robić! okiem wodza przeglądającego wojsko, zmierzył szeregi wyczekujących dziewczynek.

— Przypominają mi się młode lata, — zauważył, — o wiele bardziej zachwycałem się wtedy tym, który najwyżej z nas skakał, aniżeli Cezarem i Homerem; a kapitan naszego footballu był otoczony większym blaskiem chwały od samego Napoleona! Ale gdzie p. Zula, czy nie bierze udziału w konkursie dzisiejszym?

Zula zjawiła się w ostatniej chwili, gdy już wszyscy zwątpili o jej przybyciu i spokojnie zajęła swe miejsce wśród członków klasy VII-mej.

— Myślałam, że nie będę mogła wcale przyjść, — tłumaczyła się, — ale mama śpi teraz, więc mogę przynajmniej na godzinę ją opu-

ścić. Powiedziałam Marynie, żeby przyszła po mnie, jak tylko się obudzi.

Pierwszym numerem programu był konkurs tenisowy dla dużych; walka długa i zacięta, gdyż siły były bardzo równe, zakończyła się zwycięstwem 6 — 4 Natalki i Oleńki. Zula grała dobrze, ale nie mając tyle czasu na ćwiczenie co inne, chybiła kilka łatwych piłek.

— Strasznie to było głupio — przepraszała, — ale nigdy nie mogłam się przyzwyczaić do ostrego serwu Natalki.

W dalszym ciągu były wyścigi dla klasy IV-tej, które Irena, ogromnie oklaskiwana przez swoje cioteczne rodzeństwo, prawie że wygrała... lecz w ostatniej chwili Duda Rylska niespodziewanym skokiem znalazła się pierwsza u celu. Teraz przyszła kolej na klasę III-cią; miały biec wyścigi z handicap'em, którego ogłoszenia oczekiwały z niecierpliwością.

— Tak trudne są warunki, które naznaczyła wam p. Rozwowska, że posądzam ją o pokrewieństwo z złemi wróżkami z bajek, — rzekł p. Ryczewski. — Oto, każda z was dostanie pudełko z pomieszanemi guzikami, grochem i fasolą; macie te trzy gatunki rzeczy rozdzielić, nim zaczniecie biegać. Czy wszyscy gotowi? Proszę klęknąć na trawie z pudełkami przed sobą! Raz — dwa — trzy!

Początek polegał tylko na zgrabności. Wań-

dzia urzeczywistniła zasadę przysłowia „co nagle to po djable“, wywracając całe pudełko; Myszka zdołała z wielkiego zapału pomieszać swoje już ułożone gromadki. Hela pierwsza skończyła i ubiegła połowę przestrzeni, nim ją Nina dogoniła. Nastąpiła teraz zacięta walka między niemi dwiema, gdyż reszta klasy wogóle nie miała wobec nich żadnych widoków wygranej: Lola — bo nie bardzo dobrze biegała, Marysia — bo na samym wstępie upadła, a nim się podniosła, tamte były daleko.

— Nina pierwsza! nie, Hela! — wołały dziewczynki. — Dalej Helo! dobrze Nino! Nina zyskuje! Nie, Hela zawsze pierwsza! Brawo Hela! — posypały się oklaski, gdy ta ostatnia dotarła do słupa, poprzedzając o dwa metry swoją współzawodniczkę.

— Dobrze wybiegane nogi! — rzekł p. Ryczewski. — Jak charty przebiegłyście przestrzeń, dzieci. Jeżeli równie prędko uczycie się lekcyj, to wyrośniecie na genjuszy! Czemu Pani kręci głową? Aha, Pani mówi, że niema o to obawy! Chwała Bogu, prawdopodobny ciężar mi spadł z serca, bo się zaczynałem obawiać o wasze zdrowia. Podobno macie odłożyć wasze pudełka, nim się weźmiecie do dalszych numerów!

Program był ogromnie urozmaicony; była partja małego golfa, t. zw. kieszonkowego dla dużych, był match criquetowy, z zajęciem śledzony

przez chłopców, były popisy woltiżowania przez poprzeczny drąg, był konkurs strzelania z łuku, były wyścigi z łyżką, na której się mieściło jajko...

— A teraz skakanie! — rzekła Lola, gdy panny Frazewiczówna i Ochrowiczówna wystąpiły z linką w ręku. — Duże mają zaczynać, strasznie jestem ciekawa Zuli.

Zula zajęła miejsce na samym końcu długiego szeregu współzawodniczących dziewczynek. Ruchy jej były lekkie i niesłychanie zgrabne; panienki patrzały na nią okiem krytycznego uznania. Coraz wyżej wznosił się sznur, coraz to więcej topniał szereg walczących... aż wreszcie zostało ich tylko trzy: Oleńka, Halina i Zula. Wszyscy z bijącem sercem oczekiwali następnej próby, Halina chybiła zupełnie, Oleńka skurczona i zwinięta w kłębek jakoś się jeszcze przez sznur przedostała, Zula przeskoczyła zgrabnie i z wszelką łatwością.

— Będzie to pewnie ostatni skok, — rzekła p. Rozwowska, gdy dwie zwycięskie panienki znów stanęły przy sznurze.

— Wątpię, żeby im się udało! — szepnęła Lola, patrząc z zachwytem na wysokość, która wydawała jej się nie do przebycia.

Już i dla Oleńki było za wysoko; pobiegła, skoczyła, ale tylko łokciami trąciła sznurek.

— Zula, teraz Zula!

Imię jej było na wszystkich ustach. Zula by-

ła zupełnie zrównoważona i spokojna, — spokojniejsza wiele od widzów.

— Odpocznij chwilkę, jeżeliś zmęczona! — mówiła p. Rozwowska.

— Nie, dziękuję. Byłoby to niesprawiedliwe względem Oleńki, spróbuję zaraz!

— Przeskoczyła jak ptaszek! — wykrzyknął p. Ryczewski, głośno bijąc brawo, gdy Zula, bez dotknięcia się nawet linki znalazła się po tamtej stronie.

Dziewczynki wznosiły trzykrotne „niech żyje", częściowo w uznanie jej zgrabności, częściowo w dowód ogólnej dla niej sympatji.

— Zula jest ogromnie lubianą wśród moich dziewczynek, — tłumaczyła p. Rozwowska proboszczowi.

— Bardzo się cieszę jej obcowaniem z młodymi, — odparł tenże, bo biedne dziecko niewiele ma przyjemności w życiu, a przytem więcej się martwi brakiem pieniędzy, niżli się do tego kiedykolwiek przyznaje. Choroba p. Kierdejowej działa na nią ogromnie przygnębiająco; mówiłem wczoraj właśnie z lekarzem; twierdzi, że konsyljum powinno być koniecznie zwołane zaraz, — za kilka tygodni może już być zapóźno!

— Czy ksiądz proboszcz dawno zna rodzinę Zuli? — zapytała p. Rozwowska.

— Od urodzenia Zuli. Starego p. Edwarda o tyle dobrze znałem, o ile go wogóle ktoś mógł

znać; zachodził czasami do mnie; rozprawialiśmy wtedy o botanice, jedynym przedmiocie, który go zajmował. Żył tak skąpo, że chyba musiał uzbierać ogromne pieniądze; nigdy zresztą nie mówił o swoich sprawach majątkowych, raz tylko prosił mnie o mój podpis na świadka, na dokumencie, którego treści nie chciał mi powiedzieć. Naturalnie, że odmówiłem. Wspominał w każdym razie o Zuli, jako o przyszłej swojej spadkobierczyni i pytał się nawet, czy nie uważam tego za szkodliwe dla tak młodej dziewczyny. Zapewniałem go, że się myli, gdyż i usposobienie i wychowanie Zuli były takie, że jej pieniądze nie zdołają zepsuć. „Okres przeciwności bywa często najlepszem przygotowaniem do późniejszego szczęścia", — odpowiedział mi wtedy — i dobrze zapamiętałem jego słowa. Przysłał po mnie w godzinę śmierci; myślałem nieraz, czy nie chciał dać mi wtedy jakiego zlecenia. Na nieszczęście byłem u chorego, w wiosce, odległej stąd o kilkadziesiąt wiorst; nie zdążyłem wrócić; gdy przyjechałem do Kierdeju, p. Edward już nie mógł mówić, chciał coś napisać, ale pismo było nieczytelne. Jeżeli czego wtedy żałował... było już zapóźno; szedł właśnie zdawać rachunek z czynów całego życia...

Podczas tej rozmowy księdza z przełożoną, przyniesiono do ogrodu stoły z podwieczorkiem i panienki zajmowały się częstowaniem gości.

— Myślę, żeście bardziej od nas zasłużyły na posiłek, — zauważyła z uśmiechem p. Łąska, której Hela podawała cukier.

— Nie zapomną one o sobie, — odparła p. Rozwowska, — ale ogromnie się cieszą, jeżeli najprzód mogą usłużyć gościom.

Rzeczywiście, nie mogły się dziewczynki skarżyć, żeby o nich zapomniano; ciastka, lody i owoce oczekiwały je na osobnym stole, przy którym siedziała p. Frazewiczówna. Po herbacie nastąpiło rozdawanie nagród; p. Ryczewski, po wypowiedzeniu kilku dowcipnych bardzo uwag, rozdawał je dumnym zwycięzcom. Uszczęśliwiona Hela dostała pudełko olejnych farb, a Marysia, która wygrała wyścigi z łyżką i jajkiem, oprawną „W Pustyni i Puszczy“ Sienkiewicza.

— Pierwsza nagroda za najwyższy skok: Zofja Kierdejówna, — oznajmił p. Ryczewski.

Wszyscy poczęli się oglądać za Zulą, ale nikt jej nie mógł dostrzec.

— Była tu przed samą herbatą, — mówiła p. Ochorowiczówna.

— Widziałem jej służącą Marynę, jak rozmawiała z nią podczas konkursowego strzelania z łuku, — dodała Marysia.

— To też wyśliznęła się pewnie niespostrzeżenie zaraz po ukończeniu sportów, nie chcąc nam przeszkadzać żegnaniem się, — domyślała się p. Rozwowska. — Musi któraś z was odnieść jej nagrodę.

— Ale już nie dostanie swojej części oklasków! — rozpaczała Lola.

— Myślę, że co do tego, to się Zula będzie cieszyła, zauważyła Natalka, — ona tak nie lubi, żeby się nią zajmowano!

. . . . . .

Nazajutrz po Kole Sportowem od rana padało! Lola i Hela obudziły się przy miarowem „dryp, dryp“ ściekającej przez rynnę wody; mokre gałązki pnącej róży uderzały z drażniącą regularnością o szybę pomazaną kroplami deszczu; a woda lała się cebrami z ołowianych chmur. Pobyt ich w Kierdeju odznaczał się tak cudowną pogodą, że dziewczynki wprost czuły urazę do nieba za ten jeden dzień deszczu, ale przyznać trzeba, że przyczyna do gniewu nie była zupełnie nieuzasadnioną... Ksiądz proboszcz zaprosił je dziś właśnie wszystkie na wielkie czereśniane żniwo!

— Zwykle się wypogodza po jedenastej! — pocieszała siebie i inne Hela.

— Ale boję się, że nie dzisiaj; — odparła Lola, — barometr już wczoraj spadał i spadał. Zanosi się na burzę i potop!

Cały Kierdej, nie wyjąwszy pensji, a może raczej z nią na czele, smutnie był nastrojony. Niewiadomo czy to tylko zwykłe następstwo dnia wczorajszego? czy poprostu nieumiejętność zajęcia się w pokoju?... niewiadomo... może dziew-

Potok złotych monet począł spływać na ziemię...
(Str. 198)

(Kierdej.)

FOTOGRAWURA DRUKARNI KSIĘGARNI
św. WOJCIECHA w POZNANIU

czynki od tak dawna przyzwyczajone spędzać każdą wolną chwilę na dworze, oddając się ulubionym grom i zabawom, zapomniały zupełnie o zajęciach na dnie deszczu i burz; w każdym razie wszystkie, nawet duże, chodziły z kąta w kąt, zatrzymując się u okien, by patrzeć na lejące się strumienie wody, które zaciemniały widnokrąg.

— Nie warto się gapić na kałużę! — zauważyła Lola, nie zważając widocznie na wybór słów, — i tak nie pójdziemy na probostwo! Wściec się można z takim czasem!

Lekcje także nie cieszyły się zbytniem powodzeniem tego rana; był to może wpływ ponurego dnia na p. Frazewiczównę; — w każdym razie uczennice jej odpowiadały dziwnie niemądrze i nieuważnie na zadane sobie pytanie; Lola szczególniej oberwała porządną burę i jednójkę, co się także nie przyczyniło do rozweselenia jej światopoglądu.

— Trzeba coś zrobić, — rzekła wreszcie Hela, — wiesz co? chodźmy z resztą klasy na górę urządzić porządnego chowanego.

Ponieważ wszystko było lepsze nad bezczynne siedzenie i patrzenie na tworzące się kałuże, dziewczynki zgodziły się z ochotą.

— Dwie się mogą chować, a cztery szukać, — rzekła Myszka, — będzie to przynajmniej inaczej jak zwykle! tylko zostańmy na tem jednem piętrze.

Stare zamczysko było wymarzone do chowanego! tyle było szaf i mebli, tyle dziwnych kątów i alków, że trudno było kogokolwiek znaleźć. Ponury dzień także utrudniał szukanie, bo mrok panujący na korytarzach jednemu sprzyjał, a drugiemu znowu przeszkadzał w wykonaniu zadania. Nina naprzykład, kładła rękę na nogę Marysi, nic o tem nie wiedząc, Wańdzia weszła w starą zbroicę i przez długi czas myliła wszelką pogoń; Myszki wreszcie nie podjął się nikt znaleźć, gdy w tem, ku wielkiemu zdziwieniu szukających, wyszła z kąta, koło którego przechodziły wszystkie kilkakrotnie. — Przyszła teraz kolej na Lolę i Helę... postanowiły wybrać wyjątkowo trudne miejsce i tak długo się nad tem namyślały, że wreszcie nawet spokojna Hela się zniecierpliwiła.

— Spiesz się, przecież tamte zaraz doliczą do stu!

— Kiedy nie wiem czy lepiej w komodę, czy za makatę turecką? — mówiła Lola.

— Hu — Ha! — krzyknęła Marysia z dołu.

— Widzisz już idą, — szepnęła Hela, — nie ma czasu, ani na jedno, ani na drugie! Musimy się schować do tej skrzyni.

Było to jedyne schronienie pod ręką, o dalszych nie było mowy, gdyż dziewczynki słyszały już schody skrzypiące pod ciężarem chodu szukających ich koleżanek; jeszcze chwilkę —

a ukażą się na skręcie! Niewiele myśląc weszły obie do skrzyni, ostrożnie spuszczając sobie wieko nad głowami; stanowczo nie było tam wygodnie i bardzo ciasno nawet dla tak małych istot.

— Czybyś mi nie mogła zrobić choć odrobinę miejsca? — błagalnie szepnęła Hela.

— Spróbuję, — odparła Lola.

Trudno się było poruszyć w tak małej kwaterze; Lola gwałtownem pchnięciem całej swej osoby starała się posunąć na drugą stronę. Wynik tego ruchu był zgoła niespodziewany! Oto nagle usunęło się dno skrzyni, i dziewczynki zostały wrzucone w nieznaną głąb...

ROZDZIAŁ XIV.

Spadnięcie ich tak było nagłe, że nie zdołały nawet krzyknąć. Nie wpadły widocznie bardzo głęboko, bo choć zrazu myślały, że były zabite, przekonały się wkrótce, że prócz kilku sińcy wyjdą z tej przygody cało. Zdumione, poczęły się więc zbierać i rozglądać przerażonemi oczyma; znajdowały się w małym, niskim pokoju, liczącym mniej więcej cztery metry obwodu; ściany były z dębowych belek, nierówno z sobą spojonych, podłoga takaż; w głębi małe okno, choć pokryte siecią pajęczyn i grubą warstwą kurzu o tyle jednak rozświetlało małą izdebkę, że można było rozróżnić leżące wokoło przedmioty. Tajemnicze drzwiczki, któremi wpadły do wnętrza, musiały się zamykać mechanicznie, bo już ich nie można było dostrzec na gładkiej przestrzeni pułapu. Przez chwilę stały dziewczynki osowiałe i jakby ogłupiałe, ze zdziwienia nie mogły nawet mówić.

— To dopiero! — wykształsiła wreszcie Lola, wypowiadając tysiące wrażeń temi czterema zgłoskami.

— Toż to dom niespodzianek! — wołała Hela. — Gdzieżeśmy tu wpadły?

— Skąd ja mam wiedzieć?

— W każdym razie wyleciałyśmy przez dno tej skrzyni na I-ym piętrze!

— Aha, w chwili, gdyś chciała się trochę posunąć!

— Wiesz, to musi być jaka nowa skrytka!

— To w takim razie możebyśmy zaczęły szukać, a pewnie odkryjemy co nowego!

Część małego pokoju była zawalona kuframi w ten sposób, że całej jednej ściany zupełnie nie było widać; do samej góry piętrzyły się skrzynie! Dziwny to był zbiór, — stare przedpotopowe kufrzyska, zrobione z drzewa, pokryte końskiem włosiem; skórzane walizki o mosiężnych okuciach; zwykłe blaszane kuferki, a nawet proste drewniane skrzynie; u stóp tychże, rzędem leżało na podłodze kilkanaście dość dużych, bardzo wypchanych płóciennych torb, oraz dwa zwykłe spichlerzowe worki.

Dziewczynkom wydawało się, że wpadły do starej zapomnianej graciarni; wszystko było pokryte osadzającym się przez lata kurzem i próchnem. Lola, ruszając się jakby we śnie, tak ją rozstrajało to starożytne nikomu nieznane otoczenie, bezmyślnie prawie podniosła jedną z płóciennych torb.

— Jakie to ciężkie! — zdziwiła się. — Ciekawam co w niej jest?

— Coś twardego, — odparła Hela, która palcami starała się czegoś domacać.

Torby związane były szpagatem i Lola przez długi czas bawiła się rozwiązywaniem węzełka.

— Ach nie nudź! — zawołała zniecierpliwiona wreszcie Hela. — Masz mój scyzoryk, przetnij!

Lola w jednej chwili przecięła sznurek i potok złotych monet począł spływać na ziemię... Dziewczynki przerażone z otwartemi usty patrzały na siebie.

— Helo! — odezwała się wreszcie Lola uroczyście znalazłyśmy skarby p. Edwarda!

Niezaprzeczenie tak było! Kilka sekund starczyło dziewczynkom, by się przekonać, że wszystkie torby były przepełnione złotem i że w workach mieściły się półmiski, puhary, dzbany, które choć pokryte pleśnią i czerniejące od brudu — stanowczo były srebrne. Trudno się było dostać do niektórych kufrów, stojących w tyle, ale dziewczynki wdrapały się jakoś na sam wierzchołek stosu, i tam dopiero poczęły używać do woli, grzebiąc i myszkując w nieporuszanych od tak dawna rzeczach, głęboko zanurzając ręce w skrzynie i kufry, wyciągając z nich coraz to inne kosztowności.

— Ale zostaw, już dosyć, bo nie zdołamy potem skrzyń zamknąć, — mówiła Hela, daremnie próbując przymknąć wieko starego kufra, z którego co chwila wypadał mniejszy lub większy jakiś przedmiot.

— Może te walizki na spodzie pełne są drogich kamieni? — mówiła Lola z zachwytem.

— A to pudełko jest pewnie z platyny, — zauważyła Hela, podnosząc ślicznie rzeźbioną skrzynkę z herbem Kierdejów na wierzchu, — pełno w niej papierów z jakiemiś postaciami i napisami.

— Pokaż! — zawołała Lola. — Jakto? nie wiesz, to przecież banknoty!

Stanowczo wpadły do jaskini Ali Baby; tradycja, niosąca tak niewiarogodne podania o skarbach p. Edwarda nie przesadziła tym razem wcale. — Na samym spodzie skrzynki leżała koperta z napisem: „Do rąk własnych mojej bratanicy Zofji Kierdejównej".

— Pismo jest to samo, co w „Calende Floralis", — rzekła Hela, — doskonale pamiętam te dziwne ogony i wszystkie „a" niedomknięte u góry!

— Prawda, zresztą wszędziebym poznała te jakieś ciągnące, rozbazgrane pismo.

— Nie, ono nie takie rozbazgrane, jak mówisz, ale myślę, że raczej staroświeckie, pisane gęsiem piórem. Czekaj, trzeba ten list odłożyć tam, gdzieśmy go znalazły.

Lola ostrożnie odłożyła do skrzynki list razem z pieniędzmi.

— Widzisz, że p. Edward jednak chciał przez swoją szaradę wskazać Zuli drogę do skarbów —

zauważyła Hela. — Ostatnie wiersze przecież mówią:

„A choć może pozazdrościsz pracy wołu,
„Pamiętaj, że na świecie zawsze tak bywa,
„Trudem i pracą nagrodę się zdobywa!“

— Prawda, a i „skrzynia“ mieściła w sobie „bogactwo“.

— Tak; i nie tylko ta jedna skrzynia na górze, ta która była drogą do skrytki, ale wszystkie skrzynie tutaj, w których spoczywają skarby! Wiesz, nigdy się nie spodziewałam znaleźć spadku p. Edwarda w takim zwykłym pokoju i w takich zwykłych kufrach; myślałam, że znajdziemy jaką sprężynkę w murze i że się nagle jakaś płyta w boiserji usunie, wskazując na otwór, z którego złoto, perły i kamienie poleją się strumieniem!

— Co mnie to obchodzi, jak się znalazł skarb! Grunt, że jest!

— No, tak, ale zawsze to niespodzianka!

— A pomyśl jaka to będzie śliczna niespodzianka dla Zuli; wszystko to jest jej!

— Ona się modliła o kilka tysięcy koron, tyle, żeby starczyło na zwołanie konsyljum; a tu przecież w tej jednej torebce jest więcej! — mówiła Hela z westchnieniem ulgi, przelewając złote monety przez palce.

— Prawda, przecież musimy pójść jej o tem powiedzieć, — odparła Lola, — jeżeli zdołasz się

więc oderwać od tych stosów złota i srebra, to możebyśmy pomyślały o powrocie?

— Chodźmy, — wstała Hela, — już i pewnie czas na herbatę; ale... jakże my się stąd wydostaniemy?

Tak, jak wrócić? oto nasuwało się nowe zadanie, równie jak poprzednie trudne do rozwiązania! Utajona sprężynka na dnie skrzyni, będącej sufitem pokoju, w którym się znajdowały, zamknęła się z trzaskiem i była znów niewidoczna.

— Jeżeliby można przysunąć jaki kufer pod to miejsce, to może zdołamy wypchnąć drzwi z zawiasów.

Z wielkiemi trudnościami udało im się wreszcie wysunąć jedną ze skrzyń pod owo tak ważne miejsce; daremnie jednak z swego wywyższenia pukały i biły o pułap — dębowe belki ani nie drgnęły.

— Może i tu jest jaka sprężynka! — nieśmiało odezwała się Hela, szukając na wszystkie strony jakiej zasuwki lub guzika.

Daremnie! naga postać prawdy poczęła im się powoli ukazywać w całej swojej ohydzie! Były ukryte wraz z skarbami, równie dobrze, jak one, równie szczelnie, równie nie do znalezienia!

— Co my teraz poczniemy? — gorączkowe wypieki Loli, spowodowane wynalazkiem znikły zupełnie.

— Może krzyczeć? Reszta nas pewnie jeszcze szuka, — może nas usłyszą!

Obie krzyczały do zachrypnięcia, z początku razem, później na przemian — ale odpowiedzi z góry nie było żadnej! Była to taka gra w chowanego, z jaką stanowczo nie liczyły się dziewczynki i o jaką nie prosiły bynajmniej.

— Będę tym oto kijem uderzać w sufit; w każdym razie więcej zrobię hałasu, niźli krzykiem, — rzekła Lola. — Reszta klasy musiała dać za wygrane i pewnie już zeszła na podwieczorek, — dodała po kilku minutach miarowych uderzeń o pułap.

— Prawda! — rzekła Hela, — pewnie zeszły na herbatę.

Dziewczynki dokładnie teraz obejrzały małe okienko, ale zamki tak zardzewiały od długiego może nieużywania, że, choć ciągnęły z całej siły, oderwać ich nie mogły. Z chęci wyjrzenia trochę na świat Hela starła kurz i pajęczyny, które w fantastyczne desenie uwiły szybę.

— Jeżeli z okna jest widok na ogród, zbijemy szybę i będziemy chustką powiewać, — rzekła Lola. — Szymon musi nas wtedy spostrzec, jeżeli nikt inny nawet nie wyszedł dla deszczu.

Daremnie! Po bliższem i szczegółowem badaniu nawet Hela, która nie odznaczała się wcale bystrością w pojęciu geografji i topografji Kierdeju, zrozumiała, że okno tak było ukryte pomiędzy załamaniami szczytowego dachu, że z dołu musiało być zupełnie niewidoczne.

— Ale możemy wypełznąć na dach i stamtąd rynną zsunąć się na ziemię.

Lola przecząco potrząsnęła głową! za wąski był otwór przeznaczony na okno, by umożliwić wyjście nawet szczupłej Heli. Przygnębione, — a tym razem rzeczywiście groźnem niebezpieczeństwem, — siadły dziewczynki na jednej ze skrzyń i ze wstrętem spoglądały na piętrzące się stosy złota. Jeżeli potrzebowały nauki o znikomości bogactw... tu ją miały, tchnącą wymową potęgi bez słów.

— Możemy teraz jeść te papiery i spać na stosie ze złotych monet! — mruknięciem przerwała Lola długie milczenie.

— Możemy tu zostać kilka dni, nim nas kto znajdzie, — zauważyła Hela.

— Albo i nie znajdzie! — pogardliwie odparła Lola. — Naturalnie, że odrazu zauważą naszą nieobecność, ale nie będą wiedzieli gdzie nas szukać; nawet, jeżeli kto przypadkiem zajrzy do starej skrzyni, to i tak się niczego nie dowie.

— Czy pamiętasz, co czytałyśmy przeszłej lekcji w angielskich czytankach w opowieści o „Genowefie“ Walter Scotta?

— Co takiego?

— Bawiąc się w chowanego w dzień swego ślubu schowała się biedaczka do komody, której wieko nagle się zamknęło jakąś tajemniczą sprężynką. Już jej nikt nigdy nie odnalazł... tyl[illegible]

kości w kilkadziesiąt lat później!

— Fe! nie przypominaj przecież takich okropności!

— Jak to długo trwa nim głodem człowieka zamorzą? — spytała Hela, niewyraźnym głosem.

— Podobno do dziesięciu dni; robi się coraz słabszy, w końcu umiera.

Hela westchnęła.

— A tu także nie ma czem zaspokoić pragnienia; a mnie się już tak pić chce!

Łzy powoli spływały po jej twarzy.

— Słuchaj! Nie warto beczeć, trzeba coś robić, nie warto tu umrzeć, kiedy się to tak nikomu nie przyda! — zawołała Lola, z nowym wybuchem energji. — Wyciągniemy ten mniejszy blaszany kufer i postaramy się go postawić na tę tu skrzynię! Jak będziemy bliżej sufitu, łatwiej nam będzie pchać całem ciałem.

Kufry i skrzynie były ułożone w ten sposób, że gdy dziewczynki próbowały wyciągnąć jedną ze spodu, wszystkie poczęły spadać z wielkim hukiem! Lola musiała nawet odciągnąć Helę na bok, by która ze spadających skrzyń nie zmiażdżyła jej swoim ciężarem. Gdy się wszystko uspokoiło, Lola w milczeniu wskazała na przeciwległy mur; w ścianie zawalonej dotychczas kuframi, ukazały się drzwi! Świtała nadzieja ratunku! Lotem błyskawicy przeskoczyły dziewczynki porozrzucane skrzynie, z których niektóre

pękły przy tak nagłem wstrząśnięciu, wysypując całą swoją zawartość! Ważniejszem było jednakże w tej chwili wydostanie się z tego więzienia nad wszystkie srebrne puhary, złote monety, drogocenne kamienie całego świata! Czy i te drzwi były zamknięte? Drżącemi rękoma uwiesiła się Lola klamki; ciężar spadł jej z serca, gdy oczom ich ukazał się wąski, ciemny ganek.

— Musi przecież dokądś prowadzić; — rzekła Hela, — wolę w każdym razie nim iść, niż siedzieć tu bezczynnie.

— Uważaj, żeby ostrożnie stąpać, w razie gdyby podłoga była tak spróchniała, jak na naszym, pierwszym ganku, — przestrzegała Lola.

W przejściu czuć było stęchlizną i pleśnią; tak tu było duszno i powietrze tak gęste, jak gdyby od wieków nikt tędy nie przechodził. Nędzne światełko, które im z początku przez otwór wejścia przyświecało zgasło wkrótce zupełnie, trzeba było torować sobie drogę rękoma trzymając się ściany. Ganek (tak im się przynajmniej zdawało) był niezmiernie długi, to skręcał w bok, to piął się pod górę, lub znowu się zniżał staremi, niepewnemi schodkami.

— Chyba obiega cały dom, — wzdychała Hela, — czyż nie dojdziemy nigdy do jakichś drzwi?

Nagle Lola, która szła pierwsza, zatrzymała się.

— Dalej już nie można, przed nami mur.

Dziewczynki były pogrążone w najgłębszą otchłań rozpaczy! Tyle nadziei pokładały w tym ciemnym ganku, myślały, że wrócą nim do świata. Tak nagłe znalezienie się wobec znów nierozwiązalnego zagadnienia — było ogromnem rozczarowaniem.

— Musimy znowu odbyć całą tę okropną drogę! — jęczała Hela.

— Pewnie przeszłyśmy koło jakichś drzwi, nie wiedząc o tem, — pocieszała ją Lola, nieco drżącym głosem.

— I tak nie znajdziemy nic po ciemku! nie warto nawet próbować; jesteśmy skazane na śmierć głodową i po latach znajdą nasze kości! — Hela gorzko płakała.

— Nie tak łatwo damy za wygrane! — odparła Lola, której szczęśliwe usposobienie trudniej ulegało zniechęceniu i rozpaczy.

Przez cały czas rozmowy macała też ścianę, która się złowrogo przed niemi wznosiła, szukając czegoś, coby się pokazało ich wybawieniem. Nareszcie... palce jej napotkały coś, co mogłoby uchodzić za zasuwkę... dygocąc prawie z wielkiego oczekiwania — odsunęła ją! Jakieś drzwi otworzyły się nagle — i promienie światła dziennego zalały je oślepiającym blaskiem! Ku zupełnemu ich przerażeniu wobec tak nagłego przeskoku z śmierci głodowej do życia, — znajdowały się w galerji obrazów! Możemy sobie

wyobrazić, że nie wiele czasu zajęło im wyskoczenie z ganku i przekonanie się, którędy się z niego wydostały. Oto portret Zofji Kierdejównej wychylał się ze swych ram, zdradzając tajemnicę ukrytego przejścia!

— Teraz rozumiem dlaczego obraz zadrżał w ramach! A nie chciałaś mi wierzyć! — zawołała Hela. — Żeśmy też przedtem nie pomyślały o tem!

— I to dlatego jest to podanie, że ona strzeże mienia Kierdejów. Pewnie zawsze przechowywali tu swe skarby i tylko głowa rodu o tem wiedziała!

— A stare podania zawsze mają jakieś znaczenie, i nie są poprostu gadaniem!

— Chodźmy zaraz Zuli powiedzieć! Wszyscy są pewnie o nas niespokojni; już się przygotowanie musiało zacząć i p. Rozwowska siedzi w VII klasie.

Lola silnem pchnięciem chciała zatrzasnąć ukryte drzwiczki, a raczej wstawić portret w swoje ramy.

— Czekajże! — zatrzymała ją Hela, — musimy się przecież przekonać, czy pani Zofja i na zewnątrz, z galerji się otwiera; bo inaczej, coby był za pożytek z naszego odkrycia?

Lola wprost drżała z niecierpliwości, ale Hela powoli zamknęła drzwi i pilnie śledziła miejsce, gdzie był widoczny maleńki zamek. Suchy trzask

rozległ się wśród ciszy... Loli serce biło jak młotem.

— Zostaw, później zobaczymy! — wyrywała się.

— To idź! — spokojnie odparła Hela, przyskoczywszy jak żbik do miejsca, gdzie spodziewała się znaleźć sprężynkę.

Lola z wielkiego zapału skakała na jednej nodze. Hela długo szukała, macając każdą rzeźbę, kładąc palce w środek każdego złotego kwiatu, lub na żyłki każdego listka... daremnie! Wreszcie i ona poczęła powoli ulegać zniechęceniu.

— I tak się wdostaniemy przez dno skrzyni! — myślała; głośno tego jednak nie mówiła z obawy żartów Loli; — ale może tam też jest sprężynka, której drugi raz przypadkiem nie znajdziemy! — i szukała dalej.

Lola już wytrzymać nie mogła, kręciła się naokoło Heli, niby to jej pomagając, a przeszkadzając raczej. Macała ramę w najnieprawdopodobniejszych miejscach, zachodziła czasami nawet z boku.

— Nie przeszkadzaj! — prosiła Hela, — przecież tam nie może być! widziałam jak się sprężynka zatrzasnęła tutaj!

Lola chwilkę stanęła, by zaraz na nowo rozpocząć; tym razem jednak nie uszło jej to bezkarnie; oto wymachując rękami, zaczepiła rękawem o jakiś niewidziany gwóźdź i oberwała cały mankiet.

— Wstrętny gwóźdź! — zawołała, — będę znowu musiała cerować! poczekaj, już ja ciebie wyciągnę!

Rzeczywiście że z boku, prawie że z pod ramy wystawał mały łepek pozłacanego gwoździka; Lola schwyciła go w małe swoje palce, i silnie szarpnęła. Gwóźdź nie był snadź mocno wbity, bo go Lola z łatwością do połowy wyciągnęła... a portret Zofji Kierdejównej wystąpił z swych ram, mocno uderzając Helę, która się w niego wpatrywała.

Lola spojrzała zdumiona, uśmiech począł się błąkać w kącikach jej ust, aż wreszcie wybuchnęła głośnym, szczerym śmiechem.

— A widzisz, kto znalazł twoją sprężynkę?

— No, jeżeli jest sprawiedliwość na świecie! — mruknęła Hela; wkońcu jednak musiała się roześmiać.

Kilkoma próbami przekonała się, że gwóźdź rzeczywiście otwierał wejście do tajemniczego ganku, i że nie było już obawy niedostania się do tegoż.

— No, chodźmy już! — wołała Lola, i tym razem Hela już jej nie zatrzymywała.

Rzadko co wyprowadzało p. Rozwowską ze zwykłej równowagi, ale nawet ona skoczyła na widok obu dziewczynek wpadających jak wicher z różnemi wykrzyknikami.

— Lolu i Helo, gdzieżeście były? Zaczyna-

łam się już naprawdę o was niepokoić. Co?... mówicie, żeście naprawdę znalazły skarby p. Edwarda? To prawie nie do uwierzenia! Dzieci, dzieci, spokojnie, opowiadajcie po kolei! — dodała, gdy dziewczynki wprost wyrywały sobie słowa z ust.

— Bawiłyśmy się w chowanego! wpadłyśmy przez dno do skrzyni — były torby z złotemi monetami — i skrzynie z srebrem i banknotami. — Nieprawdaż, że będzie bogata? — A wszystko powiedział w szaradzie! — myślałyśmy, że umrzemy z głodu, jak „Genowefa", Walter Scotta! — i wyszłyśmy przez portret! — i Lola znalazła gwóźdź! — Proszę nam pozwolić pójść do Zuli.

— Jest to rzeczywiście nadzwyczajne odkrycie! — rzekła p. Rozwowska, gdy doprosiła się wreszcie od Heli bardziej zrozumiałego opisu przygody. — Zula oczywiście musi się zaraz o niem dowiedzieć, ale pójdę do niej sama i przestrzegę ją, by bardzo ostrożnie o tem oznajmiła matce swojej; wszelka niespodziewana wiadomość może mieć zły wpływ na jej tak nadwątlone siły.

Wieść, że stało się coś nadzwyczaj wielkiej wagi rozniosła się jak ogień po całej pensji; zarówno nauczycielki jak i uczennice przybiegiwały do bibljoteki, porzucając książki, by się dopytać o szczegóły. Nawet służba się zjawiła.

— Niech wam Bóg błogosławi, panienki zło-

te, — mówiła, obcierając łzy p. Wańkowiczowa, która także dopchała się wreszcie do głównego źródła wiadomości. — Do końca życia będę suszyła we wszystkie wtorki tygodnia, by podziękować Panu Bogu za tę łaskę.

Lola spojrzała na nią zdumiona. Czy to naprawdę Smok mówił? czy to naprawdę były łzy ściekające po jej zmarszczonej twarzy? Co to miało znaczyć? czy to komedja? czy może one ją niesłusznie posądzały? Nie było czasu na dalsze przypuszczenia. Obydwie były bohaterkami dnia i godziny i już po raz dziesiąty opowiadały swoje przygody tym, którzy ich jeszcze dokładnie nie znali.

— Nie mogłyśmy zgadnąć, gdzieście się schowały, — mówiła Myszka. — Szukałyśmy przez długi czas w galerji, Marysia zajrzała nawet do skrzyni, ale była pusta.

— A jeszcze bardziej zdziwiłyśmy się, gdy nie było was na herbacie, — dodała Nina. — Opowiedzże nam jeszcze Helo o tych workach z pieniędzmi.

Pani Rozwowska jednakże, uznając, że dosyć już było przygód i opowiadań na jeden dzień, przeszkodziła ponownemu opisowi.

— Proszę, żeby wszyscy wrócili na przygotowanie! Hela i Lola nie piły jeszcze herbaty. Czyście głodne? — dodała, zwracając się do awanturniczej parki.

— Jak wilki! — odpowiedziały krótko i węzłowato.

— To wam daruję dzisiejsze przygotowanie; możecie pójść ze mną do sali jadalnéj. Nie mogę przecież od was żądać, byście po tak nadzwyczajnych przygodach spokojnie i grzecznie zasiadły do lekcyj!

ROZDZIAŁ XV.

Radość Zuli, gdy się dowiedziała o znalezieniu zaginionego skarbu była ogromna; z początku nie chciała nawet wierzyć swemu szczęściu, ale po wysłuchaniu przygód Loli i Heli, zwolna poczęła rozumieć, że to nie żadna bajka, ale że bogactwa, których tak długo wyczekiwała i tak bardzo potrzebowała leżały u jej stóp.

— Więc pieniądze są, i mogę zaraz część ich sobie wziąć? — pytała jeszcze niedowierzająco. — Czy jest tam z 5000 koron?

— Wiele więcej, o ile sądzić można z opowiadań dziewczynek.

— Więc nareszcie będzie można zwołać konsyljum! — wyrzekła z westchnieniem wielkiej ulgi.

Pani Rozwowska bynajmniej nie pragnęła zaszczytu nawet tymczasowego kustosza skarbów Kierdejskich; zaraz też nazajutrz zawezwała proboszcza by jej pomógł w rozpatrzeniu całej sprawy. Ponieważ był jedynym opiekunem Zuli, naznaczonym jej przez nieboszczyka stryja, wy-

dawał się odpowiednią osobą do usunięcia skarbów i papierów do banku. Stawił się zaraz na zawezwanie i razem z p. Rozwowską uczynił dokładny przegląd owej sławnej, tak długo poszukiwanej skrytki. Na gwałtowne naleganie przełożonej postanowił dziś jeszcze pojechać do Lwowa i rozmówić się z dyrektorem banku.

— Nie będę mogła spać z temi skarbami tutaj, tak się teraz boję złodziei, odkąd dowiedzieli się wszyscy o ich znalezieniu, — oświadczyła p. Rozwowska.

— Aż nadto tu były bezpieczne! — zauważyła Zula.

— Tak, gdy o nich nikt nie wiedział; ale teraz to zupełnie co innego.

Skarby, które stary p. Edward gromadził tu przez całe życie, były znaczne; nie wierzył on widocznie żadnym papierom rządowym czy bankowym i w domu przechowywał swe pieniądze w złocie i banknotach. Były tam także prócz sreber i klejnotów rodzinnych, perły i kamienie, widocznie przez niego samego skupywane, były i stare makaty i pasy słuckie, i złotem lite sztuki materji i płótna wielkich włoskich mistrzów, — słowem nieprzebrane źródło bogactw i skarbów. Chodząc i rozglądając się po skarbcu, spostrzegł ksiądz proboszcz ową skrzynkę, która poprzednio już i Helę zastanowiła.

— Ta koperta jest do Ciebie zaadresowana, Zulo! — zauważył.

Dziewczę z pewnem wahaniem wzięło list do ręki i wnet go oddało opiekunowi.

— Jest to jakby zlecenie z tamtego świata, — rzekła, — proszę księdza proboszcza, ja wolę, żeby mi go ksiądz proboszcz głośno przeczytał.

Treść listu zgadzała się zupełnie z znanem z swego dziwactwa usposobieniem autora.

Droga Zulo!

Złoto, srebro i kamienie są marnościami wśród marności, wabikiem dla wielu i początkiem wszelkiego złego. — Gdy znajdziesz te tu złożone, a wyżej wymienione skarby, noszę w sercu nadzieję, że już będziesz umiała się bez nich obejść i cenić je podług ich wartości.

Nigdy mi one szczęścia nie przyniosły, i nie jestem pewny, czy dobrze czynię, pozostawiając Ci to, co było dla mnie przyczyną wielu utrapień. Długo i głęboko się namyśliwszy nad tą sprawą, postanawiam oddać ją w ręce losu. Pozostawiam wszystkie moje skarby w tej tu skrytce, o której mi na łożu śmierci powiedział mój ojciec prócz mnie, klucza do niej niema na świecie nikt. Tajemnicę tę, wyjawiłem jednak w szaradzie, którą, jeżeli poszłaś za mojem życzeniem co do nauk botanicznych, wyczytałaś wypisaną moją ręką w „Calende Floralis". — Jeżeli niebiosa chcą, byś wzięła ten ciężar na Twe młode barki — usłyszysz głos mój w szaradzie; jeżeli zaś, postanowiono jest inaczej — list ten nie dojdzie prawdopodobnie nigdy do rąk Twoich. Wierzaj mi, że działam dla Twego dobra. Edward Kierdej.

— Biedny stryj! ogromnie się bał widocznie powierzyć mi swoje skarby, — rzekła Zula, na której słowa wymówione, jakby z grobu wielkie zrobiły wrażenie. — Czy ja może też będę tego

żałowała? Czy to naprawdę tak niebezpieczna rzecz?

— Nie, jeżeli mądry z nich zrobisz użytek. Mam nadzieję, że w twoich rękach będą one błogosławieństwem, a nie przekleństwem.

— Widocznie te skarby nie wiele się przyczyniły do szczęścia stryja Edwarda!

— Bogactwa nigdy nie dają szczęścia, jeżeli nie używane z korzyścią dla bliźnich.

— A te tak długo leżały bezużytecznie, — zauważyła p. Rozwowska. — Zula będzie wiedziała jaki z nich zrobić użytek.

— Więc ja napewno mogę je przyjąć? bo widzi ksiądz proboszcz, ja ani ich nie znalazłam, ani nie zgadłam szarady!

— Z całą pewnością możesz, drogie dziecko; twój stryj sam powiedział, że zostawia wszystko w rękach losu! Zdaje mi się, że Lola i Hela były właśnie narzędziami owego losu, a raczej Opatrzności, która nad nami czuwa. Skarby twoje leżały tyle lat jak ów talent zakopany w ziemi; pracuj teraz, dziecko, jak ci przykazał sam Chrystus, żeby z niego było dziesięć. Pamiętaj zresztą o tem, co mówi Krasiński:

„Mnóż ty się jeden przez czyny żyjące,
A będą z ciebie jednego — tysiące!“

Wypisz sobie te słowa ognistemi zgłoskami w sercu, a Bóg ci będzie błogosławił, dziecko, tobie, a przez twoje bogactwa — i innym!

. . . . . .

Choć Lola i Hela ku wielkiemu swemu zadowoleniu dopięły celu, czuły, że było jeszcze, w związku z ich przygodami w Kierdeju wiele rzeczy niewyjaśnionych i niezrozumiałych; tajemnica szczytowego pokoju nie była rozwiązana, ani nie było wytłumaczenia na dziwne zachowanie się starej klucznicy i ogrodnika. Tak bardzo im chodziło o prawdę, że postanowiły zwierzyć się Zuli i dowiedzieć się, czyby ona nie mogła im jakoś tego wszystkiego wytłumaczyć.

Do niedawna jeszcze, a raczej do chwili odnalezienia skarbu taka zuchwałość jak zabranie Zuli na całą rekreację do oddalonej altanki nie byłaby płazem uszła naszym bohaterkom; — dziś jednak, zarówno duże jak małe, musiały się — lubo może z zazdrością w sercu, na to godzić, patrzały więc tylko jakby z cichą urazą na oddalającą się trójkę.

Zula uważnie wysłuchała opowiadania różnych ich przypuszczeń i posądzeń, aż w końcu roześmiała się serdecznie; potem nagle spoważniała.

— Wy głupiutkie istoty! — zawołała. — Zrobiłyście z pięści wołu; a jednak byłyście w tak strasznem niebezpieczeństwie, że dreszcze mnie przechodzą na samą myśl o nich: Naturalnie, że była przyczyna do naszych ciągłych wycieczek na trzecie piętro; ale nie taka, o jakiej myślałyście. Chodziliśmy poprostu przekonać

się, czy duży basen, tam się znajdujący i dostarczający wody do kuchni i łazienek, jest w porządku. Wodę do niego pompuje się co dzień i częściej; ale przy tegorocznej suszy i ogromnem zapotrzebowaniu wody, łatwo mogło tejże zabraknąć. Już i tak się kilka razy zdarzyło, że pomiędzy jednem pompowaniem a drugiem woda w basenie wyschła zupełnie; słychać wtedy bardzo dziwne odgłosy.

— Coś, jakby jęki? — przerwała Hela.

— Tak, trochę podobne do jęczenia, tylko że trzebaby więźnia-olbrzyma, by takie jęki mógł wydać ze siebie. Nic dziwnego, że myślałyście, że kogoś zabijają! — Zula śmiała się do rozpuku. — Widzicie więc, — ciągnęła dalej po chwili, — że z tyloma osobami w domu, potrzebującemi wody, trzeba było ogromnie uważać, żeby basen się nie wypróżnił, bo gdyby i na dole w kuchni wody w kotle zabrakło, to mógłby ten ostatni pęknąć!

— Czy p. Wańkowiczowa dlatego chodziła do szczytowego pokoju? — pytała Lola.

— Albo p. Wańkowiczowa albo Szymon chodzili codziennie, a mama tak była ciągle niespokojna, że kilka razy sama poszłam się przekonać, czy naprawdę niebezpieczeństwo nie grozi. Pani Wańkowiczowa była ogromnie tem wszystkiem zaniepokojona, tak mało było deszczu w czewcu, że się bała, oby i studnia nie wyschła.

— Więc to o tem rozprawiała z Szymonem, gdy podsłuchałyśmy ich rozmowę w galerji? Mówili o niebezpieczeństwie i hałasie.

— Tak; — odparła Zula, — gdy ludzie podsłuchują i dorabiają potem resztę z własnych domysłów, często bardzo dochodzą do wręcz fałszywych wniosków.

Dziewczynki zarumieniły się; od samego początku wiedziały one dobrze, że Zula nie uznawała podsłuchiwania i podglądania przez dziurki od klucza; była to praca wywiadowcza, na którą chętnie rzuciłyby zasłonę, gdyż czuły dobrze, że zbyt wiele łączyło się ciekawości z ich zabiegami o dobro Zuli. Ta ostatnia, nie zważając jednakże na ich zakłopotanie, mówiła dalej.

— Pani Wańkowiczowa i Szymon mieli zupełną słuszność, nie pozwalając wam chodzić na poddasze; zaraz zrozumiecie dlaczego: Tajemne wyjście z szczytowego pokoju na poddasze jest pamiątką dawniejszych czasów. Uczyłyście się już pewnie w historji powszechnej o inkwizycji i wiecie zapewne, że w Polsce było bardzo mało tych prześladowań religijnych. W Małopolsce zdarzało się czasami, że jaki gorliwy kalwin zabił prawowiernego katolika lub na odwrót; lecz tu u nas na kresach Rzeczpl. takich rozruchów nie było wcale, a raczej nie było ich w tej postaci, bo szlachta i magnaci zawsze z sobą wojowali, ale to tylko o dobra ziemskie. Zagrani-

cą, w Anglji, Francji, Niemczech itd. budowano w czasie takich wojen religijnych warowne zamki z tajnemi skrytkami, gdzie w danym razie mógł się schronić biedny zwyciężony. U nas takie kryjówki należą do wielkich rzadkości, bo właściwie nie miały one racji bytu. Wracając więc do tej dziwnej skrytki w szczytowym pokoju, objawiającej się przez podniesienie latarni, pochodzi ona prawdopodobnie z czasów Zygmuntowskich, kiedy to cudzoziemcy-heretycy szukali w Polsce schronienia. Może który z tych gości zrobił rysunek tej kryjówki, a jaki żyjący wówczas Kierdej go wykonał; nie wiem! w każdym razie ta właśnie skrytka jest o wiele niebezpieczniejsza niż się wydaje, bo na końcu tego drugiego poddasza, na którem już byłyście, jest rodzaj dużej szafy, w którą by się można skryć w razie napaści. Ale cóż kiedy wyjęto z jej dna kilka desek i zrobił się otwór na trzy metry szeroki... Pod tą dziurą jest przepaść... Kto o niej nie wie, (a widzieć nie może, bo tam jest zawsze ciemno!) wpada w przepaść.... i już nigdy go żywego nikt nie znajdzie!...

— To taka sama dziura, jak w zamku Mikołaja Potockiego w Buczaczu! — zawołała Lola. — już nam trochę Natalka o niej tam opowiadała!

— Czy ta dziura dotychczas niczem nie założona? — spytała Hela.

— Nie, istnieje do dziś dnia ten okropny

otwór nad przepaścią! Jest to tak daleko od zamieszkałej części domu i wejście tak doskonale ukryte, że nikt nie uważał za potrzebne jej zakładać. Teraz wiecie dlaczego się p. Wańkowiczowa wystraszyła, gdy się przekonała, że któraś z was była w szczytowym pokoju; nie przypuszczała wprawdzie, że odkryjecie tajemnicę latarni, ale ciągle myślała o niebezpieczeństwie, na jakie mogłyście być narażone; to też dopiero się uspokoiła, gdy Szymon założył kłódkę.

— Wiesz, żeśmy niedaleko były tej przepaści? — zaśmiała się Lola. Hela drżała.

— Nie można dosyć dziękować Bogu, żeście się dalej nie zapuściły; poczciwy basen, który zaczął jęczeć w tak krytycznej chwili i was przestraszył!

— Więc wiedzieliście wszyscy o tej skrytce w szczytowym pokoju, a nie o tej w galerji?

— Tak, tę z latarnią odkryto z dwa wieki temu za Augusta II i nie robiono z niej żadnej tajemnicy dla całej rodziny, podczas gdy o tamtej wiedziała zdaje się tyko głowa rodu. Podobno jest w Polsce kilka domów z niesłychanie dziwnemi kryjówkami! wiecie już o tej w Buczaczu w stopniach schodów, a ja słyszałam o innych w framudze okna lub kominka, a czasem za obrazem.

— Tak jak nasza! — wtrąciła Hela.

— Prawdopodobnie ta z wejściem przez dno skrzyni była zrobiona dla tych samych powo-

dów, o których wam mówiłam, a miała drugie wyjście dla większego pewnie bezpieczeństwa. Ale bardzo smutne są podania o takich kryjówkach; czasami biedny uciekinier schronił się do niej, a tymczasem zabijano tego, który był wtajemniczony w jego ucieczkę, lub brano go do niewoli; a wtedy biedny więzień musiał z głodu umierać w swojej norze.

— Ja już też myślałam, że tak skończymy na tym tu świecie, gdyśmy nie mogły znaleźć wyjścia, — rzekła Hela.

— Czego się Duda dowiedziała o szczytowym pokoju? — przerwała jej Lola.

— Szarpnęła przypadkiem latarnią i miała tę samą niespodziankę, co wy; — odparła Zula. — Wchodziła właśnie na strych, gdy mnie spotkała ku wielkiemu naszemu zobopólnemu zdziwieniu. Wracałam właśnie z jednej z moich wycieczek do basenu; naturalnie, że jej wytłumaczyłam wszystko, ale prosiłam o milczenie; bo możecie sobie wyobrazić, jak się bałam, by cała pensja nie zapałała chęcią zwiedzania tajemniczego ganku w szczytowym pokoju!

— To więc tobie dała tę dziwną obietnicę milczenia?

— Tak, mnie; cieszę się, że jej tak sumiennie dotrzymała!

— Kiedy ja jeszcze wszystkiego nie rozumiem; — niecierpliwiła się Lola. — Myślałyśmy,

że p. Wańkowiczowa i Szymon chowali tam na górze skarby, które tobie byli ukradli; potem widziałyśmy ich pewnej nocy, zakopujących coś w ogrodzie.

— Porządnie wystraszyłyście tego wieczora biednego Szymona! — śmiała się Zula. — Opowiadał mi nazajutrz o tej całej nocnej przygodzie. Nie robił nic tak bardzo okropnego, zakopywał bowiem gniazdo szerszeni, które usadowiły się tam na trawniku; palił wieczorem tytoń, by je uśpić i oszołomić, w dzień przecież nie można tego robić, bo szerszenie kłują; potem zalał całe to miejsce gorącą wodą i chciał gniazdo przekopać, gdy raptem, jak mówił, dwa duchy zleciały mu na łeb i latarnię stłukły! To coś, coście widziały stojącego na trawie, to było poprostu wiadro z gorącą wodą!

— Więc oni nie zakopywali skarbu i nie starali się go nigdy ukraść?

— Ale gdzie tam! Przykro mi, żeście mogły ich nawet o to posądzać. Pani Wańkowiczowa jest może szorstka i nieprzyjemna dla obcych, ale jest jak pies przywiązana do mamy i do mnie. A Szymon szpilki by mi nie ukradł; — zaręczam wam, że nic nie przechowuje w oknach od ogórków. Naturalnie, że p. Wańkowiczowa często szukała skrytki i skarbów, ale czyniła to dla mnie. Nikt się tak szczerze waszemu odkryciu nie ucieszył, jak właśnie ona!

— Wiesz, żeśmy od samego początku wpadły na zły trop; — rzekła Lola. — Jedynym kluczem do rozwiązania zagadki była szarada; ogromnie się cieszę, żeśmy ją zgadły, choć nie dostałyśmy żadnej nagrody na konkursie!

— A właściwie to i szarada nie wiele nam pomogła! — odparła Hela. — Nigdy nie byłybyśmy wyleciały przez dno skrzyni, gdyby nie owa gra w chowanego. Zabawnie to na świecie! pókiśmy dokładały wszystkich sił, by znaleźć spadek twojego stryja, nie znalazłyśmy nic, — przeciwnie, wnioskowałyśmy fałszywie, a prawdziwą kryjówkę odkryłyśmy tylko przypadkiem, i to nawet przypadkiem tylko Lola odnalazła gwóźdź, otwierający drzwi w obrazie!

Ale dla Zuli nie był to przypadek, ale raczej ręka Opatrzności, która nigdy nie zawodzi tych, którzy w nią swą ufność pokładają. Przypadek ten, posługując się wyrażeniem Heli, pozwolił jej zwołać konsyljum lekarzy do Kierdeju. Po długich badaniach wyrok wypadł nadspodziewanie pomyślnie; wielki krakowski specjalista oświadczył:

— Zostałem zawezwany na ostatnią chwilę, ale ostatecznie kuracja jeszcze pomóc może; zima na południu i pilne przestrzeganie naszych przepisów może cudów jeszcze dokazać. Zupełnie nie jest wykluczone, że pacjentka będzie mogła wiosną powrócić do kraju.

Zuli spadł kamień z serca; oczy jej błyszczały od dawna niewidzianym blaskiem, gdy jak wicher wpadła na pensję podzielić się tak radosną wieścią z koleżankami.

— Naturalnie, — tłumaczyła, — mama potrzebuje jeszcze ogromnie dużo opieki, ale teraz możemy jej dać wszystko, co potrzebuje. Profesor K. obiecał mi przysłać bardzo zdolną pielęgniarkę z swojej kliniki, która doskonale jest obeznana z jego sposobem leczenia; — zimą będzie mogła pojechać z nami do Włoch. Jakże to będzie cudnie, gdy mama tu wróci zdrowa i silna! Życia mi nie starczy, by się wam za to wszystko odwdzięczyć! — dodała ze łzami w oczach, ściskając Lolę i Helę.

Koniec roku zbliżał się wielkiemi kroki; dziewczynki niechętnie się żegnały z ukochanym Kierdejem, gdzie spędziły dwanaście tygodni, tak miłych i tak obfitujących w przygody i wrażenia.

— Nie mogłabym przeżyć tego rozstania, gdyby nie to, że wracamy do domu, — mówiła Hela. — Tak bardzo tu wszystko pokochałam; i nasz kochany pokój, z dużem łóżkiem, o żółtym, adamaszkowym baldachimie i tę pachnącą różę, która zagląda co rano przez okno naszego pokoju, i salę jadalną i galerję, i bibljotekę i sień, gdzie odrabiałyśmy lekcje, i przedewszystkiem ten cudowny ogród! Pomyśl, tego wszystkiego nie zobaczymy już może nigdy w życiu! — Hela

miała łzy w oczach, — i wrócić jesienią do tego obrzydliwego Białego Domu!

— Hm! wszystko nie może być miodem w życiu! — filozoficznie odparła Lola; — będziemy musiały się zadowolić suchym chlebem. Ale zdradzę ci tajemnicę, która cię pocieszy! Oto, Zula mi powiedziała, że p. Kierdejowa obiecała nas zaprosić na część wielkich wakacji przyszłorocznych! ale chwilowo nie chce, by się inne o tem dowiedziały!

— Ależ to cudownie! — zawołała Hela z błyszczącemi oczyma.

— Ale dopiero za rok!

— To obojętne, bylebym wiedziała, że kiedyś tu wrócę i to jako gość Zuli. Cały rok będę się cieszyła tą myślą.

Nadszedł ostatni dzień pobytu w Kierdeju — jak to zawsze zwykł czynić, czy się go oczekuje z smutkiem czy z radością. Kufry były już zniesione, srebra i stołowizna p. Rozwowskiej spakowana w duże kosze i już naprzód wysłana do Lwowa; panienki stały na dworze, oczekując znaku do wymarszu.

Zula, stojąc przed domem na stopniach krużganku, wzrokiem wodziła dookoła siebie; ładna jej twarzyczka i jasne włosy, ozłocone promieniami słońca, blaskiem odbijały od ciemnego tła dębowych drzwi.

— Strasznie będę tęskniła za wami — mówi-

ła. — Tak mi z wami było dobrze i miło! Proszę was, nie zapomnijcie o mnie!

— Nie zapomniemy, Zulo! — odpowiedziała jej Natalka Wierska w imieniu swojem i koleżanek. — Uroczy kwartał spędzony w Kierdeju na zawsze pozostanie nam w sercu i pamięci; płynął on tak prędko, żeśmy się nawet nie spostrzegły... a oto już upłynął, oto już trzeba go zaliczyć do wspomnień, ale to do wspomnień najmilszych w życiu! Żadna z nas nigdy o tobie nie zapomni... — Tu Natalka urwała. — Żegnaj nam, Zulo, nie, — może się kiedyś jeszcze zobaczymy, — więc tylko do widzenia, Zulo, do widzenia!

— Do widzenia! — pochwycił chór pensjonarek Białego Domu.

— Do widzenia! — powtórzyło echo; i zaniosło to ostatnie pożegnanie dziewczynek do lasów... łąk... i złotych pól ukochanego przez nie Kierdeju.

KONIEC.

Grudzień, 1917.

Spis rozdziałów.

Str.

Rozdział I. 1
Rozdział II. 15
Rozdział III. 29
Rozdział IV. 44
Rozdział V. 62
Rozdział VI. 76
Rozdział VII. 89
Rozdział VIII. 105
Rozdział IX. 122
Rozdział X. 138
Rozdział XI. 150
Rozdział XII. 167
Rozdział XIII. 181
Rozdział XIV. 196
Rozdział XV. 213

St. Stanislaus
Adult- Library
Chelsea Mass.

author	
I. Gajewska	
title	location
Kierdej	5-2

I. Gajewska

Kierdej 5-2